

„RICHARD PAUL EVANS  
PISZE NAPRAWDĘ DOBRE  
POWIEŚCI Z PRZEŚLANIEM”

DOROTA WELLMAN

„KINO, KANAPA, KSIĄŻKI, TVN STYLE”

RICHARD PAUL

# EVANS

SZUKAJĄC  
NOËL

Znał

*Evans Richard Paul*

*Szukając Noel*

*Czy wiesz, że anioły naprawdę czasem przebierają się za ludzi i schodzą na ziemię?*

*Mark przekonał się o tym wraz z pierwszym łykiem gorącej czekolady, którą pewnego wieczoru naląa mu do filiżanki Macy. Spotkali się przypadkiem. On – życiowy rozbitek, samotny i zrezygnowany, ona – doświadczona przez los i skrzywdzona w dzieciństwie, jednak, mimo wszystko, skłonna do niesienia pomocy innym.*

*Z lękiem, ale i radością obserwują rodzące się między nimi uczucie.*

*Tylko czy trudna przeszłość nie okaże się silniejsza od ich młodej miłości? I kim jest tajemnicza Noel, która może całkowicie zmienić ich życie?*

## *Rozdział 1*

*Zacznąć na początku, kończyć, gdy rzecz zmierza ku końcowi, to najlepsza rada, jaką dam przyjacielowi.*

Fragmencie piosenki zapisanej w dzienniku Marka Smarta

Pamiętam, że kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, mama powtarzała mi często, iż każdy człowiek przychodzi na świat w jakimś celu. Nie jestem pewien, czy nadal w to wierzę. Wyobrażenie Boga, który spleta miliony istnień w wielki gobelin świata, wydaje mi się nazbyt fatalistyczne. Mimo to, gdy patrzę wstecz na własne życie, dostrzegam w nim wyraźne ślady nadprzyrodzonej ingerencji.

Najważniejsze i jednocześnie najbardziej niezwykle takie wydarzenie miało miejsce pewnego zimowego wieczora przed wieloma laty. To wtedy poznałem piękną dziewczynę o imieniu Macy, a nasze spotkanie wywołało lawinę niezwykle przypadków.

Gdyby potraktować sentencję mojej mamy dosłownie, wypadłoby uznać, że to Pan Bóg własnoręcznie popsuł mi wtedy samochód. Jeśliby bowiem pasek rozrządu w silniku pękł trochę wcześniej lub odrobinę później, to cała historia nigdy by się nie wydarzyła. Feralny pasek pękł jednak w odpowiedniej

chwili, a moje życie zmieniło się na zawsze. Być może mama miała więc rację. Jeśli Bóg potrafi doprowadzić do koniunkcji planet, dlaczego nie miałyby zrobić tego samego z życiem dwojga ludzi? Moja historia zaczyna się w momencie, w którym niewiele brakowało, żeby skończyła się na zawsze - pewnego zimowego listopadowego wieczora, jedenaście dni po śmierci mojej mamy. Mama zginęła w wypadku samochodowym. Oprócz niej autem jechały jeszcze trzy inne osoby, ale żadnej nic się nie stało. Byliśmy ze sobą blisko związani i dzień, w którym dowiedziałem się o jej śmierci, był najgorszym w moim życiu.

A życie waliło mi się w gruzy już wcześniej. Dziewięć miesięcy temu wyjechałem z rodzinnego Huntsville, małego miasteczka w Alabamie, i przybyłem do Salt Lake City. Przyznano mi stypendium na Uniwersytecie Stanowym w Utah i miałem tam studiować inżynierię. To była moja pierwsza podróż na zachód i o Utah wiedziałem tylko tyle, że mieli tam jedyny poza moim rodzinnym stanem uniwersytet, który zaoferował mi stypendium, oraz że było stamtąd strasznie daleko do Huntsville. Właśnie to spodobało mi się najbardziej, bo o niczym nie marzyłem równie mocno, jak o tym, by znaleźć się jak najdalej od ojca.

Prawdę mówiąc, nigdy nie myślałem o Stuarcie Smarcie jako o ojcu. Dla mnie był to po prostu Stu, fakt zaś, że nosił nazwisko Smart, co po angielsku znaczy „mądry” wydawał mi się ponurym żartem losu. Stu był mechanikiem samochodowym, a za całe wykształcenie starczało mu ukończone gimnazjum. Miał smar pod paznokciami i z pogardą traktował wszystko, czego nie potrafił zrozumieć. Do tej kategorii zaliczały się reguły gramatyki oraz ja sam.

Postanowił, że kiedyś przejmę po nim rodzinny interes -Autoserwis Smarta. Odkąd skończyłem dziesięć lat, w każde sobotnie popołudnie ciągnął mnie ze sobą do garażu i znajdował mi jakąś robotę. Gdy koledzy zajadali się lodami w cukierni Taster-Freez albo polowali z wiatrówką na koniki polne, ja marnowałem dzieciństwo, zmieniając opony i stare filtry powietrza w silnikach.

Nienawidziłem tego garażu: począwszy od nudy, z jaką obserwowałem Stu rozbierającego na części skrzynię biegów, a skończywszy na smaku kanapek z mielonką i musztardą na pajdzie umazanej silnikowym smarem. Jednak jeszcze bardziej nie znośłem przebywać w pobliżu Stu. Był małomówny, długie dni upływały nam zatem w milczeniu urozmaicanym jedynie piskiem pneumatycznego podnośnika i nieustannym jazgotem radia nastawionego na stację z muzyką country. Kiepski był ze mnie mechanik i Stu chodził wiecznie wkurzony moim niezgulstwem. Każdego tygodnia błagałem matkę, by nie kazała mi już więcej tam chodzić, i w końcu, tuż po tym, jak skończyłem czternaście lat, Stu poddał się i pozwolił mi zostać w domu.

*Jeśli nawet miłość nie jest całkiem ślepa, to musi być strasznym krótkowidzem.* Z dziennika Marka Smarta

Moja matka, Alice Genteel Phelps, w niczym nie przypominała Stu. Była delikatną kobietą obdarzoną sporą erudycją i przenikliwym umysłem. Lubiła czytać i rozmawiać o filozofii, muzyce, literaturze, słowem o rzeczach, które mój ojciec uważał za stratę czasu. Długo nie potrafiłem odgadnąć, co właściwie skłoniło kobietę pokroju mojej matki do poślubienia mężczyzny takiego jak Stu, aż pewnego dnia natknąłem się na ich świadectwo ślubu. Ku mojemu zaskoczeniu odkryłem, że pobrali się zaledwie osiem tygodni przed tym, jak na świecie pojawiłem się ja. Uznałem, że w tamtych czasach po prostu nie miała innego wyjścia.

W miarę jak dorastałem, między mną i Stu coraz częściej dochodziło do kłótni. Sam już nie potrafię powiedzieć, ile razy mama stawiała w mojej obronie, czasem rozdzielając nas własną osobą. Ona była spoiwem, które utrzymywało w całości naszą rodzinę. Teraz, gdy jej zabrakło, wraz z matką utraciłem także mój dom.

Wspomniałem już wcześniej, że nawet przed jej śmiercią życie nie układało mi się najlepiej. Przez cały pierwszy rok akademicki pracowałem ciężko i wszystkie egzaminy pozdawałem na piątki, niestety uniwersytet ogłosił cięcia w budżecie stypendialnym i zlikwidował setki indywidualnych grantów. Między innymi także mój. Nie byłem już studentem, straciłem zatem studencką pracę w uczelnianej administracji oraz miejsce w akademiku.

Prawdę mówiąc, inżynieria mało mnie pociągała - nie poszedłem studiować tam z powołania. Z drugiej jednak strony moi rodzice nie mogli pozwolić sobie na opłacanie czesnego, więc aby studiować, musiałem zdobyć jakieś stypendium. Gdyby

zależało to wyłącznie ode mnie, zamiast stawiać mosty, wolałbym pisać piosenki. Nie ma jednak wielu stypendiów dla muzyków, a spośród tych kilku, które udało mi się znaleźć, prawie wszystkie adresowano do wirtuozów muzyki klasycznej. W żadnym razie nie byłem jednym z nich. Niezłe radzę sobie z dwu-nastostrunową gitarą, ale bliżej mi do folkowych piosenek Boba Dylana niż popisów absolwenta Akademii Julliarda.

Zanim wyjechałem z Alabamy, Stu wielokrotnie przepowiadał, że mi się nie uda. Nie miałem ochoty sprawiać mu satysfakcji, wracając do domu z podkulonym ogonem. Zostałem więc w Utah, skąd słałem do Huntsville długie, radosne i całkiem nieprawdziwe listy. Opisywałem w nich ze szczegółami, jak to dobrze idzie mi na uczelni. Smutna prawda była zaś taka, że czułem się samotny i przygnębiony, mieszkalem w ponurej suterenie, a jedyną pracą, jaką udało mi się znaleźć, była posada woźnego w pobliskim ogólniaku.

Planowałem wrócić na studia, jak tylko zaoszczędzę trochę pieniędzy, okazało się jednak, że tego, co zarabiałem, ledwie starczało mi do pierwszego. W dniu wypadku do akademika zadzwoniła moja ciotka. Chciała poinformować mnie o śmierci mamy. W ten sposób rodzina odkryła wreszcie, że od dawna już nie studuję. Nie zostawiłem nowego adresu ani numeru telefonu, więc o tym, że mama nie żyje, dowiedziałem się dopiero dwa dni po jej pogrzebie, gdy sam zatelefonowałem do domu. Bardzo chciałem z nią porozmawiać. Słuchawkę podniósł Stu. Nazwał mnie kłamcą i powiedział, bym już nigdy nie wracał do domu.

Myślałem wtedy, że znalazłem się na samym dnie, okazało się jednak, że można upaść jeszcze niżej. Nie minął tydzień, a otrzymałem list od Tennys, mojej dziewczyny z Alabamy.

Chodziliśmy ze sobą prawie cztery lata. Informowała mnie teraz o swoich zaręczynach z młodym, dobrze zapowiadającym się kręgarzem.

Wstyd mi tego, co zdarzyło się później. Z perspektywy czasu widzę jednak, że w pewnych okolicznościach każdy z nas robi rzeczy, o których nigdy nie pomyślałby, że jest do nich zdolny. Przez cały poprzedni rok walczyłem z narastającą depresją. Gdy jednak obok przygnębienia pojawiły się żal, samotność i poczucie odrzucenia, zacząłem myśleć o samobójstwie. Z początku było to niewiele więcej niż mało znaczące przebłyski niczym iskierki, które gasną równie szybko, jak się pojawiają. Jednak w miarę pogłębiania się depresji te myśli stawały się coraz bardziej natarczywe. Wieczór, od którego zaczyna się moja opowieść, spędziłem w pracy. Ledwie pojawiłem się w szkole, zostałem zmieszany z błotem przez jakąś niezrównoważoną nauczycielkę angielskiego, która oskarżyła mnie o kradzież szkolnego odtwarzacza CD. Nie miałem z tym nic wspólnego, nigdy nawet nie zwróciłem uwagi na ten sprzęt, ona jednak się upierała, że tylko ja miałem dostęp do pokoju, w którym stał, i przysięgała, że jeśli następnego dnia go nie zwrócę, osobiście zadba o to, by wyrzucili mnie z pracy, a na dodatek powiadomi jeszcze policję. Później, gdy posprzątałem już szkolne toalety, podjąłem decyzję, że będzie to ostatni wieczór mojej męki. W drodze do domu nie mogłem już myśleć o niczym innym. Samobójcze myśli bez reszty zajmowały moją uwagę i właśnie wtedy popsuł mi się samochód. Pomyślałem, że to ostatni kopniak wymierzony mi przez Boga. Prawda jest jednak taka, że miał On co do mnie zupełnie inne plany.



„Niezgłębione są zamiary boskie" - zwykła powtarzać matka. Mówiła też: „Okazuj dobro wszystkim ludziom, bo nigdy nie wiesz, jaki krzyż przyszło im dźwigać ani jak bardzo potrzebują twojego wsparcia".

Tamtej nocy objawiła się prawda obu matczynych mądrości.

Tamtej nocy wyruszyłem w podróż, dzięki której zrozumiałem, że jedno słowo prawdy jest w stanie odmienić całe lata życia w ignorancji. Tamtej nocy spotkałem Macy. W tamte święta Bożego Narodzenia Macy odnalazła Noel.

## *Rozdział 2*

*Mama opowiadała mi, że anioły czasem przebierają się za ludzi i schodzą na ziemię. Tej nocy uwierzyłem w jej słowa.*

Z dziennika Marka Smarta

*3 listopada 1988*

Co, do ciężkiej... Wycieraczki toczyły nierówną walkę ze śniegiem zalepiającym przednią szybę samochodu. Silnik mojego szesnastoletniego chevroleta malibu zakrzusił się, zadygotał i zgasł, a deska rozdzielcza rozświetliła się niczym wigilijna choinka. Dochodziła już północ i Salt Lake City kuliło się pod nawałą śnieżycy lub raczej śnieżnej katastrofy naturalnej. Dopiero co skończyłem pracę i jechałem zasypaną szosą do domu, zastanawiając się, czy starczy mi sił, by targnąć się na własne życie. Jeśli wziąć pod uwagę kierunek, w którym płynęły moje myśli, dziwne może się wydać, że awaria samochodu wyprowadziła mnie z równowagi. Ale tak właśnie się stało. Oto kolejny znak nieogarnionej miłości Boga - pomyślałem cynicznie.

Zjechałem z rozpędu na bok i uderzyłem o ukryty pod śniegiem krawężnik. Ze złością rąbnąłem pięścią w kierownicę. Mimo długich godzin spędzonych w warsztacie Stu na samochodach nie znałem się prawie wcale. Stu pewnie by wiedział, co jest nie tak z wozem, zanim ten zdążyłby się zatrzymać. Oglądałem kiedyś film o zaklinaczu koni, w którym facet rozmawiał ze zwierzętami i potrafił je leczyć. Stu był kimś w rodzaju zaklinacza samochodów - mógł wam powiedzieć, co się stało z samochodem, zanim zajrzał pod maskę.

Śnieg szybko otulił unieruchomione auto. Wkrótce nie byłem już w stanie dojrzeć niczego zza przedniej szyby. Wysiadłem więc, by rozejrzeć się po okolicy. Chciałem wiedzieć, w jak wielkich tkwię opałach. W oknach budynków po obu stronach ulicy było ciemno. Tylko w jednym, mniej więcej w połowie drogi między mną a kolejnym skrzyżowaniem paliło się światło. Potruchtąłem zaśnieżonym chodnikiem w jego stronę.

Na szyldzie umieszczono napis KAWIARNIA JAWA HUT, a może HUT JAWA, z logo nie dało się jednoznacznie ustalić, która kolejność słów była zamierzona. Gdy zbliżałem się do kawiarni, młoda kobieta obróciła właśnie zawieszoną na frontowym oknie tabliczkę, zmieniając napis OTWARTE na ZAMKNIĘTE. Podeszła do drzwi wejściowych i stanęliśmy przy nich dokładnie w tym samym momencie. Zobaczywszy mnie po drugiej stronie szyby, wzdrygnęła się nieznacznie. Z pewnością nie prezentowałem się najlepiej z ramionami i głową pokrytymi kilkucentymetrową warstwą śniegu. Kobieta była ode mnie niższa o jakieś dziesięć, dwanaście centymetrów, mniej więcej w moim wieku, miała kasztanoworude włosy, szeroką twarz i duże oczy w kolorze coca-coli. Dziewczyny takie jak ona sprawiały zwykle, że na sam ich widok plątał mi się język. Uchyliła drzwi i wysunęła głowę na zewnątrz:

- Przykro mi, już zamykamy.

Wbiłem dłonie głęboko w kieszenie i gapiłem się na nią zakłopotany.

- Samochód mi się popsuł... Chciałbym tylko skorzystać z telefonu.

Przyjrzała mi się badawczo, po czym odstąpiła od drzwi i uchyliła je szerzej.

- Wejdz do środka.

Otrząsałem śnieg z butów i posłusznie wszedłem do wnętrza. Zamknęła za mną drzwi, a ja rozpiąłem guziki płaszcza.

- Telefon jest na zapleczu.

Zaprowadziła mnie do małego biura. Panował tu nieopisany bałagan. Na biurku piętrzyła się góra papierów, zupełnie jakby ktoś wysypał tam zawartość kosza na śmieci. W powietrzu unosił się zapach mielonej kawy. Wskazała mi telefon.

- Jest tutaj. Możesz usiąść przy biurku, jeśli chcesz.

- Dziękuję. Macie książkę telefoniczną?

- Szukasz jakiejś osoby czy firmy?

- Osoby.

Podawała mi książkę wydobytą ze sterty na pobliskim kredensie. Odszukałem numer znajomego, którego brat naprawiał samochody. Odczekałem, aż telefon zadzwoni dwanaście razy, po czym odłożyłem słuchawkę. Spojrzała na mnie ze współczuciem.

- Nie ma nikogo?
- Na to wygląda.
- Może zadzwonisz do kogoś innego? Nikt inny nie przychodził mi do głowy.
- Nie mam do kogo.
- Znam jednego mechanika - powiedziała, po czym zmarszczyła czoło - ale jest już za późno, żeby do niego dzwonić Chcesz wezwać taksówkę?
- Nie, pójdę pieszo. - Nie miałem pieniędzy, by zapłacić za kurs.
- W taką zawieję?
- To niedaleko - skłamałem. Spojrzała na mnie bez przekonania.
- Dobrze, otworzę ci drzwi.

Wyszedłem z biura, zapinając po drodze guziki płaszcza. Szła za mną. Kiedy przemierzyliśmy główną salę, wyciągnęła klucze i otworzyła zamek w drzwiach.

- Dzięki - mruknąłem.
- Nie ma za co.

Przez chwilę przyglądała mi się uważnie, a potem spytała po prostu:

- Czy wszystko w porządku?

Nikt, z wyjątkiem mojej matki, nie pytał mnie o to, odkąd wyjechałem z domu. Nie jestem z tych, którym płacz przychodzi łatwo - już mój ojciec o to zadbał. Mimo to z zakłopotaniem poczułem, jak oczy zachodzą mi łzami. Nie potrafiłem oderwać od niej wzroku, choć z całych sił starałem się to zrobić.

- Chyba nie wszystko jest w porządku, prawda? - Przyglądała się łzom wzbierającym w moich oczach. Potem podeszła

i przytuliła mnie mocno do siebie. Nie byłem w stanie sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni czułem bliskość drugiego człowieka. Emanowała ciepłem, spokojem i bezpieczeństwem. Oparłem głowę o jej ramię i rozplakałem się już całkiem otwarcie. Nim zdołałem jakoś wziąć się w garść, upłynęła dobra minuta. Postąpiłem krok w tył, wycierając policzki, nagle zawstydzony, że płakałem w obecności zupełnie obcej osoby.

- Przepraszam.

- Powiedz mi, co się stało? Pokręciłem głową.

Sięgnęła po jedno z krzeseł przy najbliższym stoliku i przysunęła je w moją stronę.

- Poczekaj tutaj, zrobię ci gorącą czekoladę. Usiadłem, ukradkiem wycierając oczy, zupełnie jakby na sali

był jeszcze ktoś inny, kto mógłby zobaczyć, że płaczę jak dziecko. Po kilku chwilach dziewczyna wróciła z kubkiem parującej czekolady przykrytej warstwą bitej śmietany.

- To dla ciebie.

Spróbowałem. Napój był gorący i miał wyborny, bogaty smak.

- Dziękuję.

- Zdradzę ci mój sekret. Zawsze dodaję kilka kropel syropu klonowego.

- Jest pyszna. - Spojrzałem jej w oczy. Przez cały czas były wpatrzone we mnie.

- Jak masz na imię? — spytała.

- Mark.

- Ja jestem Macy.

- Macy - powtórzyłem. - Jak ta parada urządzana na Święto Dziękczynienia w Nowym Jorku?  
Potwierdziła skinieniem głowy.
- Ojciec powiedział mi kiedyś, że paradują specjalnie na moją cześć.
- A na nazwisko? - spytałem.
- Wood. - Na poparcie słów stuknęła w blat najbliższego stolika, mimo że wykonano go z plastiku i stali nierdzewnej, a nie drewna. - A ty?
- Smart.
- Całkiem niezłe nazwisko, Mark Mądrała. Sądząc z akcentu, nie pochodzisz z okolic Salt Lake City.
- Przyjechałem na uniwersytet, pochodzę z Alabamy.
- Studenciak - powiedziała to z wyraźnym uznaniem w głosie.
- Już nie. Teraz pracuję jak wszyscy.
- Gdzie?
- W West High School. Jestem jednym z woźnych.
- Chodziłam tam. Przynajmniej przez jakiś czas. - Spojrzała na mnie. - Powiesz mi, co cię dręczy?
- Sam nie wiem, od czego zacząć - rzuciłem. Potem odetchnąłem głęboko. - W zeszłym tygodniu zmarła moja matka.
- Przykro mi. - Dziewczyna wyraźnie posmutniała. Po chwili sięgnęła ponad blatem stołu i położyła rękę na mojej dłoni. - Opowiedz mi o niej.
- Była moim najlepszym przyjacielem. Nieważne, czy szło mi dobrze, czy nie, i tak zawsze mnie wspierała. - Musiałem zdławić nagłe ukłucie bólu. — Nie byłem nawet na jej pogrzebie. Nikt nie wiedział, jak się ze mną skontaktować, dowiedziałem się o jej śmierci dopiero dwa dni po tym, jak ją pochowano.

- Tak mi przykro - powiedziała. Po chwili spytała:
- Twoja rodzina mieszka gdzieś na południu?
- Tak - skinąłem głową.
- Przechodzisz więc przez to wszystko całkiem sam?
- Tak. - Upiłem kolejny łyk.
- Nic nie goi ran na duszy lepiej niż gorąca czekolada -dodała zachęcająco. - Po prostu uwielbiam czekoladę. Czasem myślę, że Bóg stworzył ją w ramach przeprosin za to, że wcześniej dał nam brokuły.

Uśmiechnąłem się mimo woli.

- A więc potrafisz się także uśmiechać - powiedziała miękko. Odchyliła się na oparciu krzesła, cały czas uważnie mnie obserwując. - Czyli nie masz tu żadnej rodziny. A znajomi, przyjaciele?
- Nie mam wielu przyjaciół w Salt Lake. Było kilku znajomych z akademika, ale po tym, jak rzuciłem szkołę... - Spojrzałem na nią. - Miałem dziewczynę...
- Miałeś?
- Byliśmy razem przez cztery lata. Trzy dni temu dostałem od niej list, w którym pisze, że zaręczyła się z kimś innym.

Macy potrząsnęła głową.

- Faktycznie, nie masz lekko. Twoje nieszczęścia nie chodzą parami, ale całymi tuzinami.
- Raczej tabunami - poprawiłem. Pociągnąłem jeszcze kilka łyków czekolady, podniosłem głowę i przeczesalem dłonią włosy. - Sam nie mogę uwierzyć, że ci to wszystko opowiedziałem.



- Największe sekrety wyjawia się tylko nieznanym. -Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje?
  - Być może dlatego, że nieznanymi nie mogą później tej wiedzy wykorzystać przeciw nam.
- Wydało mi się to bardzo sensownym wytłumaczeniem.
- Czuję się tak, jakby nagle całe moje życie uległo zmianie. Jakbym do tej pory grał w jakąś grę, ale nagle ktoś przewracał pionki i zmienił reguły rozgrywki. Czuję się jak sierota...
- Coś z tego, co powiedziałem, szczególnie ją poruszyło.
- Wiem, jak to jest - wyszeptła.
- Znów zamilkliśmy oboje. Kończyłem pić czekoladę.
- Dziękuję. - Wyciągnąłem w jej stronę pusty kubek.
  - Nie ma za co. Chcesz jeszcze?
  - Nie, dziękuję. - Spojrzałem na zegarek. Dochodziła pierwsza. - Powiniennem już iść.
  - Nadal się o ciebie martwię. - Patrzyła na mnie ze współczuciem.
  - Dam sobie radę.
  - Na pewno? -Tak.
  - Może jednak podwiozę cię do domu?
  - Skoro nalegasz. - Uśmiechnąłem się do niej.
  - Nalegam. - Wstała z krzesła. - Muszę tylko po nas posprzątać.
- Wzięła mój kubek i weszła za ladę. Nadal siedziałem na swoim krześle.
- Chcesz babeczkę? - spytała. - Mamy z jagodami albo cynamonowe.
  - Nie, dziękuję.
  - A co powiesz na kawałek brownies z taką ilością czekolady, że powaliłaby małego słonia? Słyniemy z nich na całą okolicę.

- Dziękuję, nie jestem głodny.

- Twoja strata. - Wynurzyła się zza lady, wycierając ręce w kuchenną ścierkę. - Skończyłam. Mój samochód stoi na parkingu za budynkiem.

Poszedłem za nią ku drzwiom na zapleczu. Czekałem na zewnątrz, gdy ona gasiła światła, włączała alarm i zamykała drzwi. Śnieg nie przestał wprawdzie padać, ale nieco zelżał.

- To twoja kawiarnia? - spytałem.

- Chciałabym, ale nie. To prawdziwa żyła złota. — Wyjęła klucz z zamka i schowała go do kieszeni. - Kieruję wieczorną zmianą.

- Zaparkowałam tam. — Wskazała na samochód, który przypominał bardziej igloo niż pojazd. -

Gdzieś pod tymi zwałami śniegu jest moje auto. A ja nie mam nawet skrobaczki - dodała smętnie.

Rozejrzałem się po podwórku i wypatrzyłem wystający z pojemnika na śmieci kawałek kartonowego pudła.

- To powinno się nadać.

Urwałem kawałek kartonu i z jego pomocą zepchnąłem śnieg z okien samochodu. Poczekała, aż skończę, po czym otworzyła drzwi i oboje schroniliśmy się w aucie. Jeździła fordem pinto z brązową skajową tapicerką. Z lusterka zwisały paciorki plastikowego różańca. Pęknięcia na powierzchni deski rozdzielczej pozaklejano reklamowymi naklejkami stacji radiowych. Trzeba było dobrej chwili i kilkunastu przekręceń kluczyka, by silnik wreszcie zaskoczył. Szyby zaparowały od wewnątrz, więc Macy zwiększyła nieco obroty i włączyła

ciepły nawiew. Powietrze nagrzewało się stopniowo. Dłonie miałem mokre i zgrabiące od śniegu. W pewnym momencie Macy sięgnęła ku nim i zaczęła delikatnie rozcierać pozbawione czucia palce.

- Masz lodowate ręce. Dzięki za odgarnięcie śniegu.

- Nie ma za co.

- Nie przejmuj się moim samochodem. Trzyma się dzielnie dzięki modlitwie i taśmie klejacej.

- Ten przynajmniej jest na chodzie.

- Właśnie, powinieneś być za to wdzięczny. - Włożyła kasetę do odtwarzacza i z głośników popłynęła spokojna muzyka. - Gdzie mieszkasz?

- Na Trzeciej Wschodniej Alei. Po drugiej stronie wiaduktu.

- Wcześniej powiedziałeś, że mieszkasz w pobliżu.

- Nie chciałem się narzucać.

Czekając, aż para zniknie z szyb, sięgnęła na tylne siedzenie po opakowanie ciasteczek imbirowych.

- Chcesz ciastko?

- Jasne. - Sięgnąłem do pudełka. Ona także wyjęła jedno.

- Przepadam za nimi - wyznała.

Gdy szyba ogrzała się na tyle, by dało się coś przez nią zobaczyć, Macy wrzuciła bieg i powoli wyjechała z parkingu na drogę. Nieco nas przy tym zarzuciło.

-Jeszcze trochę i zrobi się naprawdę groźnie - skomentowała, nie odrywając wzroku od szosy. - Aż trudno uwierzyć, że tyle śniegu może spaść w jeden wieczór.

Zdjęła jedną rękę z kierownicy i podkręciła termostat. Po kwadransie niezwykle ostrożnej jazdy wskazałem jej wielki, nieco podupadły budynek, w którym mieszkałem.

- To już tutaj. Ten dom przed nami.

Macy zaparkowała przy krawężniku pod latarnią. Nie wyłączając silnika, zaciągnęła hamulec ręczny.

- Dasz sobie radę?

- Dam. Dzięki. Za wszystko.

- Drobiazg. - Uśmiechnęła się nagle. - Mam tu coś dla ciebie. — Otworzyła skrytkę na rękawiczki i wyjęła z niej kupon. - Trzymaj, darmowe ciacho i kawa. Musisz kiedyś spróbować naszego słynnego brownies.

Wsunąłem karteczkę do kieszeni koszuli.

- Dzięki. - Odwróciłem się do niej. - Czemu jesteś dla mnie taka dobra?

Uśmiechnęła się, aja zobaczyłem w jej oczach coś zarazem smutnego i pięknego.

- Wyglądasz na miłego chłopaka, któremu w jednej chwili zwałił się na głowę cały świat.

Wbiłem wzrok w czubki butów i powoli wypuściłem powietrze. Po chwili spojrzałem na nią ponownie.

- Wiesz, prawdopodobnie uratowałaś mi dzisiaj życie.

- Wiem. - Raz jeszcze dotknęła mojej dłoni. - Złe rzeczy z czasem mijają. Możesz mi wierzyć.

- Dziękuję. - Ująłem jej rękę.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Dbaj o siebie — odpowiedziała.

- Ty też. Dobranoc. — Wysiadłem z samochodu i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Wyjechała na szosę, zawróciła, pomachała mi po raz ostatni i zniknęła za kurtyną padającego śniegu. Moja mama miała rację. Anioły naprawdę zstępowały czasem na ziemię.

### *Rozdział 3*

*Staralem się ponownie odnaleźć Macy. Wygląda na to, że ona nie istnieje.*

Z pamiętnika Marka Smarta

Nie mogłem przestać myśleć o Macy. Nawet śniłem o niej. Czułem się, jakbym poprzednie kilka dni spędził w lunatycznym transie i jakaś część mnie zastanawiała się nawet, czy rzeczywiście ją spotkałem, czy też była jedynie promykiem światła ujrzanym na końcu koszmarnego snu. Tak czy inaczej musiałem zobaczyć się z nią ponownie.

Skorzystałem z telefonu właściciela budynku i już przy pierwszej próbie udało mi się dodzwonić do mechanika. Ustaliliśmy, że spotkamy się w południe przy moim samochodzie. Została mi niecała godzina. Umyłem się i ubrałem w pośpiechu, a potem wybiegłem na przystanek autobusowy.

Śnieżna zawierucha minęła, pozostawiając dolinę pogrążoną w ciszy i przysypaną grubą warstwą śniegu. Słońce świeciło jasno, ale nie na wiele się to zdało, bo trzymał siarczysty mróz i zanim przyjechał autobus, poczerwieniały mi od niego policzki i uszy. Wysiadłem na przystanku o kilka

przecznic od kawiarni i minąłem ją, maszerując w kierunku samochodu. Pługi śnieżne nie próżnowały tej nocy i zasypy odgarniętego śniegu sięgały szyb mojego auta. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że zostawiłem je w strefie, w której nie wolno było parkować, nie dało się jednak sprawdzić, czy za wycieraczką tkwił jakiś mandat. Przynajmniej nie zabrali mi samochodu na policyjny parking. Prawdę mówiąc, niewiele przejmowałem się wtedy autem, cały czas myślałem bowiem o Macy. Spojrzałem na zegarek, do południa zostało jeszcze dziesięć minut. Mechanik dotąd nie przyjechał, poszedłem więc do kawiarni.

W środku było dość tłoczno. Rozglądając się po lokalu, denerwowałem się coraz bardziej. Co właściwie chciałem jej powiedzieć? Co zrobię, jeśli ona wcale nie będzie chciała ze mną rozmawiać? Z tego, że rzuciłeś żebrakowi dolara, nie wynika przecież, że masz ochotę zaprosić go do siebie na obiad.

Stałem w kolejce do kasy. Gdy przyszła moja kolej, młoda kobieta w koszulce z Bruceem Springsteenem i z oczami podkreślonymi silnym makijażem podniosła wzrok i uśmiechnęła się do mnie:

- Co mogę ci podać, kotku?

- Szukam Macy.

Obrzuciła mnie pustym spojrzeniem.

- Macy? -Tak.

- Czy to ktoś, kogo znam?

- Ona tu pracuje. Zmarszczyła czoło.

- Nie znam żadnej Macy. Może masz na myśli Mary?

- Nie. Chodzi mi o Macy, pracuje tutaj na wieczornej zmianie.

Kobieta potrząsnęła przecząco głową.

- Na wieczornej zmianie pracuje Mary.

Odwróciła się do koleżanki, która czyściła filtr ekspresu z resztek zużytej kawy.

- Znasz jakąś Macy, która podobno tutaj pracuje?

- Macy? -No.

- Masz na myśli Mary?

Kobieta spojrzała z powrotem w moim kierunku.

- Na pewno nie chodzi ci o Mary?

- Nie, chodzi mi o Macy. Brzmi tak samo jak nazwa tej sieci handlowej: Macy.

- A jak ona wygląda?

- Niewysoka. Krótkie, rude włosy. Duże oczy. Bardzo ładna.

- Chodzi ci o Mary.

- A jak ta Mary ma na nazwisko? - spytałem.

- Hummel.

- To nie ona, ta, o którą mi chodzi, nazywa się Wood.

- U nas nie pracuje nikt o nazwisku Wood.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Kobieta patrzyła na mnie teraz ze współczuciem, pewnie pomyślała właśnie, że któraś z dziewczyn z kawiarni podała mi fałszywe nazwisko albo może że sam sobie to wszystko wymyśliłem.

- Przykro mi, że nie mogę ci pomóc. Chcesz coś zamówić? Poczułem się naprawdę głupio.

- W takim razie może czekoladę - wykrztusiłem.

- To akurat da się załatwić Z bita śmietaną czy bez?
- Ze śmietaną.
- Dużą, średnią czy małą?
- Małą.

Zapłaciłem za czekoladę i odebrałem ją kilka chwil później przy kontuarze. Usiadłem przy oknie, tak by zobaczyć, gdy pojawi się mechanik. Kiedy dopijałem ostatnie łyki, przed moim autem zatrzymał się poobijany Chevrolet pick-up. Wychodząc Z kawiarni, widziałem, jak z szoferki wysiada jakiś mężczyzna. Miał na sobie ciężkie buty i musztardowy kombinezon roboczy, był bez kurtki, ale na głowę wciągnął wełnianą czapkę, a pod kombinezonem nosił gruby golf.

Podszedłem, żeby się z nim przywitać.

- Cześć. Jestem Mark. - Oddech zamarzał mi na ustach.
- Carl - oznajmił.
- Dzięki, że zdecydowałaś się przyjechać.

-Taa... - Spojrzał na mój przysypany śniegiem samochód. - Mam jakieś szczotki na skrzyni.

Sięgnął po dwie szczotki na długich kijach, dał mi jedną z nich i razem odgarnęliśmy śnieg z okien i maski mojego samochodu. Potem przyklęknął i zaczepił jeden koniec nylonowej liny holowniczej do mojego przedniego zderzaka, a drugi założył na hak swojego pick-upa. Z niemałym trudem udało mi się w końcu otworzyć drzwi od strony kierowcy.

-Jeździłeś już kiedyś na holu? - spytał.

- Tak. - Prawdę mówiąc, więcej razy, niż potrafiłem policzyć. Stu zawsze pomagał ludziom, których nie było stać na wynajęcie ciężarówki pomocy drogowej. To jedno trzeba było mu przyznać. Mimo że sami nie byliśmy przesadnie majętni, nigdy nie odmawiał pomocy ludziom, którzy jej potrzebowali.



Pamiętam, jak kiedyś nie przyjął pieniędzy od samotnej matki, która mieszkała po sąsiedzku, wymawiając się, że problem z jej samochodem polegał tylko na zabrudzonych świecach. W rzeczywistości Stu spędził cały poranek, składając w całość rozrusznik w jej aucie. Miałem wtedy dopiero dziesięć lat i chciałem coś powiedzieć, ale powstrzymał mnie jego surowy wzrok.

\*

- Staraj się cały czas utrzymywać linę napiętą - krzyknął Carl przez otwarte okno. - Pamiętaj, żeby wrzucić luz. I odblokuj ręczny hamulec, jeśli jeszcze działa.

- Dobra — odkrzyknąłem, wsiadając do auta. W środku było zimno jak w lodówce. Akumulator rozładował się na mrozie i nie dało się włączyć ani ogrzewania, ani wycieraczek. Kiedy droga była wolna, Carl dał ręką znak i jego wóz ruszył naprzód, wyciągając mój samochód bokiem na szosę. Dwadzieścia minut później dojeżdżaliśmy już do jego domu. Wciągnął moje auto na podjazd przed garażem. Zaciągnąłem hamulec i wysiadłem.

Wręczyłem mu swoje kluczyki i skorzystałem z jego telefonu, by zadzwonić do Victora, gościa, z którym sprzątaaliśmy razem w szkole. Victor zaofiarował się kiedyś, że może mnie podwieźć do pracy, kiedy tylko będę tego potrzebował. Były co najmniej dwa powody, dla których nigdy wcześniej nie skorzystałem z jego propozycji. Po pierwsze, miałem własny samochód i nie potrzebowałem, by ktoś mnie podwoził. Po drugie, każda rozmowa z Victorem wcześniej czy później

przeradzała się w dyskusję na temat UFO i teorii spiskowych. Mogłeś próbować rozmawiać z nim o pogodzie, a on i tak zawsze znalazł sposób, by nawiązać do rządowego spisku, którego celem było ukrycie katastrofy statku kosmicznego obcych w nowomeksykańskim Los Alamos. Rzadko zdarzało mi się z nim zgadzać (właściwie to nigdy) i podejrzewam, że uważał mnie albo za kompletnego głupka, albo za współpracownika którejś z rządowych agencji monitorujących poczynania przebywających na Ziemi przybyszów z kosmosu.

\*

Victor pojawił się jakieś trzy kwadransy później i nie zawiódł moich oczekiwań. Wspólna droga do pracy upłynęła nam na dyskusjach o spiskach i kosmitach. Mówił głównie on i trzeba przyznać, że dawał z siebie absolutnie wszystko. Nim dotarliśmy na miejsce, zdołał przekazać mi podstawy wiedzy o UFO, zaczynając od dokonywanych przez obcych uprawnień i kęgów w zbożu, a na okaleczeniach bydła w południowym Utah kończąc. Tym razem do swojego stałego repertuaru dodał jednak nowy element: samozapłon. Wyjaśnił mi, że każdego roku co najmniej dwadzieścia sześć osób bez żadnego widocznego powodu staje nagle w płomieniach i że z myślą o takich właśnie przypadkach sam zaczął wozić w bagażniku gaśnicę. Zasugerowałem przeprowadzenie, małych ćwiczeń pożarniczych, ale Victor nie dostrzegł w tym chyba nic zabawnego.

Nie przerwał swojego monologu nawet po tym, jak dotarliśmy już na miejsce. Tym razem godziny pracy upływały

jednak szybciej niż zwykle, ponieważ głowę miałem cały czas zajęta przyjemniejszymi myślami. Widocznie serca, podobnie jak natura, nienawidzą pustki, ja zaś znalazłem coś, czy raczej kogoś, kto potrafił wypełnić moje. Dziwna rozmowa podczas przedpołudniowej wizyty w kawiarni mogła oznaczać, że już nigdy więcej nie spotkam Macy. Mimo to sama myśl o niej sprawiała mi radość. Dochodziła już jedenasta wieczorem, gdy Victor wysadził mnie przed domem mechanika. Mój samochód stał zaparkowany na ulicy i uznałem, że to dobry omen. W domu było ciemno, tylko jedno z okien rozjaśniał blask ekranu telewizora. Zapukałem do drzwi. Minutę później stanął w nich Carl, miał potargane włosy, a oczy błyszczały mu od zbyt wielu godzin spędzonych przed telewizorem.

- Przepraszam, że przychodzę tak późno — zacząłem. — Dopiero przed chwilą wyszedłem z pracy.
- Nie ma sprawy. Udało mi się doprowadzić go do porządku - powiedział, masując sobie dłońią kark.
- To świetnie. — Pomachałem ręką, dając znak Victorowi, że może odjechać. - Co się zepsuło?
- Pękł pasek rozrządu. Rozładował ci się też akumulator. Doświadczenie wyniesione z warsztatu samochodowego podpowiadało mi, że nie była to tania awaria.
- Ile jestem ci winien?
- Masz szczęście, znalazłem odpowiedni pasek na złomowisku. Pięćdziesiąt dolców za części i siedemdziesiąt za robociznę. Ładowanie akumulatora masz gratis.
- Dzięki. - Westchnąłem, sięgając po portfel. - Płacę gotówką.

Wręczyłem mu sześć dwudziestodolarowych banknotów. Naprawa warta była dwa razy tyle. Mimo to oddałem mu właśnie prawie wszystkie pieniądze, jakie miałem. Przez kolejny tydzień czekała mnie dieta złożona z płatków z mlekiem i kanapek z masłem orzechowym.

- Kluczyki znajdziesz pod siedzeniem, drzwi zostawiłem otwarte.
- Dziękuję raz jeszcze, dobrej nocy.
- Taa - rzucił, zamykając drzwi. Uruchomiłem silnik i pojechałem do domu.

## *Rozdział 4*

*Byłem tu wczoraj i będę znów jutro, Lecz dziś zbłądziłem do krainy smutku... Alicja gdzieś drogę zgubiła...*

*do Krainy Czarów nigdy nie trafiła.*

Tekst piosenki z dziennika Marka Smarta

Mieszkałem w piętrowym domu w stylu Tudorów, przerobionym na mieszkania do wynajęcia.

Zajmowałem najmniejsze z nich: kawalerkę z łazienką, w której mieściła się wanna z prysznicem przesłoniętym plastikową zasłoną, na której wymalowano złote rybki wielkości tosterów. Była też niewielka kuchnia wyposażona w ceramiczny zlew, kawałek blatu i małą kuchenkę elektryczną. Nie miałem piekarnika, ale nie przeszkadzało mi to, bo i tak rzadko cokolwiek sam gotowałem. Czynnosc wynosił zaledwie sto siedemdziesiąt pięć dolarów na miesiąc, co bardzo mi odpowiadało, bo zarabiałem niewiele. Mimo że zbliżała się już północ, wziąłem do ręki gitarę i przeciągnąłem palcami po lakierowanej powierzchni drewnianego gryfu. Delikatnie uderzyłem w struny, poprawiłem strój trzeciej z nich

i *zagrałem* piosenkę, nad którą pracowałem od dnia śmierci matki. Śpiewałem cicho:

Alicja nie trafiła na drugą stronę lustra, Nie ziścił się o Krainie Czarów sen. Wracam myślami do mego dzieciństwa, Ale nigdy nie wrócę tam sam.

Gdybym mógł zebrać wszystkie dziecięce marzenia, Tajemne życzenia wyszeptane w mrok, Złożyłbym z nich bukiet, gdybym mógł je znów zebrać, I oddał, by raz jeszcze zobaczyć twarz twą. Alicja jednak gdzieś z drogi zbłądziła, Nie odnalazła ścieżki do krainy snów. Może jeszcze kiedyś ją spotkam, A może tylko łudzę się znów...

Przerwałem w pół taktu i słuchałem, jak dźwięk z wolna słabnie, odbijając się echem w pustym pokoju. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego zadreptałem się w ten sposób. Każda myśl o niej przynosiła ból, co dopiero mówić o śpiewaniu.

To część terapii — tłumaczyłem sam sobie.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Westchnąłem, myśląc, że to właściciel. Nie przepadaliśmy za sobą. Miał już ponad siedemdziesiąt lat i żył samotnie w mieszkaniu dokładnie nad moim. Gdy wahałem się jeszcze, czy wynająć od niego mieszkanie, wspaniałomyślnie zaoferował, że będę mógł korzystać z jego telefonu. Jednak okazało się, że zapomniał o swojej obietnicy już przy pierwszej okazji, gdy go o to poprosiłem.

Na dodatek bardzo wcześnie chodził spać. Zwykle leżał już w łóżku koło ósmej wieczorem, a sen miał lekki. Bez przerwy narzekał, że zbyt późno wracam z pracy do domu; nieważne jak cicho starałem się zachowywać, on i tak twierdził, że go obudziłem. Jeśli było po dziesiątej, a on usłyszał jakiś szmer dochodzący z dołu, chwilę później stał już pod moimi drzwiami z twarzą czerwoną od gniewu gotowy wygłosić kolejną tyradę na temat ciszy nocnej. Odłożyłem gitarę, przygotowałem się na niechybnie

nadciągające gromy i zwolniłem blokadę w drzwiach. Uchyliłem je odrobinę. W ciemnym korytarzu stała Macy. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

- Obudziłam cię? - pierwsza przerwała milczenie.

- Nie, dopiero co wróciłem do domu. Wejdz, proszę.

- Dzięki. - Przystąpiła próg i obrzuciła pokój szybkim spojrzeniem. Jej wzrok zatrzymał się na odłożonej na oparcie sofy gitarze. - Czy to ty śpiewałeś przed chwilą?

- Pracuję nad nową piosenką.

- Sam ją napisałeś? - spytała z podziwem w głosie. - Tak.

- Niezły jesteś.

Przyjemnie było słuchać komplementów z jej ust. Podeszedłem do sofy i przełożyłem na podłogę pokrowiec, żeby zrobić dla niej miejsce.

- Usiądziesz?

Weszła do pokoju i usadowiła się wygodnie.

- Miło tu, przytulnie. - Dotknęła dłonią instrumentu. - Uczysz gry na gitarze?

- Kiedyś uczyłem, zanim jeszcze wyjechałem z Alabamy. Myślałem, żeby zacząć też tutaj, ale ostatnio, przez ten cały bałagan w moim życiu... Trudno było mi znaleźć uczniów.
- Zawsze chciałam się nauczyć grać na gitarze. - Odwróciła się ku mnie. - Przepraszam, że przychodzę tak późno. Dopiero skończyłam pracę i pomyślałam, że sprawdzę, jak się trzymasz.
- Nie jest źle.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Dzięki tobie. Przez ostatnie dwa tygodnie żyłem w jakiejś malignie. Zupełnie jakbym tracił rozum. Ty pomogłaś mi go wreszcie odnaleźć.
- Miło to słyszeć. - Uśmiechnęła się do mnie.
- Jak udało ci się tu trafić? Kiedy mnie tu wysadziłaś wczoraj, była noc i do tego środek burzy śnieżnej.
- Musiałam chwilę pobłądzić po okolicy. Ale niedługo.
- Byłaś dzisiaj w... kawiarni? - Tak.
- Wiesz, nie jestem pewien, jak właściwie brzmi jej nazwa.
- Nie ty jeden, większość naszych gości ma podobny problem.
- Jak to?
- Na samym początku lokal nosił nazwę Java Hut, co miało nawiązywać do jawajskiej chaty, ale jakieś pięć lat temu kawiarnię kupił Jeff i postanowił wprowadzić kilka zmian. Jeff uwielbia *science-fiction*, a sagę *Gwiezdných wojen* darzy nabożną czcią. Pomyślał więc, że fajnie byłoby nazwać swoją kawiarnię Java the Hut, bo brzmi to prawie jak Jabba the Hut - pamiętasz, to ten wielgachny robal z *Gwiezdných wojen*. Nie wydaje mi się, by ktoś poza nim doceniał jeszcze tę grę słów. Tak czy *inaczej*, większość gości mówi na lokal po prostu Chata.
- Jeff dogadałby się z Victorem.



- Kim?
- Nieważne - rzuciłem szybko. - Dziś rano, gdy szedłem odholować samochód, zajrzałem na chwilę do... Chaty. Miałem nadzieję, że cię tam zastanę.
- Pracuję tylko wieczorami.
- Pytałem o ciebie, ale powiedziano mi, że żadna Macy Wood u nich nie pracuje.
- To dlatego, że wszyscy tam myślą, że nazywam się Mary Hummel.
- A to dlaczego?
- Pewnie dlatego, że tak napisano w moim prawie jazdy, no i jeszcze przez to, że takie imię i nazwisko Jeff wpisał do grafiku, gdy zaczynałam pracę u niego... Nieważne zresztą. Mogą na mnie mówić, jak chcą, nie robi mi to różnicy.
- Ale jak to możliwe, że Macy Wood stała się Mary Hummel ?
- Miałam - zawahała się - interesujące życie.
- Przez interesujące rozumiesz fascynujące czy raczej koszmarne?
- Właśnie. Skinąłem głową.
- Wczoraj w nocy, gdy mówiłem, że czuję się sierotą, odpowiedziałaś, że dobrze wiesz, co mam na myśli. Ty także straciłaś rodziców? - Uciekła spojrzeniem, wyraźnie poruszona moim pytaniem. - Jeśli nie chcesz odpowiadać...

-Nie, nie o to chodzi. — Spojrzała na mnie ponownie i uśmiechnęła się smutno. - Tylko że to raczej moi rodzice pozbyli się mnie.

-Jak to?

- Gdy miałam siedem lat, oddali mnie do adopcji. Nie byłem pewien, co odpowiedzieć.

- Przykro mi. - Powiedziałem w końcu.

- To było dość bolesne, ale do tego czasu zdążyłam już wyrosnąć na twardego dzieciaka. Moi rodzice byli alkoholikami i narkomanami. Błąkałam się między rodzinami zastępczymi i klinikami odwykowymi tyle razy, że jedyną stałą w moim życiu była ciągła zmiana. Gdy skończyłam siedem lat, władze stanowe postanowiły zainterweniować i oddano mnie w adopcję państwu Hummelom. Pani Hummel nie spodobało się imię Macy, zmieniła więc literkę „ć” na „r”. Pani Hummel nie była miłą osobą. Gdy skończyłam piętnaście lat, uciekłam z jej domu i nigdy już tam nie wróciłam. Zgodnie z prawem nazywam się Mary Hummel, ale moje prawdziwe imię i nazwisko brzmi Macy Wood.

- Gdzie mieszkałaś, po tym jak uciekłaś z domu?

- Głównie u moich przyjaciół. Przez rok, może trochę dłużej, waletowałam to tu, to tam. Potem, gdy znajomi sami zaczęli wyprowadzać się z domów rodziców, kilka miesięcy spędziłam, żyjąc na ulicy. Wtedy było najgorzej. Ale jak to mówią, najciemniej robi się tuż przed świtem. Wtedy właśnie spotkałam Jo.

Poczułem, że moje serce zatrzymuje się w pół uderzenia.

- Jo to twój chłopak? Uśmiechnęła się do mnie.

- Nie. Jo to kobieta. Tak naprawdę nazywa się Joette.

- Joette?

- Tak to bywa, gdy się jest jedynaczką, a twoi rodzice noszą imiona Joe i Yvette. Dostałam pracę przy

sprzątaniu stołów w restauracji Dennyego, a ona była tam kelnerką. Powiedziała kiedyś, że szuka współlokatorki, z którą mogłaby dzielić czynsz i opłaty. Kazała mi płacić tylko dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie. Później, gdy byłam już starsza, domyśliłam się, że tak naprawdę chodziło jej tylko o to, by zabrać mnie z ulicy. Po jakimś czasie rzuciłam pracę u Dennyego i przenieśliśmy się do Chaty, nadal jednak mieszkam razem z Jo. Zaopiekowała się mną, gdy się poznałyśmy, i takjuż zostało.

- Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że miałaś takie trudne życie.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Bo wydajesz się taka...

- Zwyczajna? - podsunęła.

- Chciałem raczej powiedzieć miła.

- Czas leczy rany, wygładza blizny. - Westchnęła. - Cóż, nie planowałam opowiadać ci szczegółów historii mojego życia. Teraz jesteśmy kwita.

- Niech będzie. Milczeliśmy przez chwilę.

- Czy masz jeszcze kogoś, jakąś rodzinę?

- Mam młodszą siostrę - powiedziała cicho.

- Jak ona dała sobie z tym wszystkim radę?

- Nie wiem. Nie widziałam jej od czasu naszej adopcji. Ponownie zapadło milczenie. Przerwałem je pierwszy:

- Nigdy nie chciałaś jej odnaleźć?

- Myślałam o tym wiele razy. Nawet ostatnio. Od pewnego czasu nie daje mi spokoju taki oto sen. Stoję przy jakimś basenie i słyszę krzyk małej dziewczynki. Woła do mnie, wzywa pomocy, jakby tonęła. Chcę ruszyć jej na ratunek, ale pani Hummel chwyta mnie i odciąga gdzieś w przeciwną stronę.

-Spojrzała mi w oczy. - Sama nie wiem, co oznaczają te sny.

- Może to jakiś znak.

- Pomyślałam podobnie. Tylko że nie wiem, od czego zacząć poszukiwania. A może boję się tego, co znajdę na ich końcu. Albo czego tam nie znajdę. - Westchnęła ponownie i spojrzała na zegarek. -

Powinnam już iść.

Wstaliśmy oboje. Zatrzymała się przy drzwiach.

- Cieszę się, że czujesz się już trochę lepiej.

- Dzięki, że przyszłaś mnie odwiedzić. Czy dasz mi, proszę, swój numer telefonu?

- Jasne.

Złapałam pierwszy papier, jaki wpadł mi w rękę - chyba była to „Strażnica” świadków Jehowy - a ona zapisała numer Z tyłu okładki.

- Odprowadzę cię do samochodu - zaproponowałam. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, Macy przystanąła przed

autem i przez chwilę przetrząsała torebkę w poszukiwaniu kluczyków. Gdy je wreszcie znalazła, odwróciła się do mnie, wspięła na palce i przytuliła mocno. Wypuściła mnie z objęć i spojrzała mi prosto w oczy.

- Chciałabym kiedyś posłuchać, jak grasz na tej gitarze.

- Masz jutro wolny wieczór?

- Jutro wieczorem pracuję. - Zmarszczyła czoło.

- A w piątek?

- W tym tygodniu nie mam ani jednego wolnego wieczoru. W sumie, kiedy o tym pomyśleć, to nie robię nic innego, tylko w kółko pracuję. - Nagle jej twarz rozjaśnił uśmiech. - Ale mam pewien pomysł. W czwartki organizujemy w Chacie muzykę na żywo. Zwykle występuje Carlos, taki podstarzały hipis z gitarą. Jednak przez ostatnie dwa tygodnie chorował na zapalenie oskrzeli czy coś w tym rodzaju i musieliśmy odwoływać występy. Może mógłbyś go zastąpić w ten czwartek? Wybralibyśmy się gdzieś później razem.

- Nigdy wcześniej nie występowałem publicznie - ostrzegłem. - No, poza konkursem talentów na pierwszym roku. Ale to może być fajne. Kończę pracę o siódmej. Czy jeśli pojawię się wpół do ósmej, nie będzie za późno?

- Będzie w sam raz. Mamy w kawiarni system nagłaśniający. Przynieś ze sobą tylko gitarę. Płacimy dziesięć dolarów za godzinę, plus napiwki.

- Zatem do zobaczenia w czwartek.

- Dobranoc.

Wsiadła do samochodu, a ja czekałem na chodniku, póki nie odjechała. Później ruszyłem z powrotem do domu, szczerze zdziwiony tym, jak bardzo szczęśliwy czułem się przy tej dziewczynie.

## Rozdział 5

*Zastanawiam się często, jak to się dzieje, że podczas gdy ciężkie doświadczenia jednych ludzi hartują, innych pozostawiają złamanych i zgorzkniałych. Znalazłem kiedyś w jakiejś księżce celne porównanie: ten sam podmuch jeden płomień gasi, a drugi wzmacnia. Nadal nie wiem, jakim ja jestem płomieniem.*

Z dziennika Marka Smarta

3 grudnia 1974

Coś poważnego wisiało w powietrzu. Macy miała dopiero siedem lat, ale potrafiła już wyczuwać *zbliżające*: się niebezpieczeństwo. Przez ostatni rok zmieniała domy z taką częstotliwością, że mieszkała już u siedmiu różnych rodzin zastępczych. Jednak tym razem dostrzegła w zachowaniu dorosłych, którzy spiskowali nad jej losem, jakieś nowe sygnały, coś, co sprawiało, że z tyłu głowy włączał się sygnał alarmowy równie donośny i przeraźliwy jak dźwięk szkolnego dzwonka. Gdzie była jej siostrzyczka?

Przysadzista kobieta o twarzy przypominającej dojrzałego melona i z tlenionymi blond włosami wpatrywała się w nią tępym wzrokiem, kłęby dymu wzbijały się co chwila z papierosa tkwiącego w jej ustach. Miała na sobie gruby, czarny, wełniany, sięgający łydek płaszcz, który okrywał ją z równą gracją jak pokrowiec ogrodowego grilla. Jedynym kolorowym dodatkiem była broszka w kształcie choinki ozdobionej imitującymi szlachetne kamienie czerwonymi i zielonymi szkiełkami. Kobieta lustrowała dziewczynkę wypranym z emocji spojrzeniem, podczas gdy pozostała dwójka dorosłych, jej ojciec i urzędniczka władz stanowych, unikali spoglądania w jej kierunku.

\*

Było późne popołudnie. Macy stała, kołysząc się na piętach, czasem grzebiąc w śniegu jedną z czerwonych, zbyt dużych na nią tenisówek.

Wyczuwała wyraźnie, że tego dnia miało wydarzyć się coś ważnego. Poprzedni dzień był dobry, może najlepszy od lat, a z doświadczenia wiedziała, że to było podejrzane. Spędzili go razem z ojcem, tylko we dwoje. Pytała o swoją siostrzyczkę, ale tata powiedział jej, że to wyjątkowa okazja, tylko dla nich dwojga. Poszli razem do kina, kupili prażoną kukurydzę i rodzynki w czekoladzie. Później zabrał ją do sklepu, gdzie wszystko kosztowało jednego dolara. Czekwały tam na nią kolejne smakołyki:

bożonarodzeniowe jabłko oblane karmelem, ołówek z gumką w kształcie wydrążonej dyni na Halloween, czekoladowe serduszko na walentynki i zielony liść czterolistnej koniczynki na dzień świętego Patryka. Czuła się, jakby

tego dnia miały miejsce wszystkie najważniejsze święta całego roku. Później ojciec wziął ją na barana i niósł tak aż do domu, co było niezwykle, ponieważ kulał po przebytych w dzieciństwie polio. Rozmawiali i bawili się ze sobą do samego wieczora, ignorując pytanie, o którym wiedziała, że i tak musiało w końcu paść. Życie nauczyło ją już, że za każdą dobrą rzecz trzeba w końcu zapłacić. Ojciec miał na sobie to samo ubranie co poprzedniego dnia: brązowy puchowy bezrękawnik i koszulkę poplamioną olejem silnikowym, a spod krótkich rękawów wystawały fragmenty pokrywających jego ramiona tatuaży. Mimo to wydawał się jakiś inny. Urzędniczka przypominała wielkoluda - przewyższała ojca prawie o głowę - miała zasuszoną twarz, blade policzki i nos zaczerwieniony od zimna. Była kuratorką, Macy poznała już wiele takich jak ona. Większość wydawała się sympatyczna, czasami zdarzały się nerwowe albo wypalone, ale dla Macy widok każdej z nich oznaczał zawsze to samo - konieczność przeprowadzenia się do kolejnego niegościnnego świata z dala od problemów jej rodziny. Zawsze były jakieś problemy. Nie potrafiła tylko zrozumieć, dlaczego kuratorki i rodzice zastępczy musieli mieszać się do tego. Od kiedy umarła mama, trudności stały się jeszcze większe. Rosły z każdym dniem. Dlaczego jej ojciec nie przestał po prostu brać narkotyków, które były źródłem ich kłopotów i przez które musiała mieszkać z obcymi ludźmi? Dlaczego kuratorki zamiast niej nie zabierały mu narkotyków?



Wysoka kobieta przerwała rozmowę z ojcem i odwróciła się do niej. Przykucnęła, żeby zmniejszyć *dzielącą je różnicę wzrostu*.

- Macy, ta pani nazywa się Irenę Hummel. Pani Hummel będzie teraz twoją matką.

Macy rzuciła ukradkowe spojrzenie najpierw na panią Hummel, potem na ojca, ale on nie zareagował na słowa kuratorki. Matką? Nie chciałyby takiej matki za żadne skarby świata.

- Dziękuję, ale ja już miałam mamę - powiedziała cicho. Mimo wielu wcześniejszych doświadczeń, wciąż miała nadzieję, że jej słowa mogą jeszcze cokolwiek zmienić.

Pani Hummel wypuściła ogromny kłęb dymu, który na moment przysłonił jej twarz.

- Miałaś ogromne szczęście - mówiła dalej kuratorka. -Większość dzieci, które skończyły cztery lata, nigdy nie trafia do adopcji.

Kobieta wstała i wydawała się teraz jeszcze wyższa niż przedtem.

- Pożegnaj się teraz Z tatą. Ojciec przyklęknął obok niej.

- Wszystko gra, brzdącu?

Ze wszystkich sił starała się nie płakać, ale żołądek zmienił się jej w kulkę bólu.

- Co stanie się z siostrzyczką?

- Ona będzie gdzie indziej.

- Kto się nią tam zajmie?

- Nie martw się o nią, da sobie radę. Łzy zalewały jej oczy.

- Ona mnie potrzebuje.

- Da sobie radę.

- Aleja nie chcę tam iść.

- Wiem. - To, co zobaczyła w jego oczach, przekonało ją o daremności wszelkiego sprzeciwu.

Wszystko zawsze działo się tak, jak postanowili dorośli. - Mam dla ciebie prezent. Chciałem ci go dać wczoraj, ale wcześniej zasnął.

Wręczył jej niewielkie pudełko. W środku była czerwona bombka choinkowa. Widniał na niej malowany brokatem napis: „NOEL. 25 GRUDNIA”. Spojrzała na bombkę i przetarła oczy wełnianą rękawiczką.

- To od mamy - powiedział.

- Dziękuję. - Wzięła od niego pudełko.

Westchnął głośno i podniósł się z kolan. Ojciec i kobieta o tlenionych włosach wymienili szybkie spojrzenia. Nieznajoma po raz pierwszy odezwała się do Macy:

- Idziemy,

Macy rzuciła ojcu i kuratorce ostatnie, błagalne spojrzenie, ale żadne z nich nie patrzyło w jej stronę. Podniosła więc ze śniegu wypełniony ubraniami czarny plastikowy worek i podążyła w ślad za kobietą, która zmierzała do samochodu. Karoserię auta poskładano z co najmniej trzech różnych pojazdów: każdy z nich miał inny kolor - od metalicznego błękitu, przez brąz, aż po limonkową zieleń. Macy otworzyła drzwi auta, wrzuciła do środka torbę, po czym sama wdrapała się na tylne siedzenie i zapięła pasy. Pokrycie kanapy było w wielu miejscach podarte. Z dziur wystawały kawałki gąbki i fragmenty sprężyn. Nawet trzy zapachowe choinki zawieszane na lusterku kierowcy nie były w stanie zabić smrodu tytoniowego dymu, który przepęśniał kabinę pojazdu.

Kobieta uruchomiła silnik, po czym nachyliła się nad deską rozdzielczą i włączyła radio. Z głośnika popłynęły dźwięki muzyki country. Macy raz jeszcze spojrzała na ojca. Kuratorka mówiła coś do niego, a on stał ze wzrokiem wbitym w ziemię. Gdy samochód ruszył, podniósł wzrok i spojrzał na nią po raz ostatni. Po chwili jednak odwrócił głowę. Macy zacisnęła powieki i z całych sił starała się nie rozplakać na głos.

Po dziesięciu minutach wspólnej jazdy kobieta ściszyła radio.

- Jadłaś obiad?

- Tak, proszę pani - skłamała Macy. Od śniadania nie miała niczego w ustach. Jedzenie było jedyną sferą jej życia, nad którą czuła, że ma kontrolę.

-Jesteś chuda jak patyk.

- Tak, proszę pani.

- Przy okazji, powinnaś wiedzieć, że masz siostrę i dwóch braci.

Macy w milczeniu patrzyła przez okno samochodu. Jej umysł pracował w sposób, którego nie potrafiła opisać ani wyjaśnić. Nauczyła się radzić sobie ze strachem, chowając się przed nim w sekretnym miejscu. Czekwała skryta gdzieś głęboko w sobie, czy też może raczej poza swoim ciałem. Miała wrażenie, jakby patrzyła z zewnątrz, obserwowwała małą dziewczynkę zagubioną w wielkim i groźnym świecie. Kobieta zaciągała się kolejnym papierosem. Nie miała ochoty kontynuować rozmowy.

Podróż dłużyła się niemiłosiernie.

Niecałe pół godziny później samochód minął budynek supermarketu i skręcił w wąską, ślepo zakończoną uliczkę. Przy jej końcu stał mały, brzydki dom o ścianach obitych zielonym aluminiowym sidingiem i dachu przykrytym szarą papą. Frontowy ganek wzniesiony był nieco nad poziom gruntu, a jego ściany zbudowano z aluminiowej blachy falistej. Sąsiadujące z drzwiami okno było wybite i ktoś załatał dziurę za pomocą fragmentu kartonowego pudła i kawałka taśmy klejącej. Podwórko zarastało chwastami, a pod ścianą domu rdzewiały wraki samochodów w różnych stadiach rozkładu. Parkując na podjeździe przed wejściem, kobieta oznajmiła dziewczynce:

- To twój nowy dom.

- Bardzo ładny - powiedziała szybko Macy. Nauczyła się, żeby w obecności dorosłych zawsze mówić to, co sprawi im przyjemność. Jednak jeśli jej słowa robiły jakieś wrażenie na tej kobiecie, nie okazywała tego po sobie.

Kobieta wyłączyła silnik i otworzyła drzwi. Najpierw rzuciła niedopałek na ziemię, potem sama wysiadła z samochodu.

- Weź swoje rzeczy.

- Tak, proszę pani.

Macy szła za nią posłusznie w stronę ganku. W aluminiowych drzwiach sieni ziała dziura po brakującym panelu. Nad przyciskiem dzwonek wisiała kartka z napisem „POPSUTE”. Przyklejono ją do framugi za pomocą kawałka plastra. Skrzydła drzwi pomazane były kredkami.

Kobieta otworzyła drzwi do domu.

- Jesteśmy - krzyknęła, wchodząc do środka.

Macy szła za nią. Pokonała pokrytą płytkami PCV część podłogi przy drzwiach wyjściowych i weszła do pokoju. Pokój

frontowy był niewielki, na podłodze leżał brązowy, szmaciany dywan. W pomieszczeniu unosił się charakterystyczny psi zapach, przytłumiony przez wszechobecny smród papierosowego dymu. W kącie pokoju na czerwonej podstawce stała choinka, na której zawieszono kolorowe ozdoby i sznury prażonej kukurydzy. Na ten widok, na przekór wszystkiemu, w sercu Macy zajaśniała mała iskierka radości. Być może pozwoli jej zawiesić tu jej nową bombkę.

Do pokoju wbiegła dziewczynka i dwóch chłopców. Dziewczynka była krępa, nieco młodsza od Macy i bardzo podobna do kobiety, która ją tu przywiozła. Stojący za nią chłopiec wydawał się rówieśnikiem Macy, ostatni musiał być o kilka lat od niej starszy. Gapili się na nią, jakby była jakimś egzotycznym zwierzęciem w zoo. Przez moment panowała cisza. Pierwsza przerwała ją dziewczynka:

- To nie jest Buffy.

Kobieta zdjęła z siebie płaszcz i powiesiła go na stojącym przy drzwiach wieszaku.

- Mówiłam ci już, że Buffy wziął ktoś inny.

Macy błędnym spojrzeniem między nimi. Kim była Buffy?

- Ja chciałam Buffy.

- Ale dostałaś tę.

-Jak masz na imię? - spytał starszy z chłopców. -Jestem Macy - starała się, by jej głos zabrzmiał radośnie.

- Głupie imię - parsknął młodszy z braci.

- Przynajmniej nie tak głupie jak Buffy - zaśmiał się starszy. - Buuuffyyyyy - ryknął, przedrzeźniając siostrę.

- Obiecałaś, że dostanę Buffy pod choinkę - chlupała dziewczynka.

- Zamknij się wreszcie - wycedziła przez zęby kobieta. -Buffy już nie ma. Zabrał ją ktoś inny.
- Jak się nazywacie? - spytała Macy.
- Bart - odpowiedział najstarszy. - On ma na imię Ronny, a to jest Sheryl.
- Cześć, jak się macie - przywitała się wesoło Macy. Nikt jej nie odpowiedział. Wtem do pokoju weszła suka.

Była duża - według Macy gigantyczna - sierść miała brązową, miejscami przetykaną ciemniejszymi włosami. Jej łeb wydawał się zbyt duży w stosunku do reszty ciała. Dostrzegła Macy i zatrzymała się w miejscu. Z głębi jej gardła wydobył się niski, przerażający warkot.

Macy cofnęła się o krok. Bała się psów. Tego zaś bała się w szczególności.

- Buster nie lubi obcych - straszył ją Bart.
- Zjedz ją, Buster - zachęcał Ronny.

Macy zamarła z przerażenia. Suka położyła po sobie uszy i szczeknęła tak głośno, że dziewczynce aż zadzwoniło w uszach.

- Zabierz stąd tego psa - krzyknęła kobieta do Barta.
- To pitbull - wyjaśnił Bart. - Nazwali tak tę rasę, bo dawniej trenowano je do walki w wykopanych w ziemi dołach. Mogłaby zabić cię jednym kłapięciem.
- Powiedziałam ci, żebyś ją stąd zabrał. I posprzątaj bałagan, który zrobiła za domem.

- Teraz nie jest moja kolej.
  - Nic mnie nie obchodzi, czyja to kolej, masz to zrobić.
  - Każ posprzątać tej nowej - wtrącił się Ronny.
  - No właśnie. - Bart odwrócił się do Macy. - To będzie twoje nowe zadanie, będziesz sprzątać po Buster.
  - W tej chwili - krzyknęła rozzłoszczona kobieta.
- Bart jęknął głośno, chwycił sukę za obrozę i siłą wyprowadził ją z pokoju.
- Chodź Buster, idziemy. Kobieta spojrzała teraz na Sheryl.
  - Teraz pokaż jej wasz pokój.
  - Ona nie może spać u mnie w pokoju. - Sheryl skrzyżowała przed sobą ręce w geście nieposłuszeństwa.
- Kobieta rzuciła jej jedno gniewne spojrzenie i dziewczynka szybko opuściła głowę.
- No dobrze, niech ci będzie - mruknęła pod nosem. Pani Hummel wyszła z pokoju. Sheryl zwróciła ku Macy
- twarz wykrzywioną gniewem i złością z powodu doznanej właśnie porażki.
- Chodź.
- Macy po raz ostatni spojrzała ku drzwiom wyjściowym. Mogłaby teraz uciec od tych okropnych, niedobrych ludzi, tylko dokąd miałyby potem pójść? Podniosła z podłogi swój worek.
- Po co nosisz ze sobą worek na śmieci? - spytał Ronny.
  - Nie twój interes - odpowiedziała Macy.
  - Co tam masz? - Wskazał na bombkę, którą cały czas trzymała w ręku.
  - Nie twój interes. Ruszył w jej stronę.
  - Dawaj to!

Macy spojrzała mu prosto w oczy. Wypuściła z dłoni plastikowy worek i zacisnęła palce w pięść.

- Tylko spróbuj tego dotknąć, a dzielę cię tak, że popamiętasz.

Ronny zatrzymał się w pół kroku. Nie był pewien, czy dziewczynka dałaby radę spełnić groźbę, ale wyglądała, jakby miała wielką ochotę spróbować. Macy biła się już z większymi od niej chłopakami. W klinice odwykowej zawsze znalazł się taki, który chciał zrobić coś jej albo jej młodszej siostrzyczce. Niektóre z bójek wygrała, w kilku udało jej się zadać przeciwnikom wystarczająco dużo bólu, by powstrzymać ich przed spełnieniem swoich zamiarów. Były jednak i takie, które przegrała, i wtedy robili z nią wszystko, co chcieli. Nigdy nie czuła się równie mało bezpieczna, jak wtedy gdy chroniły ją instytucje stanowe.

Ronny wybiegł z pokoju zawstydzony okazaną słabością. Macy podniosła worek i ruszyła za Sheryl do ich wspólnej sypialni. Pokój miał rozmiary pudełka, był ciasny i zagracony. Podłoga usłana była ubraniami i strzępami gąbki z pogryzionej przez psa poduszki. W rogu stało piętrowe łóżko.

- Spisz na gorze. Chyba że moczysz się w nocy. Moczysz się? -Nie.

- Nawet nie próbuj.

Sheryl zostawiła ją samą. Macy wrzuciła torbę na łóżko i rozejrzała się za jakimś miejscem, gdzie mogłaby ukryć swoją bombkę. Weszła do kolejnego niegościnnego świata, w którym nie mogła być pewna niczego. Wiedziała, że musi wyrwać się stąd przy pierwszej nadarzącej się okazji.



## *Rozdział 6*

*Macy postanowiła odnaleźć siostrę. Nie będzie to łatwe, biorąc pod uwagę, że nie pamięta nawet jej imienia. Przeczuwałem, że w jakiś sposób sam też stanę się uczestnikiem tych poszukiwań. O niczym innym nie marzyłem.*

Z dziennika Marka Smarta

Dotarłem do Chaty kilka minut przed siódmą. Zostawiłem auto na parkingu z tyłu budynku tuż obok samochodu Macy i wszedłem wejściem przez *zaplecze*. Cała powierzchnia czarnych metalowych drzwi zalepiona była naklejkami na zderzaki. Futerał z gitarą zarzuciłem na plecy, jego jasnożółty pas przewiesiłem w poprzek piersi. Macy czekała już na mnie i uśmiechnęła się szeroko na mój widok. Uścisnęła mi dłoń i poprowadziła do tego samego pokoju, z którego kilka nocy wcześniej próbowałem dodzwonić się do mechanika. Tym razem przy biurku siedział jakiś mężczyzna, był po czterdziestce i mocno łyślał. - Jeff, to jest Mark.

Jeff obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.

- Miło mi - rzucił niezobowiązująco. - Czekaj już na ciebie spory tłumek.
- Dzięki, że pozwolił mi pan tu dzisiaj wystąpić.
- Nie ma sprawy - powiedział. - Znasz jakieś kolędy?
- Nawet kilka, ale żadnej nie potrafię zagrać.
- Mógłbyś się nauczyć - mruknął, ale całą jego uwagę pochłaniał już ustawiony na środku biurka kalkulator.

Macy pociągnęła mnie za rękę i wyprowadziła z biura.

- Kolędy? - spytałem, gdy byliśmy już na zewnątrz.
- Chce w ten sposób zwiększyć sprzedaż naszej oferty świątecznej. Ciesz się, że nie kazał ci zagrać tematu z *Gwiezdnych wojen*.
- Wszyscy powinniśmy być mu za to wdzięczni.

W rogu sali stał czarny, wysoki stółek barowy, przed nim na chromowanej podstawie ustawiono mikrofon. Drugi koniec kabla mikrofonu był wpięty do niewielkiego, walizkowego wzmacniacza. Dioda zasilania świeciła się na czerwono.

- Przygotowałam coś specjalnie dla ciebie. - Sięgnęła po ulotkę leżącą na blacie najbliższego stolika.

Napisano na niej:

Lekcje gry na gitarze u Marka Smarta Rozsądne ceny Dzwon: 445-3989

- Założyłam, że twoje ceny są rozsądne. Jeśli nie są, możesz zawsze dopisać „nie” przed „rozsądne”.
- Podaliśmy też swój numer telefonu. To najlepsze wyjście, dopóki nie dorobisz się własnego.
- Po raz kolejny zaskoczyła mnie tym, że wszystko miało tak doskonale zaplanowane.
- Dzięki.
  - Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebował. A teraz pokaż, co potrafisz.

Macy wróciła na swoje miejsce za barem, a ja wyjąłem gitarę z futerału i położyłem go przed sobą w nadziei na dodatkowe napiwki. Kiedy przypuszczałem, że nikt nie patrzy w moją stronę, wrzuciłem do środka pięciodolarowy banknot. Uznanie publiczności wymaga czasem dodatkowej zachęty.

Wspiąłem się na wysoki stołek. W kawiarni zajęte były prawie wszystkie miejsca. Goście sprawiali wrażenie zajętych rozmową i nikt nie zwrócił uwagi na moją obecność. Przez chwilę poczułem się niezręcznie, jakbym im przeszkadzał. Przyszło mi do głowy, że może zapłacą mi, byle bym tylko im nie grał.

Poprawiłem ustawienie mikrofonu i stuknąłem w niego kilka razy palcem. Nie działał. Chwilę trwało, zanim odnalazłem odpowiedni przełącznik. Gdy go nacisnąłem, powietrze przeszył przeraźliwy pisk sprzęgającego wzmacniacza, który da się porównać jedynie do dźwięku skrobiących o tablicę paznokci. W jednej chwili umilkły wszystkie rozmowy. Skoczyłem naprzód, by czym prędzej wyłączyć mikrofon, o mało nie zrzucając przy tym gitary. Mój plan, by nie narzucać się publiczności, poniósł właśnie spektakularną klęskę. Zaryzykowałem szybkie spojrzenie w kierunku baru. Macy uśmiechała się promiennie.

Odsunąłem mikrofon na bezpieczną odległość od głośnika, kilka razy przebiegłem palcami po gryfie, delikatnie szarpnąłem struny, aż dźwięki same ułożyły się w melodię, i wtedy zacząłem śpiewać. Z początku przyciągnąłem spojrzenia kilkorga gości, ale po chwili oni także wrócili do przerwanych rozmów i niedopitych kaw. Moją pierwszą piosenkę, zaczerpniętą z repertuaru Jamesa Taylora, skwitowano umiarkowanymi brawami.

Przynajmniej niczym we mnie nie rzucają - pomyślałem.

Zagrałem kilka piosenek i z każdą kolejną słuchała mnie coraz większa grupa ludzi. Po półgodzinie poczułem się na tyle pewnie, by przemówić do widowni.

- Chciałbym teraz zaśpiewać coś, co sam napisałem. To będzie piosenka dla mojej matki.

Goście przy kilku stolikach najbliżej sceny przestawili krzesła, by lepiej mnie widzieć. Zagrałem tę samą piosenkę, którą Macy słyszała przez drzwi mojego mieszkania. Tym razem, gdy uderzyłem ostatni akord, salę wypełniły gromkie brawa. Klaskali wszyscy. Spojrzałem po sali i zobaczyłem, że nawet pracownicy kawiarni przerwali na chwilę swoje zajęcia, by mnie posłuchać. Macy trzymała oba kciuki wysoko w górze. Jakieś dwie kobiety, blondynka i rudowłosa, zbierały się do wyjścia, ale wcześniej podeszły do mnie. Blondynka wrzuciła trzy dolarowe banknoty do otwartego futerału.

- To było piękne - powiedziała.

- Taaa - wtrąciła druga. - Będziesz tu za tydzień?

- Sam nie wiem. Dziś tylko kogoś zastępuję.

- Tak, wiemy - ponownie odezwała się blondynka. - Jesteśmy tu stałymi klientkami. Mamy nadzieję, że będziemy miały okazję cię tu jeszcze posłuchać.

- Od dawna myślałam o wzięciu kilku lekcji gry na gitarze - zainteresowała się ta o rudych włosach. - Przyjmujesz nowych uczniów?

-Jasne, że tak - przerwała jej koleżanka. - A jak myślisz, po co wypisywał wszystkie te ulotki?

- Jeśli zostawisz mi numer telefonu, zadzwonię do ciebie i jakoś się umówimy - zaproponowałem.

Po chwili wręczyła mi wypisany na barowej serwetce numer.

- Tak naprawdę to miała nadzieję, że poprosisz ją o niego -zaśmiała się blondynka.

- Żartuj tak dalej, a do domu wrócisz na piechotę - zagroziła jej moja przyszła uczennica. - Dzięki - rzuciła w moim kierunku.

- Nie ma sprawy.

Patrzyłem za nimi, póki nie wyszły z kawiarni.

Nim wieczór dobiegł końca, dno futerału pokrywała warstwa banknotów i monet. Wyczerpałem cały swój repertuar i grałem po raz drugi te same piosenki, ale w kawiarni zostało już tylko kilkoro gości, Macy i jeszcze jedna dziewczyna pracująca za ladą. Gdy wybiła północ, Macy zamknęła drzwi.

Odłożyłem na bok gitarę i przeliczyłem zarobione napiwki. Zwitek banknotów schowałem do kieszeni płaszcza. Macy skończyła sprzątać i przysiadła się do mojego stolika, przynosząc mi kubek gorącej czekolady przykrytej kożuchem bitej śmietany.

- Wszystkim się podobało - pochwaliła mnie. - Nawet Jeff był pod wrażeniem. Powiedział, że możesz u nas zagrać ponownie.
  - Z przyjemnością.
  - He udało ci się zebrać na napiwkach?
  - Prawie pięćdziesiąt dolarów.
  - To naprawdę dobry wynik. Carlos zwykle kończy noc z dwudziestoma dolarami w kieszeni.
  - Tutejsza publiczność chyba nie przepada za Carlosem.
  - Raczej nie. Carlos szczyt swojej kariery ma już dawno za sobą. Jako zastępstwo okazałeś się lepszy od oryginału.
  - Na dodatek dwie osoby zapytały o lekcje.
  - Wcale mnie to nie dziwi. To dzięki moim ulotkom. Były bardzo... przekonujące.
  - Niezwykle przekonujące - zaśmiałem się. - Dasz się zaprosić na obiad?
  - Wolałabym śniadanie. Mam wielką ochotę na naleśniki.
  - Zatem idziemy na naleśniki.
- Pojechaliśmy do najbliższej restauracji International House of Pancakes, gdzie serwowali naleśniki o każdej porze dnia i nocy. Zamówiłem frytki, a Macy wielką porcję maślanych naleśników, które natychmiast utopiła w morzu syropu klonowego. Zabawnie było obserwować, jak osoba tak drobna jak ona pochłania naleśniki z istic wilczym apetytem.
- Dużo myślałam o tym, co powiedziałeś podczas naszej ostatniej rozmowy - zaczęła Macy. - Myślę, że zrobię, jak mi radziłeś.
  - Ale co takiego?

- Odnajdę siostrę.
  - Super. Od czego zaczniesz?
  - Dziś rano zadzwoniłam do DODR. Jutro o dziesiątej jestem umówiona na spotkanie z kuratorką.
  - Co to jest DODR?
  - Departament Opieki nad Dziećmi i Rodziną. To oni zabrali mnie z domu. - Opuściła wzrok i przez chwilę wpatrywała się w leżący na talerzu kawałek naleśnika. - Wiesz, co w tym wszystkim boli mnie najbardziej? Nie pamiętam nawet jej imienia. - Potrząsnęła głową, jakby chciała w ten sposób dodać wagi wypowiedzianym słowom. - Nie pamiętam imienia własnej siostry. - Uniosła widelec do ust.
  - Może jest po temu jakiś powód — zaryzykowałam.
  - Na przykład taki, że miałam wtedy dopiero siedem lat?
  - Może raczej separacja z siostrą była dla ciebie tak wielką traumą, że wyparłaś wszystkie związane z nią wspomnienia. Pisałem kiedyś na ten temat pracę w szkole średniej. Taki proces nazywa się wyparciem. Im boleśniesz spotka cię doświadczenie, tym bardziej prawdopodobne, że tak właśnie zareagujesz.
- Przez chwilę zastanawiała się nad tym, choć nie przestała jeść naleśników.
- Powinieneś zostać psychologiem - powiedziała w końcu.
  - Mam zbyt wiele własnych problemów.
  - Wszyscy psychologowie mają jakieś problemy ze sobą. Jak myślisz, dlaczego zostali psychologami?
- Skończyliśmy jeść późnonocne śniadanie. Zapłaciłem rachunek i ruszyliśmy w kierunku naszych samochodów.

Jechaliśmy w przeciwnych kierunkach, musieliśmy więc pożegnać się już na parkingu.

- Dzięki za śniadanie.

- Dzięki za niezwykły wieczór. Naprawdę, świetnie się bawiłem. Nie mam pojęcia, w jaki sposób zdołam ci się odwdzięczyć.

- Powinnam była zażądać procentu od napiwków - powiedziała z uśmiechem. - Ale wystarczy, jeśli dasz mi upust na lekcje gry.

- Jak dla ciebie, lekcje są za darmo.

- Nic z tego, muszę ci jakoś zapłacić.

- Nie, nie musisz.

- Nalegam.

- Zgodzisz się płacić mi gorącą czekoladą?

- Może lepiej umówimy się, że raz w tygodniu ugotuję dla ciebie obiad, a ty w zamian udzielisz mi lekcji?

- Brzmi uczciwie.

- Nie bądź tego taki pewien. Jeszcze nie wiesz, jak gotuję.

- Na pewno nie gorzej ode mnie.

- To co, umowa stoi? - Zaśmiała się.

- Zadzwoń do ciebie jutro.

- Będę czekała. Dobranoc. Uścisnęliśmy się na pożegnanie.

- Jest jeszcze coś, co nie daje mi spokoju - rzuciłem, gdy odwracała się już w stronę samochodu.

-Tak?



- Dlaczego przyszedłeś wtedy do mnie zobaczyć, jak sobie radzę?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Sama nie wiem. Po prostu cię lubię. No i jesteś całkiem przystojny. - Uśmiechnęła się i wsiadła do wozu. - Pogadamy jutro.

Poczekalem, aż odjedzie, zanim podszedłem do swojego auta. Poznałem ją zaledwie cztery dni wcześniej, a mimo to byłem już w niej zakochany po same uszy.

## *Rozdział 7*

*Czy znajdzie się wśród nas ktoś, kto nie zaznał smaku dziecięcej krzywdy? Każdy dorosły był przecież kiedyś dzieckiem. Niektórzy zaś są nimi nadal.*

*Z dziennika Marka Smarta*

*30 listopada 1975*

Macy siedziała na tylnym siedzeniu samochodu, przyciśnięta do drzwi. Miała na sobie bożonarodzeniową sukienkę w czerwono-zieloną kratę, z bufiastymi rękawami i spódniczką w kształcie dzwonu. Włożyła ją po raz pierwszy, odkąd zamieszkała u Hummelów. Po raz pierwszy też pani Hummel zainteresowała się jej wyglądem. Policzki nadal miała zaczerwienione od intensywnego szorowania mydłem.

Cała czwórka dzieci na tylnym siedzeniu dodgea chargera włożyła „niedzielne ubrania wizytowe”. Tak nazwała je Irenę Hummel, co brzmiało nieco dziwacznie, bo nigdy nie chodzili w niedzielę do nikogo z wizytą. Nie chodzili nawet do kościoła. Macy czuła, jakby wszyscy grali role w jakimś przedstawieniu, a ładne ubrania były teatralnymi kostiumami.

Samochód prowadził ojczym Macy, Dick. Dick Hummel był piekarzem w jakimś supermarkecie. Sprawiał wrażenie cichego, spokojnego, niełatwo ulegającego emocjom mężczyzny i był jedynym domownikiem, z którym Macy potrafiła się dogadać. Wyczuwała, że jej współczuje, bo dobrze rozumiał, co musiała znosić w tym domu. Mimo dzielącej ich różnicy wieku rozwinął się między nimi szczególny rodzaj przyjaźni, jaki często łączy ze sobą ofiary tego samego nieszczęścia.

Niestety Dick Hummel rzadko bywał w domu. Macy nie miała mu tego za złe. Gdyby tylko zależało to od niej, także wolałaby tutaj nie wracać. Kiedyś poprosiła nawet Dicka, Żeby zabrał ją ze sobą do pracy, ale nie spodobało się to pani Hummel.

— To kolejna z jej gier, ona zrobi wszystko, byle tylko wykręcić się od obowiązków - oznajmiła.

Panią Hummel zawsze bardzo złościło, gdy Macy spędzała czas w towarzystwie Dicka.

Bieg myśli Macy raptownie przerwał łokieć, który z impetem wbił się pod jej żebra.

- Jeśli sędzia mnie spyta, powiem, że wcale ciebie nie chcemy - syknął Bart.

— Ani trochę - zawtórowała mu Sheryl. Macy odwróciła twarz z powrotem do okna.

- I bardzo dobrze - odcięła się.

\*

W wejściu do budynku sądu czekała na nich kuratorka. Ta sama, która odebrała ją ojcu. Kobieta pozdrowiła ją serdecznie.

Macy nie widziała jej od przeszło roku, czyli od dnia, gdy po raz pierwszy przekroczyła próg domu Hummelów. Mimo to urzędniczka witała ją teraz niczym członka rodziny. Kolejne przedstawienie.

- Ślicznie wyglądasz - zwróciła się do Macy z przyklejonym do twarzy uśmiechem. - Co za wyjątkowy dzień. Miałaś ogromne szczęście.

Macy pomyślała, że kobiecie musiało chodzić o jakieś znaczenie słowa „szczęście”, którego ona

jeszcze nie poznała. Później przyszedł jej do głowy inny pomysł, który wlał w serce nieco otuchy. Być może sędzia zapyta ją, czy godzi się na adopcję. Wtedy powie mu, jak bardzo niedobrzy byli dla niej wszyscy Hummelowie. Opowie o tym, jak pani Hummel krzyczała na nią, i o tym, że czasem ją biła, i jeszcze o tym, że kazała jej wykonywać w domu więcej obowiązków niż pozostałym dzieciom. Być może wtedy sędzia pozwoli jej wrócić do ojca.

- Przygotowaliśmy dla ciebie niespodziankę. - Sztuczny uśmiech ani na chwilę nie schodził z ust kobiety. - Twoja siostra zostanie zaadoptowana jednocześnie z tobą.

Macy poczuła, że serce w jej piersi zaczyna szybciej bić. W końcu w jej życiu miało się wydarzyć coś dobrego.

- Czy to znaczy, że zamieszkamy teraz razem? Uśmiech znikł w jednej chwili.

- Nie. Wasze wnioski adopcyjne będą rozpatrywane równolegle. Myśleliśmy, że sprawimy ci w ten sposób przyjemność.

Dziesięć minut później do holu weszła młodsza siostra Macy. Miała na sobie nienagannie wyprasowaną aksamitną sukienkę o marynarskim kroju. Starannie zaczesane do

tyłu włosy związane jedwabną wstążką. Towarzyszyli jej dwaj grzeczni chłopcy ubrani w pasujące do sukienki marynarskie mundurki i przypinane krawaciki. Wyglądali niczym miniaturki ojca, przystojnego, dobrze ubranego mężczyzny w dwurzędowym prążkowanym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i jedwabnym krawacie.

Noel krzyknęła radośnie na widok siostry.

- Macy, Macy.

Obie ruszyły biegiem, padając sobie w ramiona na środku pomieszczenia. Hummelowie i Thorupowie, przybrani rodzice Noel, zachowywali dystans, zajmując jak najbardziej oddalone od siebie miejsca po przeciwnych stronach obszernej poczekalni. Z początku Noel źle znosiła brak Macy i psycholog dziecięcy, do którego udali się po radę, doradził Thorupom, żeby umożliwili obu dziewczynkom spotkanie. Pani Thorup skontaktowała się z panią Hummel, by wspólnie rozwiązać jakoś ten problem, ale ich rozmowa wkrótce przerodziła się w regularną kłótnię. W końcu obie kobiety starały się już tylko za wszelką cenę przekrzyczeć rywalkę. Pani Hummel nie chciała pozwolić Macy na spotkanie z siostrą. Niechęć pomiędzy obu rodzinami była tak intensywna, że dało się ją niemal wyczuć w powietrzu.

- Nie zostawiaj mnie - prosiła Noel. Macy tuliła ją z całych sił. Obie dziewczynki zapomniały na chwilę o dorosłych obserwujących je z obu stron sali. - Nie zostawię, siostrzyczko.

Dziewczynki siedziały razem na podłodze i przynajmniej przez chwilę cały świat wydawał im się taki, jaki być powinien. Macy robiła głupie miny, a Noel śmiała się z nich radośnie.

Dwadzieścia minut później do pomieszczenia weszła kuratorka.

- Sędzia czeka już na państwa — zwróciła się do Hummelów.

Pani Hummel zerwała się z krzesła i w kilku krokach znalazła się przy Macy.

- Idziemy - mruknęła, kładąc jej dłoń na ramieniu. Macy spojrzała na siostrę i wybuchnęła płaczem.

- Ale ja nie chcę nigdzie iść.

- Nie, nie, nie! - Noel krzyczała rozpaczliwie. - Ona jest moja. Nie możesz zabrać mi Macy!

Pan Thorup podszedł do nich i starał się wziąć Noel na ręce.

- Chodź tu, kochanie. Macy musi już iść. Płacz Noel przeszedł w wibrujący krzyk.

- Nie! Nie odchodź! — Z całej siły chwyciła pasek sukienki Macy. - Nie odchodź! Nie odchodź!

Irenę Hummel posłała mężczyźnie pełne wyrzutu spojrzenie, jakby to jego winiła za całe zamieszanie.

- Sędzia na nas czeka - powiedziała lodowatym tonem. - Proszę uspokoić córkę.

Mężczyzna ze spokojem wytrzymał wymierzony w niego wzrok.

- Niech pani nie będzie dla nich tak surowa. To w końcu siostry. - Delikatnie ujął Noel w pasie i uniósł w górę. - No chodź, szkrabie.

- Macy! Macy! Nie odchodź! Macy zaczęła płakać jeszcze głośniej.

- Nie chcę nigdzie iść.

Pan Thorup starał się przyciągnąć ją ku sobie, lecz Noel z całych sił trzymała się spódnicy Macy.

Mężczyzna, niepewny co dalej zrobić, stał na środku pomieszczenia, trzymając w rękach wyrywające się i krzyczące z całych sił dziecko. Płacz Noel słychać było na całym piętrze budynku i zaniepokojeni pracownicy magistratu wystawiali głowy przez drzwi swoich biur.

- Uspokój pan tego bachora - wrzasnęła Irenę.

- Szkoda, że nie ma kogoś, kto uspokoiłby panią - mruknął pan Thorup.

Pani Thorup podeszła do nich i posławszy jadowite spojrzenie pani Hummel, delikatnie odczepiła piąstki Noel od sukienki Macy. Noel wrzeszczała teraz z całych sił, rozpaczliwie starając się dosięgnąć rączkami siostry. W momencie gdy Macy została uwolniona od siostry, Irenę popchnęła ją w kierunku biura sędziego. Młodsza z dziewczynek, trzymana przez przybranego ojca, nadal krzyczała i machała rozpaczliwie rękami.

- Puść mnie! Puść mnie! Chcę do Macy! Chcę do Macy! Macy pochlipywała jeszcze, gdy dotarli do drzwi gabinetu.

Irenę Hummel boleśnie wbiła paznokcie w ramię dziewczynki.

- Przestań płakać.

Wchodząc do pokoju o ścianach wyłożonych mahoniową boazerią, Macy poczuła, jak w jej sercu strach bierze górę nad rozpaczą. Przesłuchanie nie odbywało się na sali rozpraw, lecz w gabinecie sędziego, a sędzia zamiast togi miał na sobie śnieżnobiałą koszulę i jasnoniebieski krawat w żółto-czerwone żagłówki. Wyglądał na dobrego, łagodnego człowieka. Ściany i biurko jego gabinetu ozdabiała zdjęcia dzieci i wnuków. Obdarzył ją miłym uśmiechem i już po pierwszym spojrzeniu

Macy była pewna, że lubił dzieci. Pomyślała, że ten człowiek z pewnością jej wysłucha i wszystko zrozumie, jeśli tylko ona dostanie szansę, żeby mu o tym opowiedzieć.

Pani Hummel usiadła tuż za nią, Macy czuła jej kolana na oparciu swojego krzesła.

Sędzia przyglądał się jej z fotela po drugiej stronie biurka, w zamyśleniu bawiąc się piórem.

— Cześć, Macy.

- Cześć - odpowiedziała cichutko. Bała się coraz bardziej. Miała ochotę gdzieś się schować. Chciała wrócić do siostry.

Sędzia pochylił się do przodu, ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku.

— Wiesz, dlaczego tu jesteś?

Sparaliżowana ciężarem spojrzenia jego ciemnych oczu zdobyła się jedynie na nieznaczne skinienie głową.

- Przyszliśmy tu wszyscy, ponieważ państwo Humme-lowie chcieliby cię adoptować. Czy wiesz, co znaczy słowo „adopcja”?

To znaczy, że trzeba iść tam, gdzie wcale nie chcesz iść - powiedziała w duchu Macy i ponownie skinęła głową. Otaczające ją dźwięki przybrały nagle na sile, zagłuszając wszystko inne. Macy słyszała tykanie odlanego z brązu i przykrytego szklaną kopułą zegara na półce i burczenie w brzuchu pani Hummel. Sędzia mówił coś do niej i od czasu do czasu udawało jej się uchwycić pojedyncze słowa, zupełnie jakby słuchała rozstrojonego radia.



-Czy wiesz... zmienić nazwisko?... już nie... Macy Wood... Hummel?

Później Macy przestała słyszeć nawet to. Głos nabrał ciężaru władzy i autorytetu, pod którym dziewczynka ugięła się niczym trzcina. Otworzyła szeroko oczy, czując, jak przytłacza ją powaga chwili, i z całych sił chwyciła dłońmi poręcze krzesła. Wtem, zupełnie nagle, głos ucichł. Wszyscy patrzyli na nią.

- Czy się zgadzasz? - spytał łagodnie sędzia. Mówiąc to, kiwał głową i Macy, nieprzytomna z przerażenia, powtórzyła teraz bezwiednie jego gest. Czy nie dostrzegł, jak bardzo była wtedy wystraszona? Czy nie widział, że Hummelowie nie byli dobrymi ludźmi?

Przesłuchanie dobiegło końca równie szybko i niespodziewanie, jak się zaczęło. Dorośli wymieniali gratulacje i uśmiechy. Wszyscy zdawali się zadowoleni. Wychodząc z gabinetu sędziego, Macy ujrzała swoją siostrę. Siedziała tyłem do drzwi i jadła lizaka.

- Siostrzyczko.

Noel odwróciła się do niej, ale pani Thorup szybko otoczyła ją ramieniem, by ją zatrzymać. Noel znów zaczęła płakać.

- Nie odchodź. Usta Macy drżały.

- Gdzie masz serduszko?

- Macy - płakała Noel. Szarpała się, starając się wyrwać z ramion pani Thorup. - Puść mnie!

- Siostrzyczko - powtórzyła Macy. - Gdzie masz serduszko?

Noel na moment zaprzestała walki i przyłożyła rączkę do piersi.

- Zachowaj mnie tam - powiedziała Macy.

Mężczyzna, który za kilka minut miał zostać ojcem Noel, wziął ją na ręce i wniósł do gabinetu sędziego, podczas gdy Macy ze spuszczoną głową poszła za Hummelami. Zrozumiała, że już nigdy więcej nie zobaczy swojej siostrzyczki.

Cała szóstka Hummelów wybrała się na lody, by świętować wyrok sądu. Macy dostała jedną gałkę lodów miętowo-czekoladowych.

## *Rozdział 8*

*Moc rządowej biurokracji jest tak wielka, że pokonać nie zdołają jej nawet połączone siły ludzkiego współczucia i zdrowego rozsądku.*

Z dziennika Marka Smarta

Minęło już ponad pięć lat od czasu, gdy Macy rozmawiała z kimś ze stanowej administracji. Kuratorka, którą wtedy spotkała, od dawna była już na emeryturze i recepcjonistka w biurze Departamentu Opieki nad Dziećmi i Rodziną odesłała ją do osoby, która przejęła większość jej starych spraw. W ten sposób Macy umówiła się na spotkanie z kuratorką Andrea Bellamy. Macy przygotowała się do niego starannie. Miała na sobie pożyczony od współlokatorki kostium: różową spódnicę i pasującą do niej marynarkę, pod którą włożyła kraciastą bluzkę. Chciała, żeby kuratorka zobaczyła, że udało jej się wyjść na ludzi nawet bez pomocy ze strony rządu. Wzięła ze sobą nawet torebkę - jej zdaniem wzbudzający powszechny szacunek symbol stabilności.

Kuratorka okazała się tęga kobietą z trwałą ondulacją i krzykliwym makijażem. Z resztą jej wyglądu kontrastowały jednak jasne, inteligentne oczy. Czekala na Macy w holu budynku.

- Witam, jestem Andrea.

- Macy. Miło mi panią poznać.

- Mnie również - odpowiedziała. — Proszę, chodź ze mną.

Andrea przeprowadziła ją przez labirynt biurowych boksów do pokoju konferencyjnego. Wskazała Macy krzesło i sama usiadła po drugiej stronie stołu, jednocześnie kładąc ciężką teczkę na blacie między nimi. W ciasnym grafiku zajęć kuratora nie było czasu na czece pogawędki i Andrea Bellamy przeszła od razu do rzeczy.

- Wczoraj odnalazłam twoją teczkę. Sprawę utrudniła mi nieco zmiana nazwiska.

- Tak, proszę pani.

- Według twoich dokumentów, kiedy miałaś osiem lat, zaadoptowali cię Dick i Irenę Hummelowie.

Tego samego dnia twoja młodsza siostra została adoptowana przez inną rodzinę.

- Tak było. Zależy mi na tym, by dowiedzieć się, kim oni są.

Kobieta posłała jej długie, poważne spojrzenie, z którego trudno było wyczytać jakiegokolwiek emocje.

- Chciałabym ci w tym pomóc, ale jej teczka została utajniona wyrokiem sądu.

- Utajniona? - Macy spojrzała na nią pytająco.

- To znaczy, że bez wyroku sądu nie mogę udzielać ci żadnych informacji na jej temat.

- W jaki sposób uzyskam taki wyrok?

- Prawdę mówiąc, najpewniej wcale go nie uzyskasz.

- Jak to?

- Pracuję tu od siedmiu lat i jeszcze nie zdarzyło się, żeby sąd zgodził się udostępnić raz utajnione akta.

- Przecież mam chyba prawo zobaczyć się z własną siostrą.
- To prawo musi ustąpić przed jej i jej przybranych rodziców prawem do zachowania prywatności.
- Po co moja własna siostra miałaby chronić przede mną swoją prywatność?

Kobieta nie odpowiedziała na to pytanie.

- Czy może mi pani przynajmniej powiedzieć, jak ona ma na imię?
  - Nie pamiętasz jej imienia? Macy potrząsnęła głową.
  - Zapomniałam.
  - Przykro mi, ale nie mogę wyjawiać żadnych szczegółów. Dziewczyna oparła czoło na złożonych dłoniach.
  - Czy nie dałoby się jakoś obejść tych przepisów?
  - Wyłącznie w przypadku, gdyby twoja siostra zdecydowała, że chce się z tobą spotkać, i złożyła w tym celu formalny wniosek. Mamy teraz twój aktualny adres i numer telefonu, skontaktujemy się więc natychmiast, gdy otrzymamy taki dokument.
  - Ale ona może mnie wcale nie pamiętać. Gdy nas rozdzielono, miała dopiero cztery lata.
- Kuratorka patrzyła teraz na Macy z wyraźną sympatią.

- Bardzo mi przykro, naprawdę. Chciałabym ci jakoś pomóc, ale nie mogę działać wbrew prawu.

W głosie Macy pojawiła się gniewna nuta.

- Ale tu chodzi o moją siostrę. Nikt nie zapytał nas o zdanie... - Macy patrzyła teraz kobiecie głęboko w oczy. -Dlaczego obcym ludziom pozwolono zdecydować o naszym losie?

I znowu nie uzyskała od niej żadnej odpowiedzi.

- Sądzi pani, że to jest w porządku?

- Nie, wcale tak nie sędzę. Mimo to nadal wiąże nas prawo, a prawo i „bycie w porządku” to czasem dwie całkiem różne sprawy.

Po chwili milczenia Macy wskazała na leżącą na stole teczkę.

- Czy mogę spojrzeć do moich akt?

- Nie mogę ci ich pokazać.

- Nie wolno mi zajrzeć do własnych akt?

- Przykro mi, ale nie. Są tam informacje na temat twoich biologicznych rodziców, a one także zostały utajnione.

- Zatem nie pozostało mi już zupełnie nic i nikt nie może mi pomóc.

- Niestety tak to wygląda.

Gniew i smutek walczyły o serce Macy.

- Co by pani zrobiła, gdyby ktoś powiedział, że już nigdy nie wolno pani zobaczyć rodziny?

- Nie mówiłam, że to jest w porządku, Macy. Takie jest jednak prawo.

- To złe prawo. Nie może mi pani pomóc? Tu chodzi o moje życie, a ona jest moją siostrą.

Kobieta przez moment patrzyła jej w oczy.

- Bardzo chciałabym móc ci jakoś pomóc. Naprawdę.

Macy poczuła, że jeszcze chwila i nie będzie w stanie dłużej powstrzymać łez. Wtem z biurowego głośnika odezwał się głos:

- Andrea Bellamy, rozmowa telefoniczna na linii piątej.

- Muszę odebrać - wyjaśniła Andrea, podnosząc się z krzesła. Spojrzała na aparat telefoniczny ustawiony w rogu pokoju, potem znów na Macy.

- Chyba jednak odbiorę we własnym biurze. - Na jej ustach zagościł zagadkowy uśmiech. Wzrokiem wskazała na leżącą na blacie teczkę. Spojrzenie Macy podążyło ku niej. Przez chwilę obie patrzyły na teczkę, potem spojrzały na siebie nawzajem. Wreszcie Macy zrozumiała.

- Zajmie mi to pięć minut.

- Nie ma pani może przy sobie czegoś do pisania? Andrea wyciągnęła plastikowy długopis z aktówki i wręczyła go dziewczynie.

- Notatnik znajdziesz na stoliku przy telefonie. - Ruszyła ku drzwiom, zostawiając Macy ze wzrokiem wbitym w leżącą na stole teczkę.

Przystanęła na moment w progu.

- Pięć minut.

- Dziękuję.

- Za co? - spytała Andrea Bellamy. - Już przecież mówiłam, że nie mogę ci pomóc. - Wychodząc, starannie zamknęła za sobą drzwi.

Macy chwyciła teczkę i gorączkowo zaczęła przeglądać znajdujące się w niej dokumenty. Teczka była solidnie

wypchana i znajdowały się w niej szczegółowe raporty z kolejnych miejsc, w których mieszkała. Był tam też jej profil psychologiczny, nie miała jednak czasu, by go teraz czytać, złożyła więc kartkę we czworo i wcisnęła do torebki. W końcu znalazła jakiś raport opatrzony imieniem i nazwiskiem jej ojca oraz jego adresem. Sięgnęła po notatnik i przepisała wszystkie potrzebne dane. Nim Andrea wróciła do pokoju, Macy dawno już opuściła budynek.

## Rozdział 9

*Zastanawiałem się ostatnio nad znaczeniem ukrytym w przysłowiu: „Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane”.*

*Czy oznacza to, że ludzie mają dobre chęci, ale po prostu nie wprowadzają ich w życie? Czy też odwrotnie: starają się postępować dobrze, ale w rezultacie czynią tylko więcej zła? Nie jest zresztą istotne, która z tych dwu odpowiedzi jest prawidłowa, bo tak czy inaczej zła jest wokół coraz więcej i nikt nie robi tego, co zrobić by należało.*

Z dziennika Marka Smarta

17 sierpnia 1978

Raz na dwa miesiące Irene Hummel jechała farbować włosy do kuzynki Sadie. Sadie mieszkała w niewielkim miasteczku Nephi, położonym godzinę jazdy na południe od ich domu. Macy niecierpliwie oczekiwała tych wyjazdów, ponieważ Irene zostawiała ją wtedy u cioci Stephanie. Macy bardzo lubiła ją odwiedzać. Ciocia Stephanie mieszkała na wsi. Miała tam tajemniczy ogród i wielkiego, szarego kota Tabithę. Ciocia przygotowywała dla niej kanapki z masłem i miodem i zupę



pomidorową campbell z puszki, do której wrzucały całe mnóstwo słonych grzanek. W zamrażarce trzymała zawsze kilka pudełek ciastek Twinkies. Na podwieczorek wyciągała ciastka z lodówki i zajadały się nimi, gdy waniliowa masa w środku była jeszcze zmrożona. Tylko ona nazywała ją nadal Macy. Macy Ślicznotką.

W domu Hummelów działo się coraz gorzej. Pewnego sobotniego popołudnia pan Hummel spakował walizki i wyprowadził się na dobre. Wkrótce potem pani Hummel biła już Macy prawie każdego dnia. Tego poranka, gdy Macy siedziała cichutko na tylnej kanapie samochodu wiozącego ją do cioci Stephanie, przyszła jej do głowy pewna myśl. Może, gdyby powiedziała cioci o tym, co robi jej pani Hummel, ta zaprosiłaby ją, żeby zamieszkały razem. Wydało jej się to bardzo rozsądnym rozwiązaniem. Ciocia Stephanie powtarzała przecież często, jaką radość sprawiają jej wizyty Macy. Mimo to musiał minąć niemal cały dzień, zanim Macy zdobyła się wreszcie na odwagę, by z nią porozmawiać. Ciocia siedziała właśnie w salonie, zszywając nową kapę na łóżko, gdy Macy weszła powolutku do pokoju. Kobieta uśmiechnęła się do niej.

- O co chodzi, kochanie?

- O nic.

Ciocia wróciła do swojej robótki.

- Pani Hummel mnie bije - wypaliła nagle Macy. Ciocia Stephanie odwróciła się i spojrzała w jej stronę.

- Co takiego powiedziałaś, kochanie?

- Pani Hummel mnie bije.

- Ależ twoja mama nigdy by cię nie uderzyła. Może kiedyś dała ci po prostu klapsa.

- Biję mnie codziennie. Czasem w twarz.

Ciocia Stephanie odłożyła igłę i przyjrzała się jej uważnie.

- Czy to prawda?

- Mhm - Macy potwierdziła skinieniem głowy.

Przez moment kobieta zdawała się nie być pewna, co teraz powinna powiedzieć.

- Cóż, zdaje się więc, że będę musiała z nią porozmawiać. Macy poczuła, jak krew w jej żyłach zmienia się w lód.

- Proszę, nie mów jej.

- Jeśli cię bije, ktoś musi z nią porozmawiać. Nie możemy przecież pozwolić na to, żeby coś takiego się powtórzyło. Biegnij pobawić się w ogrodzie, a ja zadzwonię do niej od razu.

Macy wyszła z pokoju na sztywnych nogach, ze strachu ledwie mogła się poruszać. Z całego serca żałowała teraz, że powiedziała o wszystkim cioci,

Trzy godziny później pani Hummel zajechała pod dom, żeby ją odebrać.

- Dobranoc, Macy Ślicznotko - zegnała ją ciocia Stephanie, gdy szła w stronę samochodu. - Wróc do mnie prędko.

- Dobranoc - odpowiedziała Macy.

Wdrapując się na tylne siedzenie, Macy była przerażona, niczym wstępujący na szafot skazaniec. Bała się spojrzeć na panią Hummel, ale ta zachowywała się, jakby nie zaszło nic niezwykłego. Macy przemknęło przez myśl, że być może ciocia Stephanie zapomniała jednak do niej zadzwonić. Z całych sił starała się wierzyć, że tak właśnie było. Zanim dojechały do domu, ściemniło się już całkiem. Macy weszła do środka, pani Hummel szła za nią.

Gdy tylko zatrzasnęły się frontowe drzwi, Macy poczuła, jak ktoś chwytają z tyłu za głowę.

- A więc ja cię biję? - usłyszała głos za sobą. Dziewczynka wiedziała, że odpowiedź tylko bardziej by ją

rozwścieczyła. Cofnęła się pod ścianę i z przerażeniem obserwowała swoją matkę.

- Dostałaś klapsa, ponieważ byłaś niegrzeczna. To ty mnie do tego zmusiłaś. To była twoja wina. To dlatego, że z ciebie taka okropna dziewczucha. Nigdy nie powinniśmy byli przyjmować cię do naszej rodziny. Same z tobą kłopoty. - Uderzyła ją otwartą dłonią w głowę. — To przez ciebie odszedł od nas Dick. To przez te wszystkie kłopoty, które nam sprawiasz.

Macy zamarła w bezruchu, starała się nie robić niczego, co mogłoby dodatkowo pobudzić gniew kobiety.

-Ja cię biję, gówniaro? Ty jeszcze nie wiesz, co oznacza bicie. To jest bicie. - Cios, który spadł na policzek Macy, rzucił nią o ścianę. Poczowała, jak z nosa cieknie jej krew. - I to. I to...

Macy starała się unikać nawałnicy ciosów, które na nią spadały, ale było ich zbyt wiele i były zbyt szybkie, by się przed nimi chronić. Pani Hummel biła ją przez następne pięć minut, zanim zmęczenie wzięło wreszcie górę nad kipiącym w niej gniewem. Dyszała ciężko, wpatrując się w nią złymi i okrutnymi oczami. Macy osunęła się na podłogę, zakrywając głowę ramionami, zbyt przerażona, by zaryzykować spojrzenie w stronę stojącej nad nią kobiety. Płakała cichutko.

- Przepraszam - chlipała.

- Teraz ci przykro. - Pani Hummel wymierzyła ostatniego kopniaka w żebra Macy, ale nie było w nim już tyle siły co wcześniej. Uszła z niej już cała energia.

- Ty głupia gówniaro. Dowiem się, jeśli jeszcze raz powiesz komuś, że cię biję. Sami mi to powtórzą, tak jak zrobiła to Stephanie. Wtedy dam ci kolejną nauczkę.

- Nikomu już nie powiem - załkała Macy.

- A pewnie, że nie! I lepiej, żeby wszystkie naczynia były pozmywane, gdy wejdę rano do kuchni. Zataczając się, ruszyła korytarzem. Macy czekała, aż usłyszy trzaśnięcie drzwi sypialni, po czym poszła do łazienki, gdzie za pomocą papieru toaletowego udało jej się w końcu zatamować krwotok z nosa. Potem weszła do kuchni i zabrała się do zmywania naczyń.

Przez kolejny tydzień Macy nie chodziła do szkoły, czekała, aż znikną siniaki na twarzy i wokół podbitych oczu. Pani Hummel usprawiedliwiła ją u wychowawczyni, mówiąc, że dziewczynka złapała grypę. Przy następnym spotkaniu z ciocią Stephanie kobieta wydała się Macy już inną osobą niż wcześniej. Przestała kojarzyć się jej z ciastkami Twinkies i kanapkami z miodem. Ona również należała teraz do spisku pani Hummel. Cały świat należał do spisku, a Macy musiała nauczyć się w nim żyć, mimo że oznaczało to bezustanne balansowanie na rozhuśtanym moście przerzuconym nad rzeką pełną wirów i niebezpieczeństw.

Zmywały razem naczynia, gdy ciocia beztróskim tonem zapytała ją, czy Irenę uderzyła ją ponownie.

- Nie, proszę pani - odpowiedziała szybko Macy. Na ustach cioci pojawił się pełen dumy uśmiech.
  - Sama widzisz, że zawsze warto rozmawiać otwarcie. Ludzie w głębi serca są dobrzy. Jeśli przeszkadza ci coś, co czynią inni, wystarczy im o tym powiedzieć.
- Macy już nigdy nie wyjawiała nikomu tego, co robiła jej pani Hummel.

## *Rozdział 10*

*Nikt nie ujął tego lepiej niż CS. Lewis, który napisał: „O wiele bardziej lubię nietoperze niż biurokratów”.*

Z dziennika Marka Smarta

Wracając z pracy, zadzwoniłem do Macy z budki telefonicznej przy sklepie 7-Eleven. Ledwie zdążyłem się z nią przywitać, gdy wykrzyknęła do słuchawki:

- Zrobili to specjalnie, z premedytacją nas rozdzielili.
- Kto taki?
- Władze stanowe.
- Tak ci powiedzieli, sami się do tego przyznali?
- Nie, nie chcieli mi niczego powiedzieć. Ale w aktach, które mieli na mój temat, znalazłam swój profil psychologiczny. Jakiś kurator napisał tam, że przejęłam rolę najważniejszego opiekuna mojej młodszej siostry i w jego opinii pozostawienie nas razem mogłoby uniemożliwić jej nawiązanie normalnych relacji w strukturze tradycyjnej rodziny. Z uwagi na to ów kurator, cytuję: „doradza, by siostry od siebie odseparować i przydzielić do różnych rodzin”.

- Możesz w to uwierzyć? Rozdzielili nas, bo kochałam swoją siostrę i opiekowałam się nią.
- Facet musiał być istnym geniuszem - dorzuciłem z sarkazmem. - Udało ci się ustalić, gdzie ona teraz mieszka?
- Nie. Ale mam adres ojca. On powinien wiedzieć, jak ją odszukać.
- Dobry pomysł - zgodziłem się.
- Pojadę do niego.

Powiedziała to z taką łatwością, jakby odwiedziny u ojca były stałym elementem jej niedzielnej rutyny.

- Kiedy widziałaś się z nim po raz ostatni?
- Czternaście lat temu.
- Nie denerwujesz się trochę tym spotkaniem? - spytałem.
- Może trochę.
- Chciałabyś, żebym ci towarzyszył?
- A mógłbyś?
- Jasne, że tak. Kiedy chciałaś jechać? - Jutro z samego rana. Jakoś koło dziewiątej.
- Przyjadę po ciebie.
- Super. Aha, Jo będzie w domu. W końcu będziecie mogli się spotkać. Masz na czym zapisać mój adres?

Nagryzmołem nazwę ulicy i numer domu na kawałku kartki.

- Do zobaczenia jutro - powiedziałem na pożegnanie.
- Jutro - odpowiedziała - jutro zmieni się mój świat.

## *Rozdział 11*

*Jestem przekonany, że całe dobro i zło, które czynimy innym, w końcu kiedyś powraca. Jeśli jednak wyrządzone zło było wielkie, wraca do nas w dwójnasób.*

Z dziennika Marka Smarta

*6 czerwca 1981*

Minęło już przeszło półtora roku, odkąd Dick Hummel opuścił rodzinę i pani Hummel coraz rzadziej wychodziła ze swojej sypialni. Tkwiła tam całymi dniami przy szczelnie zaciągniętych zasłonach, czasem tylko przywoływała któreś z dzieci, żeby przyniosło jej coś do jedzenia. Bart, Ron i She-ryl najczęściej ignorowali wezwania matki, wykorzystując, jak tylko się dało, brak rodzicielskiego nadzoru. Dom pogrążał się w radosnej anarchii. Co ciekawe, spośród wszystkich domowników Irene Hummel liczyć mogła jedynie na współzucie Macy. Dziewczyna skończyła już piętnaście lat. Z całych sił starała się utrzymać porządek w domu; by zapłacić lodówkę, sięgała czasem do pieniędzy zarobionych samodzielnie na niańczeniu dzieci sąsiadów.



Pewnego wieczoru Macy wróciła do domu ze swoją przyjaciółką Trący. Zostawiła Trący pod drzwiami sypialni pani Hummel, a sama weszła do mrocznego pokoju.

- Gdzieś ty się włóczyła? - warknęła pani Hummel. - Wołam cię od paru godzin. Gardło sobie zdarłam, ledwie mogę mówić.

- I dobrze - mruknęła pod nosem Macy.

- Co powiedziałaś?

- Nic, nieważne. Dopiero co wróciłam do domu. Byłam na zakupach. Skończyły się nam mleko i płatki śniadaniowe.

- Gdzie jest Sheryl?

- Nie wiem - skłamała Macy. Minęły Sheryl na rogu ulicy. Paliła tam papierosy z grupką chłopaków.

- Chodź tu bliżej.

Macy podeszła do łóżka. Irene rzuciła się w jej kierunku z zaciśniętą pięścią, ale zamach okazał się na tyle nieporadny, że dziewczyna z łatwością uniknęła wymierzonego w nią ciosu. Macy była teraz większa i silniejsza od pani Hummel, z łatwością mogłaby się jej zrewanżować. Mimo to nigdy jej nie uderzyła.

- Idź szukać siostry. To twoja wina, że nigdy nie ma jej w domu.

Macy odwróciła się od leżącej kobiety.

- Nie waż się odwracać do mnie plecami! Nie waż się odwracać do mnie plecami, słyszysz!

Macy wyszła z pokoju. W korytarzu czekała na nią Trący. Była naprawdę wściekła.

- Pozwól mi zamienić słowo z tą starą wiedźmą.

- Nie, daj spokój. Lepiej po prostu stąd chodźmy. - Macy wyprowadziła ją do salonu.

- Dlaczego jej na to pozwalasz?
  - Ona jest chora.
  - Ona jest chora na umyśle. Nawet moja mama tak mówi. To skończona wariatka. - Ze złością wypuściła powietrze. - Posłuchaj mnie, Macy. Nie mogę być twoją przyjaciółką i jednocześnie patrzeć spokojnie na to, co tutaj się dzieje.
  - A co ja mogę na to poradzić?
  - Mama powiedziała, że mogłabyś u nas mieszkać tak długo, jak długo będzie potrzeba.
- Macy spojrzała w kierunku zamkniętych drzwi sypialni.
- Pomyślę o tym.
  - Tu nie ma o czym rozmyślać. Idź się pakować.
  - Sama nie wiem.
  - Wybieraj, albo ja, albo ta wiedźma. Nie mam zamiaru dłużej się temu przyglądać. - Trący podeszła do drzwi wejściowych. Położyła dłoń na klamce i odwróciła się do Macy. - Idziesz?
  - Zaczekaj - powiedziała niepewnie Macy.
  - Ja nie żartuję, Macy - Trący mówiła cicho, ale jej głos był pełen emocji. - Jeśli nie pozwolisz mi sobie pomóc, wychodzę w tej chwili.
- Dziewczyna spojrzała raz jeszcze w głąb korytarza, potem ponownie na przyjaciółkę.
- Daj mi pięć minut, muszę się spakować.
- Pakowanie zabrało Macy mniej niż pięć minut. Błyskawicznie wrzuciła wszystkie swoje rzeczy do brezentowego, marynarskiego worka, tylko jedno małe pudełko trzymała ostrożnie w dłoni.
- Co jest w środku?

- To moja bombka. Dostałam ją od ojca w dniu, gdy zabrała mnie opieka społeczna.
  - Mogę ją zobaczyć?
  - Dobrze, ale bądź ostrożna. - Macy delikatnie podała przyjaciółce pudełeczko, jakby w środku ukryto jajko Faberge.
- Trący przez chwilę przyglądała się bombce. -Jejku! To niesamowite,jak coś równie kruchego mogło przetrwać w tym domu?
- Ukryłam ją. Wyjmowałam jedynie w Boże Narodzenie. -Jest piękna. - Trący oddała jej pudełko, - A teraz spadajmy z tej nory.
- Macy wyszła za przyjaciółką, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

## *Rozdział 12*

*Dziś spotkałem Joette, najlepszą przyjaciółkę Macy. Nasłuchawszy się od Macy opowieści o niej, oczekiwałem, że ujrę anioła. Jednak kobieta, która stanęła przede mną, zamiast skrzydeł miała na sobie koszulkę Utah Jazz, a w miejscu aureoli baseballową czapkę drużyny White Sox.*

Z dziennika Marka Smarta

Spojrzałem w górę i potrząsałem głową. Znowu padał śnieg. Była dopiero połowa listopada, a ja miałem już serdecznie dość śniegu i mrozu. Wszystkie przydrożne skrzynki na listy pokrywały czapy białego puchu i pewnie trudno byłoby mi odnaleźć podany adres, gdyby nie rada Macy, że powinienem rozglądać się za bliźniakiem z największą ilością świątecznych dekoracji w całej okolicy. Faktycznie, nietrudno było go dostrzec. Rozpoznałem stojący na podjeździe wóz Macy i zaparkowałem tuż za nią.

Na drzwiach zawieszono świąteczny stroik z gałęzi jodły. Nacisnąłem dzwonek i po chwili otworzyła mi drobna, nieco ponadczterdziestoletnia kobieta w sportowej koszulce i czapce drużyny White Sox. Rude włosy zebrała w koński ogon

i wysunęła przez otwór z tyłu czapki, pozwalając im opaść na plecy.

- Ty na pewno jesteś Mark.

- Na pewno - potwierdziłem.

- Mam na imię Joette. Wejź do środka. - Wyrzała na zewnątrz. - Znowu zaczęło padać.

Przestąpiłem próg.

- Nie da się ukryć. Nie możecie tu w Utah narzekać na brak śniegu.

- W tym roku nawet mniej niż zwykle. - Zamknęła za mną drzwi.

Salon był niewielkim pomieszczeniem i trudno było nie dostrzec, że mieszkańcy lubią spędzać tu czas. Mimo oznak częstego używania pokój był jednak czysty i zadbane. Unosiła się w nim woń cynamonu i gałki muszkatołowej, przywodząca na myśl świece zapachowe. W całym domu było mnóstwo fotografii, w większości czarno-białych w stylu pejzaży Ansela Adamsa. W odległym kącie wisiał obrazek z Jezusem, a pod nim, na podium z klonowego drewna leżała biblia. Uwagę przyciągał zawieszony nad kominkiem plakat z filmu *Czarnoksiężnik z Oz*.

Cały dom przystrojony był świątecznymi ozdobami. Na stolikach po obu stronach sofy stały szopki: pierwsza wyrzeźbiona była w drzewie oliwnym, druga zaś wykonana z porcelany. Na klawiszach pianina różowe anielskie włosy oplatały trzy duże, szklane świeczniki.

- Usiądź, proszę.

Usiadłem, a ona zajęła miejsce na drugim końcu sofy, złożąwszy dłonie na kolanach.

- Macy sporo mi o tobie opowiadała.

- A mimo to wpuściła mnie pani do domu?

- Zawsze przygarniamy zbłąkanych biedaków - odparła z uśmiechem. Szybko jednak zastąpił go wyraz smutku. -Przykro mi z powodu śmierci twojej mamy.

- Dziękuję.
- Stracić matkę to ciężka sprawa. Moja mama umarła, gdy byłam jeszcze w szkole średniej. Nadal za nią tęsknię. - Westchnęła i postanowiła zmienić temat. - Macy mówiła, że przyjechałeś z Alabamy.
- Tak, proszę pani.
- Nie ma wątpliwości. Nikt w Utah nie powie nigdy „proszę pani”. No, może poza Macy. Ale ty możesz mówić do mnie Joette albo Jo. Tak nazywa mnie Macy.
- Tak, proszę pani - powiedziałem odruchowo, co wywołało kolejny uśmiech. - Przepraszam.
- Nie, to mi się podoba. Zatem czeka was dzisiaj nie lada przygoda.
- Na to wygląda.
- Cieszę się, że pojedziesz razem z Macy. Trudno byłoby jej przechodzić przez to wszystko samej. W tym momencie do pokoju weszła Macy. Ubrała się elegancko, miała na sobie zaprasowane w kant spodnie i zamszową kurtkę, widać było też, że poświęciła sporo czasu na fryzurę i makijaż. Uznałem, że po czternastu latach niewidzenia ojca chciała zrobić na nim jak najlepsze wrażenie.
- Cześć - rzuciła na powitanie. Wstałem z sofy.
- Cześć. Świetnie wyglądasz.

- Dzięki. - Podeszła do Joette. - Powinnam zdążyć wpaść tu na chwilę przed pracą. Nie czekaj na mnie z obiadem.

- W porządku. Powodzenia. - Macy ucałowała kobietę.

- Miło mi było cię poznać - zwróciłem się do Joette.

- I wzajemnie. Mam nadzieję, że cię tu wkrótce ponownie zobaczę.

- Dziękuję za zaproszenie, z pewnością skorzystam.

Odprowadziła nas do drzwi i czekała w progu, aż wsiądziemy do auta. Otworzyłem drzwi dla Macy, potem obszedłem wóz i sam wsiadłem do środka.

- Właśnie zarobiłeś u niej plusa — oznajmiła Macy, gdy uruchamiałem silnik.

- Co takiego?

- Za to, że otworzyłeś mi drzwi samochodu. Joette to widziała. Zawsze podobali jej się chłopcy, którzy otwierają drzwi swoim towarzyszkom.

- Cóż, cieszę się, że dobrze zacząłem.

- O czym rozmawialiście, gdy na mnie czekałeś?

- W sumie to nie rozmawialiśmy długo. Złożyła mi kondolencje z powodu śmierci mamy.

- Mama Jo umarła, gdy ona była jeszcze w szkole średniej.

- Powiedziała mi o tym. - Wrzuciłem wsteczny, ale zaraz potem nacisnąłem na hamulec. - Dokąd właściwie jedziemy?

- Do Magna. Wiesz, gdzie to jest?

- Gdzieś na zachód stąd.

- Musimy dostać się na Dwudziestą Pierwszą Południową i jechać w kierunku pasma Oqurrih Mountains.

Wycofałem auto na ulicę i włączyłem się do ruchu. Po kilku milach powiedziałem:

- Opowiedz mi o Joette. Macy uśmiechnęła się szeroko.
- Jest moim aniołem. Nigdy nie spotkałam kogoś o duszy piękniejszej od niej.
- Musisz ją bardzo lubić.

Uśmiech stał się jeszcze bardziej promienny.

- Jak czekoladę.
- To się nazywa miłość.
- Kiedy się do niej wprowadziłam, Jo pracowała do drugiej albo trzeciej rano. Ja wtedy kończyłam pracę koło północy. Po powrocie do domu, zamiast iść spać, czekałam na nią, sprzątałam, odkurzałam, prasowałam i myłam naczynia. Minęły jakieś dwa tygodnie naszego wspólnego mieszkania i któregoś ranka po przebudzeniu znalazłam Jo siedzącą przy moim łóżku. Powiedziała, że musimy pogadać. Natychmiast przeszło mi przez myśl, że zrobiłam coś złego. Ona na to, że chodzi o sprzątanie. Niewiele myśląc, wypaliłam, że postaram się sprzątać bardziej starannie. A ona wtedy spojrzała na mnie i powiedziała coś, czego nie zapomnę do końca życia. Powiedziała: „Macy. Nie musisz być idealna, żeby móc tu mieszkać i żebyś mnie kochała”. I to wszystko. Potem po prostu wstała i wyszła z pokoju, a ja rozplakałam się jak bóbr. Po raz pierwszy w życiu ktoś okazał mi bezwarunkową miłość.
- Oczy zaszyły jej łzami. - Dałabym się dla niej pokroić żywcem.
- Miałaś szczęście, że spotkałaś kogoś takiego jak ona -przyznałem.
- Wiem. Dziękuję za nią każdego dnia. Nigdy w życiu nie przestraszyłam się tak bardzo, jak kilka lat temu, gdy myślałam,



że mogę ją stracić. Wykryli u niej zmianę nowotworową na oku. Dzięki Bogu, rak wszedł w fazę remisji. Minęły już prawie trzy lata. - Wzięła głęboki oddech. - Tak wiele jej zawdzięczam. Nie potrafiłabym bez niej żyć.

- A o co chodzi z tym plakatem z *Czarnoksiężnika z Oz*? Zaśmiała się pod nosem.

- Zauważyłeś go. Joette jest maniaczką tego filmu. Gdybyś ją zapytał o ostateczne źródło wszelkiej mądrości, prawdopodobnie wskazałaby właśnie na *Czarnoksiężnika z Oz*. Plakat, który widziałeś, nosi autograf Berta Lahra.

- A któż to taki?

- Grał w filmie Tchórzliwego Lwa.

- Robi wrażenie. - Skinałem głową.

W miarę jak posuwaliśmy się na zachód, Macy odzywała się coraz rzadziej. Magna to stare górnicze miasteczko, które wyrosło wokół dawno nieczynnej kopalni miedzi. Teraz większość domów przy głównej ulicy była opuszczona i powoli niszczała. Macy przyglądała się mijanym budynkom, a ja zastanawiałem się, jak wiele pamięta z dzieciństwa. Nagle wskazała na jeden z domów.

- Pamiętam, że kiedyś chodziłam do tego sklepu. Mieszkaliśmy przy tej ulicy przed nami, niedaleko starego kina.

Skręciłem we wskazaną przecznicę i podjechałem do chodnika, nad którym zwisał podniszczony żółty szyld nieczynnego kina. Na billboardzie pozostało kilka ostatnich liter tytułu jakiegoś dawno zapomnianego filmu z poprzedniej dekady. Jechałem powoli, wypatrując adresów na domach i mijanych skrzynkach na listy, tam gdzie dało się je dojrzeć spod czap świeżego puchu.

Przejeżdżaliśmy już trzecie

skrzyżowanie, gdy nagle Macy odezwała się pełnym rozczarowania głosem. - To chyba tutaj. Zatrzymałem samochód i sprawdziłem zapisany na kartce adres. Numer domu się zgadzał, ale na pierwszy rzut oka widać było, że w budynku od dawna nikt nie mieszkał. Okna zabite były płytami ze sklejki, na których ktoś wymalował sprayem napis NIE WCHODZIĆ. Podwórko ogrodzono wysoką do pasa metalową siatką. Zasypane wiatrem śniegu piętrzyły się przy zachodniej ścianie domu, wystawały spod nich kikuty chwastów i ostowe rzepy. Wysiedliśmy z samochodu. Macy otworzyła prowadzącą na podwórko furtkę i przez srający jej do połowy ud śmiegi zaczęła brnąć w stronę drzwi jej dawnego domu. Weszła na ganek i próbowała zajrzeć do środka przez szpary w zasłaniających okna deskach. Poszedłem za nią i stanąłem na ganku. - Chcę wejść do środka - powiedziała. Sprawdziłem frontowe drzwi, ale były zamknięte na głucho. Szybko rozejrzałem się wokół, czy ktoś nas nie obserwuje. W pobliżu nie było jednak nikogo, chwyciłem więc za brzeg jednej z przybitych do framugi północnego okna płyt i szarpnąłem z całej siły. Musiałem naprzeć na nią całym ciężarem i gdy gwoździe wreszcie puściły, runąłem z potężnym hukiem na deski podłogi. Spojrzałem na Macy. - Otworzę drzwi od środka. Wszedłem przez okno do wnętrza. W środku było ciemno, nacisnąłem wyłącznik światła, ale nie przyniosło to żadnego efektu. Zdałem sobie sprawę, że było to niezwykle głupie. Dobrze że Macy mnie teraz nie widziała. W powietrzu unosił

się wilgotny, zatechły zapach gnijącego dywanu i namokniętych tynków.

Otworzyłem zamek we frontowych drzwiach. Macy weszła do środka, zatrzymała się w salonie i rozejrzała naokoło. Nie byliśmy tu pierwsi. Przed nami do domu włamywali się inni ludzie. W kącie pokoju leżał porzucony barłóg, wokół którego wałały się puste butelki i niedopałki papierosów.

Ściany pokrywało graffiti. Macy zdawała się jednak wcale tego nie dostrzegać. W milczeniu wędrowała po pokojach, ja zaś szedłem krok w krok za nią.

- Dziwne uczucie, zupełnie jakby śniło mi się, że śnię - odezwała się wreszcie. - Wszystko wydawało mi się wtedy o wiele większe niż teraz. - Otworzyła drzwi wiodące do piwnicy, ale w pomieszczeniu było kilkanaście centymetrów wody. Zeszła na najniższy suchy stopień schodów, rozejrzała się wokół i wróciła na górę.

- Wszystko zabrali - w jej głosie brzmiał smutek. - Jak ja zdołam go teraz odnaleźć?

- Przykro mi. - Pokręciłem głową.

Wyszła przez frontowe drzwi. Zamknąłem zamek i gramoliłem się właśnie przez okno, gdy rozległo się czyjeś gniewne wołanie.

- Czego tam chcecie?! Przecież jest wyraźnie napisane NIE WCHODZIĆ!

Na chodniku przed domem stała starsza, czarnoskóra kobieta o siwych włosach. Była tak tęga, że łatwiej było ją przeskoczyć niż obejść, miała na sobie bordowy wełniany płaszcz z kołnierzem ze sztucznego futra i wielkimi czarnymi guzikami, a na nogach również czarne kalosze. Głowę owinęła prostym szalikiem, w ręku trzymała niewielką siatkę z zakupami. Srebrny yorkshire terrier szarpał smycz, węsząc za czymś w śnieżnej zaspie obok chodnika.

Pomyślałem, że Macy musi czuć się już wystarczająco podle, nawet bez wdawania się w sprzeczkę z wojowniczą staruszką.

-Już sobie idziemy - zawołałem w jej kierunku. Wziąłem Macy pod rękę i sprowadziłem po schodach ganku. Staruszka obserwowała nas uważnie ze swojego posterunku po drugiej stronie ogrodzenia.

- Powinni byli już dawno zburzyć ten dom. Przyciąga tylko włóczągów i zbiegów. A wy do której kategorii należycie?

- Słucham? - spytała Macy.

- Kim jesteście? Włóczągami czy zbiegami? Macy przystanąła.

- Nie jesteśmy ani jednym, ani drugim - powiedziała cicho.

- Którejś nocy w końcu ktoś podpali tę ruinę i całe sąsiedztwo pójdzie z dymem. I nikt nie będzie za nim płakał.

- Chodźmy stąd. - Pociągnąłem Macy za rękaw kurtki. Dziewczyna nadal stała jednak w miejscu. Potem ruszyła w stronę starszej kobiety.

- Szukam kogoś, kto kiedyś tu mieszkał.

- Nikt tutaj nie mieszka od przeszło dziesięciu lat, złotko. - Staruszka z wyraźnym zainteresowaniem przyglądała się teraz zbliżającej się do niej dziewczynie. - Podejź tu do mnie bliżej. Ku memu zdumieniu, Macy zdecydowała się jej posłuchać. Gdy zbliżyła się na odległość wyciągniętego ramienia, kobieta zmrużyła oczy i zaczęła z uwagą przypatrywać się jej

twarży. Potem podniosła dłoń i dotknęła policzka dziewczyny. Na jej pomarszczonych ustach wykwitł nagle promienny uśmiech.

- Ależ wyrosłaś. Piękna z ciebie panna, moja mała Macy.

- Pani zna moje imię? - Macy była wyraźnie zaskoczona.

- A dlaczegoż to miałabym je zapomnieć?

- Czyja panią znam?

- Znałaś. Prawie codziennie przychodziłaś bawić się do mojego domu. - Ani na chwilę nie spuszczała wzroku z Macy, jakby oczekując, że w końcu sobie przypomni. - Czasem uruchamiałyśmy starą pianolę.

Macy patrzyła w dół.

- Pamiętam pianolę. Bawiłam się u pani w domu?

- Odwiedzałaś mnie prawie codziennie, szczególnie kiedy twoja mama ciężko zachorowała.

Zjawiałyście się u mnie obie z siostrą i prosiłyście o czekoladę. Zawsze trzymałam kilka cukierków Brach Star schowanych w kredensie specjalnie na wasze wizyty.

- Zna pani moją siostrę?

- No jasne. Tak samo dobrze jak i ciebie.

- Wie pani, jak moja siostra ma na imię?

Kobieta zmierzyła ją pełnym niedowierzania spojrzeniem.

- Matko Boska, co oni z tobą zrobili? - Pociągnęła za trzymaną w rękę smycz. - Chodźcie ze mną do domu. Mamy sporo do obgadania.

Staruszka odwróciła się i posłała mi badawcze spojrzenie.

- Ciebie to ja jednak jeszcze nie znam.

- Jestem przyjacielem Macy - wyjaśniłem szybko. Wręczyła mi siatkę z zakupami.

- Cóż, przyjacielu, nie pomógłbyś mi z tym? W moim wieku nie mogę już tyle dźwigać.

Szybko chwyciłem torbę.

- Oczywiście.

Kobieta pochyliła się teraz w kierunku pieska.

- Chodź, Fred, zaprowadzimy Macy do domu.

## Rozdział 13

*Dzień wielkich odkryć. Dziś udało nam się ustalić, jak ma na imię siostra Macy. Okazało się, że odpowiedź na to pytanie Macy każdego roku zawieszala na choince.*

Z dziennika Marka Smarta

Zaledwie trzy posesje dzieliły dom staruszki od dawnego domu Macy. Budynek wzniesiono z czerwonej cegły i zaopatrzone w płócienne markizy. Całość wyglądała dość niezwykle w okolicy zdominowanej przez tanie, prefabrykowane konstrukcje o ścianach białych jak osłoniętych aluminiowym sidingiem. Kobieta powiedziała nam, że mieszkała w tym domu przez pięćdziesiąt siedem ze swoich osiemdziesięciu dwóch lat życia.

Nie bez wysiłku wspięła się na schodki betonowego ganku. Szliśmy tuż za nią. Wyciągnęła z kieszeni płaszcza pęk kluczy, otworzyła zamek i zaprosiła nas do środka.

Schyliła się i odpięła psu smycz, potem wyprostowała się powoli.

- Chyba napiję się teraz mleka.

Wzięła ode mnie torbę z zakupami i pokuśtykała do kuchni, zostawiając mnie i Macy w salonie. Pokój był prostokątny, na podłodze leżał złocisty kudłaty dywan, ściany pokrywały tapety zdobione motywem liści, także w kolorze złota. Tapety pożółkły z upływem lat, widać to było szczególnie w pobliżu okien. Meble musiały pochodzić jeszcze z lat pięćdziesiątych. Dom pachniał bżowym odświeżaczem powietrza. Jedną ze ścian zdobiła wyblakła fototapeta przedstawiająca którąś z hawajskich plaż. Na przeciwległej ścianie wisiała dumna kolekcja porcelanowych talerzy Wedgwood, a pod nią postawiono antyczną pianolę. Dwa gatunki drewna, które wykorzystano do inkrustowania obudowy instrumentu, układały się w jodełkowy wzór.

W rogu pokoju stała mała, sztuczna choinka, ozdobiona jedynie byle jak zarzuconym sznurem światełek. Przeciwległy róg zajmowała trzypoziomowa etażerka z orzecha, na której ustawiono porcelanowe figurki. Macy podeszła tam i nachyliła się, by z bliska obejrzeć lalki. Usiadłem na sofie i obserwowałem ją.

- Wybraliście dobry dzień na odwiedzin. - Głos kobiety dobiegał z drugiego pokoju. - Właśnie dziś oblałam czekoladą moje bożonarodzeniowe cukierki. Likierowe i orzechowe. Wiedziałam, że me możesz zmienić się aż tak bardzo kochanie - powiedziała, wchodząc do salonu z tacą pełną cukierków.

- Nie bardzo rozumiem - odpowiedziała niepewnie Macy.

- Uwielbiałaś te lalki, przy każdej wizycie biegłaś najpierw prosto do nich.

Macy ponownie przyjrzała się figurkom.

- Pamiętam je.

- Zauważyłaś tę z pękniętą rączką? -Tak.

- To ty ją zrzuciłaś. Cóż, może to Noel ją zrzuciła, a ty tylko wzięłaś całą winę na siebie? Nigdy nie zdołałam wyciągnąć tego z ciebie. Zawsze starałaś się ją chronić.



- Noel. Tak ma na imię - powiedziała Macy powoli, jakby wydobyła to imię z jakiegoś na wpół zapomnianego zakamarka umysłu. - To właśnie jest napisane na mojej bombce.
  - Christina Noel. Urodzona w Boże Narodzenie.
  - *The First Noel*. Za każdym razem, gdy słyszałam tę kolędę, czułam się jakoś dziwnie - przyznała Macy.
  - Śpiewałam ją dla niej, ilekroć do mnie przychodziłyście, nawet w środku lata. Były z was takie dwie śliczne dziewczynki. Ludzie odwracali głowy, żeby popatrzeć, jak idziecie chodnikiem rączka w rączkę. Żartowałam, że powinnyście pozwać władze stanowe za to, że zbudowały wam chodnik tak blisko tyłeczków. - Zaśmiała się.
  - Dla ciebie też śpiewałam piosenki. Najbardziej lubiłaś słuchać tej, która zaczynała się od słów: „Jesteś małą kropelką miodu, którą zgubiły przelatujące pszczołki”. Uwielbiałaś też tę piosenkę z *Mary Poppins*: „*Feed the birds, tuppence a hag..*”.
- Głos staruszki osłabł z latami i skrzypiał teraz niczym stara winylowa płyta, mimo to jego dźwięk pobudził w Macy dawno zapomniane uczucia.
- Kiedyś to miałam głos — mówiła dalej kobieta.
  - Pamiętam, że pięknie pani śpiewała - przyznała Macy.

- Założyłyśmy z siostrami małe trio wokalne. Byłyśmy całkiem niezłe. Ludzie lubili nas słuchać. Śpiewałyśmy na otwarciu szpitala Świętego Marka. Oczywiście, urodę miałam wtedy też niczego sobie. A teraz, patrzcie państwo, na co mi przyszło.

- Spróbujcie tych z nadzieniem imbirowym. - Przysunęła tacę z cukierkami w naszym kierunku.

- Uwielbiam nadzienie imbirowe - powiedziała Macy, sięgając po cukierka.

- Wiem, weź od razu dwa.

Macy posłusznie sięgnęła po drugiego, potem staruszka skierowała tacę w moją stronę. Odkładając ją na stół, sama także sięgnęła po łakocia.

- Droczyłam się z tobą, że jeśli będziesz się tak nimi opychać, któregoś dnia sama zmienisz się w wielki imbirowy cukierek. A ty mi uwierzyłaś. Zastanawiałaś się nawet głośno, czy nie byłoby to lepsze rozwiązanie.

- Przepraszam, ale nie mogę przypomnieć sobie, jak pani ma na imię - przyznała Macy po chwili wahania.

- Mówiłyście na mnie Nana. Ale naprawdę nazywam się Bonnie Foster.

- Bonnie Foster - powtórzyła za nią Macy. - Czy dobrze znała pani moją matkę?

- Nie myślisz chyba, że twoja mama posyłałaby swoje córki do domu pierwszej lepszej nieznajomej kobiety? - Z wyraźnym wysiłkiem wstała z fotela. - Poczekajcie tu minutkę.

Wyszła z pokoju i chwilę później doszły nas odgłosy przetrząsania szafy w przedpokoju. Wróciła po chwili, niosąc w dłoniach stare pudełko po butach.

- Chcesz obejrzeć jej zdjęcia?

- Ma pani nasze zdjęcia?

- Oczywiście. Mam zdjęcia was wszystkich. Nawet waszego ojca.

Bonnie postawiła pudełko na niskim stoliku przed sofą. Macy sięgnęła po zdjęcia. Pierwsze z nich przedstawiało dwie małe dziewczynki ubrane w wielkanocne sukienki.

- Czy to ja i Noel?

- Sliczniutkie jak dwa wielkanocne pisklaki. - Bonnie się uśmiechnęła.

- Byłyście do siebie bardzo podobne — zauważyłem.

- O, tak - zgodziła się Bonnie. - Gdyby nie różnica wieku, bez trudu mogłybyście uchodzić za bliźniaczki.

Macy przejrzała kilkanaście kolejnych zdjęć, swoich i siostry. Na jednym z nich obie dziewczynki siedziały na kolanach jakiejś kobiety.

- To moja matka — powiedziała cicho Macy.

- Twoja kochana mama — przytaknęła Bonnie, patrząc na zdjęcie.

- Była taka piękna.

- Żebyś wiedziała. I nie chodzi tylko o urodę, wewnątrz także miała piękne. Twoja matka była świętą.

- Świętą? - Macy spojrzała na staruszkę z niedowierzaniem.

- Grzechem jest kwestionować wyroki Opatrzności, ale nie potrafię zrozumieć, czemu On zawsze zabiera do siebie najlepszych spośród nas i to właśnie wtedy, gdy najbardziej potrzebni są tutaj, na ziemi. Trzyma tam u siebie wszystkich tych męczenników i całe zastępy świętych, ale kiedy na tym

padole rodzi się jakiś dobry człowiek, On natychmiast wzywa go z powrotem do siebie. Zamiast niej powinien być wziąć sobie twojego ojca. - Ledwie to powiedziała, szybko zakryła dłonią usta. - Nie powinnam była tego mówić. Teraz zgrzeszyłam już dwukrotnie. Oj, będę miała o czym opowiadać ojcu Lapinie w tę niedzielę przy konfesjonale.

Przez chwilę zastanawiałem się, ile razy w ciągu ostatnich kilku tygodni mnie także nachodziły podobne myśli. Także chciałem, żeby to mój ojciec siedział wtedy w samochodzie, nie mama.

Macy odłożyła zdjęcie na blat stołu.

- Mówiła pani, że moja mama chorowała?

- Miała raka płuc.

- Raka? To ona nie umarła przez alkohol?

- Twoja mama? Dobry Boże, nigdy w życiu! Nie sądzę, by ona kiedykolwiek spróbowała alkoholu.

Kto ci nagadał o niej takich bzdur?

- Tak mi powiedziała Irenę Hummel.

- A kimże jest ta Irenę Hummel?

- To ona mnie adoptowała.

Bonnie pokręciła głową z oburzeniem.

- To dopiero grzech, wmawiać dziewczynie takie rzeczy na temat jej własnej matki. Jeśli po tym padole zepsucia stapał kiedykolwiek jakiś anioł, to twoja mama w niczym mu nie ustępowała.

- A mój ojciec?

Twarz staruszki zastygła w ponurym grymasie.

- Twój ojciec to już całkiem inna historia. - Przez chwilę szukała odpowiedniego zdjęcia. - Oto i on. Fotografia przedstawiała szczupłego mężczyznę opartego na kierownicy motocykla, z papierosem zwisającym z ust.

- Ten mężczyzna to było największe przekleństwo, jakie kiedykolwiek spadło na twoją matkę. To w nim pokładała wszystkie swoje nadzieje na utrzymanie rodziny razem. A on je zawiódł. Zawiódł was wszystkie.

- Dlaczego w takim razie za niego wyszła? - spytałem, dostrzegając kolejną analogię do sytuacji moich rodziców.

- Sama zapytałabym raczej, dlaczego nie zdecydowała się od niego odejść. Ale jak to mówią: miłość jest ślepa, a czasem bywa na dodatek niemądra.

- Wie pani, gdzie jest teraz Noel? - Macy zadała wreszcie pytanie, z którym czekała od samego początku rozmowy.

- Nie, Chciałabym, ale nie wiem. Któregoś dnia po prostu tu przyszli i ją zabrali. Nigdy więcej jej nie widziałam. Ale ktoś z administracji stanowej z pewnością będzie mógł powiedzieć ci więcej.

- Sąd utajnił jej akta. — Macy pokręciła głową.

- A to z jakiego powodu?

- Powiedzieli mi, że oni sami o to wystąpili.

- A kim są owi oni?

- Nowa rodzina mojej siostry.

- Ale przecież w tym nie ma za grosz sensu.

- Też tak uważam. Pomyślałam, że najlepsze, co mogę w takiej sytuacji zrobić, to spróbować odszukać ojca. Wie pani, gdzie on teraz mieszka?

Bonnie zmarszczyła czoło.

- Komornik zajął mu dom jakiś rok, może dwa lata po tym, jak was zabrano.
- Wie pani, dokąd się przeprowadził?
- Nie. Chyba że w międzyczasie umarł. - Gdy dostrzegła przerażenie w oczach Macy, dodała szybko:
- Ale nie sądzę, by tak było. Każdego dnia przeglądam nekrologi i nie widziałam tam nic na jego temat.
- Nie ma go w książce telefonicznej - kontynuowała Macy. - Jeśli faktycznie upadł tak nisko-jak pani mówi, może nawet nie pamiętać już, kto ją adoptował.
- Zobaczysz, że wszystko się jeszcze ułoży - starała się ją pocieszyć Bonnie. - Pamiętaj, co napisano w psalmach: „Zatrzymajcie się i we mnie uznajcie Boga”. To znaczy, że sam Pan Bóg trzyma stery naszego życia. Tak napisano w Księdze. Pomyśl, minęły długie lata, a nam dwóm udało się jakoś nawzajem odnaleźć. - Spojrzała Macy głęboko w oczy. - Dobrze jest cię znowu zobaczyć.
- Wspaniale jest móc panią znowu spotkać - odparła Macy.
- A teraz opowiedz mi o tym chłopcu, z którym tu przyszłaś.
- Mark to mój przyjaciel. Przyjechał z Alabamy.
- Ach, kraj mojego dzieciństwa. Zawędrowałeś daleko od domu, chłopcze.
- Tak, proszę pani, spory kawałek.
- Z której części Alabamy pochodzisz?
- Z Huntsville.
- Moja rodzina pochodzi z Montgomery. - Uśmiechnęła się i delikatnie pogłaskała Macy po kolanie. - Chciałabym zaprosić was oboje na niedzielny obiad.

- To bardzo miło z pani strony - powiedziała Macy, po czym zwróciła się do mnie: - Znajdziesz czas, Mark?

Zadała pytanie takim tonem, że przez myśl me przeszło mi oponować.

- Oczywiście, że tak.

- Kończę nabożeństwo o pierwszej - wyjaśniła Bonnie. - Będziecie mogli przyjechać tu na drugą?

- Jasne, druga brzmi świetnie.

Bonnie i Macy wymieniły numery telefonów, po czym ruszyliśmy do wyjścia. Fred podskakiwał wokół naszych nóg, poszczekując bez przerwy.

- Cicho, Fred - zgaśniła go Bonnie. - Bądźże cicho. Zatrzymaliśmy się przy drzwiach, by wymienić jeszcze

ostatnie pożegnania.

- Co przynieść na obiad? - spytała Macy.

- Po prostu przyjdź. I przyprowadź ze sobą swojego chłopca. Macy jej nie poprawiła.

- W takim razie do zobaczenia w niedzielę.

- Zaczekaj. Nigdy nie wychodziłaś stąd bez całusa dla

Nanny.

Słyszając to, Macy uśmiechnęła się szeroko.

Przepraszam, zapomniałam. - Ucałowała staruszkę w po-

UCZ!<sup>k</sup> Ty też możesz mnie pocałować - kobieta zwróciła się do mnie.

Pocałowałem ją w drugi policzek.

- Do zobaczenia w niedzielę i nie najadajcie się wcześniej. Gdy wsiedliśmy do samochodu, Macy wybuchła płaczem. Przestała dopiero, gdy byliśmy w połowie drogi do domu.

- Masz ochotę na obiad? - spytałem, gdy wjeżdżaliśmy do Salt Lake City.

- Nie, chyba że ty jesteś głodny.

- Niespecjalnie.

Wpatrywała się teraz w jakiś punkt na horyzoncie przed nami.

- Wszystko w porządku?

- A jeśli nie uda mi się jej odnaleźć? - Uda ci się. Zobacysz, wszystko się ułoży. - Skąd ta pewność?

- Będzie tak, jak powiedziała Bonnie: tu nie rządzi przypadek. Wszystko jest w ręku przeznaczenia.

Pomyśl tylko, w jaki sposób trafiliśmy na Bonnie. Jakie było prawdopodobieństwo, że spotkasz ją na ulicy?

- Masz rację - przyznała po chwili namysłu. - Jeden ze stałych bywalców Chaty jest prywatnym detektywem. Może on będzie mógł mi pomóc odnaleźć ojca.

- Z pewnością. Dla niego pewnie to będzie bułka z masłem.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Wiesz, w sumie to jednak jestem trochę głodna. Wpadliśmy do McDonalda na kanapki z rybą.

Godzinę

później odwiozłem Macy do domu.

- Wejdiesz do środka? - spytała.

- Muszę jechać do pracy. Już jestem spóźniony.

- Ja też pracuję dziś wieczór. - Pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. - Dzięki, że chciało ci się tam ze mną pojechać.



— Z tobą wszędzie. Zadzwoń do ciebie jutro.

— OK. Nie pracuj za ciężko - rzuciła na koniec i pobiegła do domu, a ja pojechałem do pracy, marząc o tym, by już nigdy nie musieć od niej odjeżdżać i zastanawiając się, dokąd też zaprowadzi nas teraz wspólna podróż.

## *Rozdział 14*

*Czasem po prostu nie można już wrócić do domu.*

Z pamiętnika Marka Smarta

Gdy wróciłem po pracy do domu, pod drzwiami znalazłem wsuniętą wiadomość od właściciela budynku. Z pewnym wysiłkiem udało mi się odczytać chwiejne pismo: „Zadzwoń do cioci Marge, dzwoń na jej rachunek i bez względu na porę”. Pod spodem znalazłem nagryzmołony numer telefonu, rozpoznałem kilka pierwszych cyfr jako kierunkowy do Huntsville. Ciocia Marge była jedyną siostrą mojej mamy, była też jedną z trzech kobiet, które przeżyły wypadek. Zdziwiło mnie, że próbuje się ze mną skontaktować, trochę zaniepokoiło mnie również, że tak bardzo nalegała na pośpiech.

Schowałem kartkę do kieszeni i poszedłem do pobliskiego automatu telefonicznego przy sklepie 7-Eleven. Poczulem przy uchu zimny dotyk plastikowej słuchawki. Zamówiłem rozmowę na koszt abonenta. Przy czwartym dzwonku ktoś podniósł słuchawkę i odezwał się zaspany głos. - Mark?

- Czy zgadza się pani przyjąć rozmowę na koszt abonenta od Marka Smarta? - spytała telefonistka. -  
To pani będzie musiała pokryć rachunek.
  - Oczywiście, zgadzam się.
  - Możecie już państwo rozmawiać.
  - Ciociu Margie - zacząłem.
  - Och, Mark. Jak dobrze, że dzwonicz.
  - Przepraszam, że tak późno. Dopiero co wróciłem z pracy i znalazłem twoją wiadomość. Czy cos się stało?
  - Nic, o czym byś już nie wiedział. Tak bardzo się o ciebie martwiłam.  
Poczułem ulgę na wieść, że wszystko z nią było w porządku.
  - Wróciłeś do szkoły?
  - Jeszcze nie. Najpierw muszę zebrać trochę pieniędzy. Zajmie mi to jeszcze chwilę czasu.
  - Mogę ci jakoś pomóc?
- Wiedziałem, że proponuje to ze szczerego serca, ale sumienie nie pozwoliłoby mi przyjąć od niej pieniędzy. Odkąd osiem lat temu rozwiodła się z mężem, sama wychowywała czwórkę dzieci, otrzymując jedynie minimalne wsparcie od państwa. Jej życie zmieniło się w nieustającą walkę o to, by jakoś dotrzeć do pierwszego.
- Dzięki ciociu, ale dam sobie radę.
  - Mark, obiecałam twojej matce, że się tobą zaopiekuję. Kiedy wracasz do domu?
  - Prawdę mówiąc, wcale nie planowałem powrotu.
  - Ale przecież przyjedziesz na święta?
  - Sam nie wiem - zawahałem się.

- Jak to nie wiesz, dlaczego?
- Nie bardzo mam po co wracać.
- A twój ojciec, co z nim?

Na to pytanie łatwiej było mi znaleźć odpowiedź.

- Podczas naszej ostatniej rozmowy Stu zabronił mi wracać do domu.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Wiem. Sam mi o tym powiedział. Bardzo tego teraz żałuje.

Przez dwadzieścia jeden lat mojego życia nigdy nie usłyszałem, żeby Stu za cokolwiek przeproszał albo żeby czegoś żałował.

- Stu powiedział, że żałuje swoich słów?
- Może nie ujął tego dokładnie w taki sposób, ale tak. To już bardziej do niego pasowało.
- Cóż, gdy kazał mi się trzymać z dala od domu, brzmiało to, jakby mówił dokładnie to, co myśli.
- On wtedy nie panował nad sobą. Przeżywa teraz naprawdę ciężki okres.
- Może zatem powinniśmy założyć jakieś stowarzyszenie nieszczęśników? Moglibyśmy sprawić sobie koszulki klubowe.

Sarkazm w moim głosie wyraźnie ją zirytował.

- Mark, nie tylko ty jeden na całym świecie cierpisz. Alice była dla niego żoną, a dla mnie siostrą i najlepszą przyjaciółką zarazem.
- Przepraszam, ciociu Margie. Nie chciałem cię urazić. Naprawdę doceniam, że martwisz się o mnie. Tyle że... w Hunts-ville nie ma już niczego, do czego chciałbym wracać.

Przez chwilę, która wydała się ciągnąć w nieskończoność, w słuchawce panowało milczenie.

- Wiesz, Mark, czasem zdarza nam się błędnie oceniać ludzi.
- Nie powiesz mi przecież, że Stu był dobrym ojcem.
- Staram się powiedzieć ci, że tak naprawdę wcale go nie znasz.
- Z całym szacunkiem, ale wydaje mi się, że wiem, kim jest mój własny ojciec.
- Widzisz tylko to, co chcesz wiedzieć. Ale całej prawdy o nim nie znasz.
- Jakiej prawdy?
- Prawdy o twoich rodzicach.
- Więc opowiedz mi o nich.
- Nie ja powinnam o tym z tobą rozmawiać. Któregoś dnia zrozumiesz. Miejmy nadzieję, że nie będzie wtedy za późno. Dla dobra was obu, ciebie i twojego ojca.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Nie potrafiłem wyobrazić sobie niczego, co mogłoby zmienić moją opinię na temat Stu.

- Ciociu, mogę cię o coś zapytać? - tym razem to ja pierwszy przerwałem ciszę.
- Oczywiście, pytaj.
- Byłaś wtedy razem z moją mamą, podczas wypadku? -Tak.
- Opowiesz mi, jak do tego doszło?

Prosiłem ją o coś, co dla nas obojga było bardzo trudne. Zajął jej chwilę, nim zebrała myśli.

- Wolałabym nie musieć opowiadać ci o tym przez telefon. Usiadłem na zimnej betonowej płycie chodnika, napinając do granic przewód słuchawki.

- Wiem, ciociu, ale ja po prostu muszę wiedzieć, jak to było. Milczała przez kilka kolejnych sekund, po czym odezwała się cichym głosem.

- Niech będzie. Pamiętasz, że miałyśmy zwyczaj spotykać się każdego miesiąca na babskie pogaduchy. Tamtego dnia wybrałyśmy się do restauracji Sandpiper, na owoce morza. W drodze powrotnej rozpadało się na dobre. Wycieraczki nie nadążały z odgarnianiem wody zalewającej przednią szybę. Za kierownicą siedziała twoja matka. Nie jechałyśmy szybko, nagle jednak wyrosła przed nami zaparkowana na jezdni ciężarówka. Twoja mama skrzyła gwałtownie kierownicę, chcąc uniknąć zderzenia i zarzuciło nas na pobocze. Samochód uderzył w barierkę i wyleciał z autostrady. Dachowałyśmy, auto koziołkowało. Obróciło się trzy razy, nim uderzyłyśmy w drzewo i samochód znieruchomiał wreszcie, odwrócony do góry kołami. Uderzył w drzewo drzwiami od strony kierowcy. Poczulem, że nie potrafię już dłużej powstrzymać łez. Bałem się usłyszeć odpowiedź na kolejne pytanie, ale nie mogłem go nie zadać.

- Czy ona już wtedy nie żyła?

- Nie. Próbowaliśmy ją stamtąd wyciągnąć, ale nie dało się odpiąć pasów bezpieczeństwa. - Jej głos drżał teraz od tłumionych emocji. - Trzymałam ją w ramionach, póki nie przybyła pomoc. Wykrwawiła się, zanim przyjechało pogotowie.

Przez moment nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu.

- Czy bardzo cierpiała?

- Zdawała się nie czuć bólu. Była w szoku. Wierzchem dłoni otarłem mokry od łez policzek.

- Czy coś powiedziała?

- Tak. Prosiła, żebym przekazała ci, że kochała cię z całego serca, że zawsze będzie cię kochać i że będzie nad tobą czuwać.

Wytarłem oczy. Zebrałem się w sobie, by zadać kolejne pytanie.

- Czy mówiła coś jeszcze?

- Tak. Ale to, co powiedziała, nie było przeznaczone dla ciebie.

- A dla kogo?

- Dla Stu.

- Możesz mi powiedzieć, co chciała mu przekazać?

- Sama nie wiem, czy powinnam - powiedziała z wyraźnym wahaniem.

- Bardzo zależy mi na tym, by dowiedzieć się jak najwięcej na jej temat. To wszystko, co mi po niej zostało. Chciałbym poznać jej ostatnie myśli.

Przez chwilę rozważała moją prośbę.

- Może masz rację. Może wyjdzie ci to na dobre. Wam obu. Prosiła, bym przekazała Stu, że go bardzo przeprasza.

Była to ostatnia rzecz, którą spodziewałem się usłyszeć. Początkowe zaskoczenie sensem słów mojej ciotki szybko przerodziło się w gniew.

- Ona go przepraszała? Za co?

- O to będziesz musiał zapytać go już sam.

Kompletnie mnie zamurowało. Nie byłem w stanie odgadnąć, co takiego mogło skłonić moją matkę do przeprosin. Przecież to mój ojciec był przyczyną wszystkich jej nieszczęść. Przez lata unieszczęśliwiał nas oboje.

- Powinnam już pozwolić ci iść spać, - Głos cioci przerwał moje rozważania. - Czy mogę pomóc ci jeszcze w jakiś sposób?

-Nie.

- Mark, proszę, pomyśl o przyjeździe do domu. Możesz zatrzymać się u nas, jeśli wolisz, ale proszę, daj mu szansę.

- Pomyślę o tym - ustąpiłem po chwili wahania.

- Jeśli zmienisz zdanie, natychmiast do mnie zadzwoń. Dzwoń na mój koszt, o każdej porze, może być w środku nocy. Zapłacę za twój bilet.

- Dziękuję. Dam ci znać, ciociu.

- Zapisaleś mój numer?

- Tak, mam go przy sobie.

- OK. Dbaj o siebie. Zadzwonię jeszcze, sprawdzić, jak ci idzie.

- Dzięki za wszystko, ciociu Marge.

- Nie ma za co, Mark. Pamiętaj, że cię kocham.

- Ja ciebie też.

Podniosłem się z chodnika i odwiesiłem słuchawkę. Szedłem z powrotem do mieszkania, niosąc w piersi serce rozbite na tysiąc kawałków. Czulem się jeszcze gorzej niż tamtego dnia, gdy dowiedziałem się o śmierci matki. W myślach odtwarzałem ostatnie chwile jej życia. Oczyma wyobraźni widziałem, jak jej brązowy Chevrolet impala szybuje w zwolnionym tempie nad barierką autostrady. Jednak najbardziej wbiły mi się w pamięć ostatnie słowa mojej matki - jej przeprosiny skierowane do Stu. Za co przepraszała go moja matka? Zasnąłem, w kółko obracając w głowie to pytanie.



## Rozdział 15

*Umówiłem się z Macy na prawdziwą randkę. Spotkamy się jutro. Porównywać to, co czułem wcześniej do innych dziewczyn, z uczuciem, którym ją darzę, to tak, jakby porównywać Święto Pracy z Bożym Narodzeniem.*

Z dziennika Marka Smarta

Gdy wstałem rano, w głowie nadal huczało mi od wspomnień poprzedniego dnia i emocji, które ze sobą przyniósł. Na kilka minut przed południem poszedłem do automatu i zadzwoniłem do Macy.

- Rozmawiałam z Timem - rzuciła do słuchawki.

- A kim jest Tim?

- To ten prywatny detektyw, o którym ci mówiłam. Wczoraj wieczorem przyszedł do kawiarni.

Sprawdził swoje źródła, ale nie udało mu się znaleźć tam niczego na temat mojego ojca. Tim twierdzi, że oznacza to jedną z dwóch ewentualności: albo on siedzi w więzieniu, albo wyjechał ze stanu. Z tego, co opowiadała Bonnie, obie wydają się prawdopodobne.

- Może więc powinniśmy pojechać do więzienia.

- Już tam dzwoniłam, ale oni nie udzielają informacji na temat osadzonych. To wbrew prawu.
  - Zupełnie jakby wszystkie te urzędy skrzyknęły się, byle tylko nie pozwolić ci odnaleźć siostry.
  - Z mojej perspektywy dokładnie tak to wygląda. — Westchnęła. — A co nowego u ciebie?
  - Wczoraj rozmawiałem przez telefon z moją ciocią z Alabamy. Jechała wtedy razem z mamą w samochodzie. Zmusiłem ją, by opowiedziała mi dokładnie, jak doszło do wypadku.
  - Jak to zniosłeś?
  - Z trudem. Ale musiałem o to zapytać.
  - Trzymaj się - powiedziała ze współczuciem. - O czym jeszcze rozmawialiście?
  - Pytała, kiedy przyjadę do domu. Wydawała się szczerze zmartwiona, gdy odpowiedziałem, że w ogóle nie planuję tam wracać.
  - Wcale jej się nie dziwię, w końcu jesteście rodziną.
  - Najdziwniejsze jednak, że bardziej niż o mnie niepokoiła się o mojego ojca. Koniecznie chciała, żebym się z nim spotkał. Prędzej dałbym sobie wyrwać wszystkie zęby.
- Macy zamyśliła się nad tym, co powiedziałem.
- Gdyby to wszystko nie było takie tragiczne, mogłoby wydać się nawet zabawne, nie sądzisz? Ja kombinuję, jak odnaleźć swojego ojca. A w tym samym czasie ty robisz wszystko, by uciec przed swoim.
  - Nie uciekam przed nim - zaperzyłem się. - Po prostu nie chcę go widzieć.
  - Przepraszam, nie powinnam była tego mówić.
- Poczułem się nagle strasznie głupio z powodu ostrego tonu moich słów.
- To ja przepraszam. Chyba jestem troszkę przewrażliwiony na punkcie moich relacji z ojcem.
  - To zrozumiałe.

- Miałabyś ochotę się spotkać? -Jasne. Kiedy?
  - A kiedy nie pracujesz?
  - Mogę wziąć wolne jutro wieczorem.
  - W takim razie, czy mogę zaprosić cię na randkę?
  - Prawdziwą randkę? - w jej głosie zabrzmiała nutka uśmiechu.
  - Jeśli nie masz nic przeciwko.
  - Ani trochę. Co planujesz?
  - Mam już kilka pomysłów. Przyjadę po ciebie o szóstej.
  - Dokąd mnie zabierzesz?
  - To będzie niespodzianka. Ale ubierz się w coś ciepłego. Naprawdę ciepłego.
  - Na przykład puchową kurtkę i buty na śnieg?
  - Może być. Przygotuj się, jakbyś jechała z wycieczką na biegun północny. Nie najadaj się wcześniej.
- Aha, i nie zapomnij kostiumu kąpielowego.
- Kostium kąpielowy i kurtka puchowa. Brzmi interesująco. Wchodzę w to. Do zobaczenia jutro.
  - OK. Do zobaczenia.
  - Już się nie mogę doczekać.

## **Rozdział 16**

*Wjeżdżaliśmy do kanionów jako dwójka przyjaciół. Gdy z nich wyjeżdżaliśmy, byliśmy już dla siebie kimś więcej. Nie jestem pewien, jak należałoby nazwać łączącą nas relację, ale było to z pewnością coś dużo ważniejszego niż przyjaźń.*

Z dziennika Marka Smarta

Następnego ranka poprowadziłem moja pierwszą lekcję gry na gitarze. Uczniem okazał się trzynastolatek marzący o karierze gitarzysty w heavymetalowej kapeli. Chłopak walił w struny, jakby chciał zemścić się na nich za jakieś straszne krzywdy. Jego matka znalazła moją ulotkę z kawiarni. Przyproceedziła go pod moje drzwi z gitarą, którą dostał na urodziny, w jednej ręce i dwudziestodolarowym banknotem w drugiej.

Po lunchu wybrałem się do supermarketu zrobić zakupy na wieczorną randkę. Przez ponad godzinę przygotowywałem posiłek i był to prawdopodobnie najdłuższy czas, jaki spędziłem w kuchni, od kilku ostatnich miesięcy. Punktualnie o szóstej zabrałem Macy spod jej domu. Pojechaliśmy do kanionu Big Cottonwood, położonego nieopodal południowego krańca

doliny, w której leży Salt Lake City. Pokonawszy mniej więcej jedną trzecią długości kanionu, skręciłem w boczną drogę i po chwili dojechaliśmy do miejsca widokowego.

Zaparkowałem samochód, po czym wyciągnąłem z bagażnika szufłę pożyczoną wcześniej od właściciela budynku, w którym mieszkałem. Zgarnąłem śnieg z blatu najbliższego stolika i przykryłem ławkę ceratą. Wróciłem do samochodu i wyjąłem z niego kolejno: drewno na ognisko, stare gazety na podpałkę, pudełko zapalek, kanister z wodą do picia i przenośną lodówkę.

Macy wysiadła z samochodu i przyglądała się z zaciekawieniem, jak rozpalam ognisko. Porąbałem kilka kawałków drewna na drobniejsze szczapy i ułożyłem je pośrodku konstrukcji, z zewnątrz obkładając ją grubszymi polanami. Nie minęło pięć minut, a ognisko paliło się już wesoło.

- Założę się, że w skautach zdobyłeś sprawność zwiadowcy.

- Nie zwiadowcy, ale przewodnika.

- A jest między nimi jakaś różnica?

- Sprawność zwiadowcy trudniej jest zdobyć.

- To tam nauczyłeś się rozpalać ogniska?

- Skauci nie mieli z tym nic wspólnego. Podobnie jak każdy mężczyzna na tej planecie w głębi duszy jestem po prostu niespełnionym piromanem.

- Dlaczego mężczyzn tak ciągnie do ognia?

- Myślę, że odzywa się w nas pierwotny instynkt łowców i ozywają wspomnienia prapradziadka jaskiniowca, który piekł nad ogniskiem upolowaną własnoręcznie zdobycz.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Zatem, łowco, co dziś mamy na obiad?

- Patty Melts, czyli kanapki z wołowiną, serem i cebulką na ciepło, a do tego marchewkę i ziemniaczki.

Sięgnąłem po szuflę i rozgarnąłem kilka żarzących się polan. Następnie napełniłem dwa papierowe kubki wodą z kanistra i wsypałem do każdego z nich torebkę błyskawicznej czekolady.

- A w jaki sposób podgrzejemy teraz wodę?

- Patrz i podziwiaj. - Korzystając z kuchennych szczypiec, ostrożnie wstawiłem kubki do ognia.

Macy spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Co ty robisz?

- Zaraz zobaczysz.

Ogień osmalił jedynie pokryte woskiem brzegi naczyń, reszta pozostała jednak nietknięta. Po kilku minutach czekolada wrzała już wewnątrz kubków.

- To było super! - wykrzyknęła Macy. - Skąd wiedziałeś, że kubki się nie stopią?

- Doświadczenie wyniesione ze skautów - odparłem z dumą.

Słońce zaszło, pozostawiając okolicę rozjaśnioną jedynie światłem gwiazd i blaskiem ogniska.

Nakryłem do stołu i ostrożnie wyjąłem nasz obiad z ogniska. Folia aluminiowa, którą owinięte były porcje, szerniała od sadzy i słychać było, jak w środku syczy gorący sos. Gdy ją odwinałem, w mroźne powietrze wzbiła się gorąca chmura aromatycznej pary. Położyłem jedną z porcji przed Macy.

- Uważaj, jest bardzo gorące.

Macy nabiła na widelec kilka plasterków marchewki.

- No chyba! - Podmuchała na marchewki, zanim włożyła je do ust. Uśmiechnęła się szeroko. Później spróbowała mięsa.

- To jest naprawdę pyszne. Nigdy jeszcze nie jadłam obiadu upieczonego na ognisku - dodała z uznaniem. - Albo pod nim.
  - Twój tata nigdy nie zabierał cię na wycieczki w góry?
  - Na świecie są dwa rodzaje rodzin: te, które jeżdżą na wycieczki, i te, które nigdzie nie jeżdżą razem. My należeliśmy do drugiej kategorii. Podobnie jak i Hummelowie. Dick, to znaczy pan Hummel, zabrał nas raz na piknik. To był ostatni wspólny wyjazd, w którym uczestniczyli wszyscy członkowie rodziny.
  - Co się stało?
  - Nic szczególnego. Po prostu niektórzy ludzie mają talent do komplikowania najprostszych nawet rzeczy. W ich domu wszystko wcześniej czy później musiało skończyć się tragedią. - Westchnęła głośno. - Cieszę się, że już nigdy więcej nie będę musiała tam wrócić.
- Gdy skończyliśmy posiłek, poszedłem do samochodu po dwa druciane wieszaki, które po rozgięciu nadawały się na kijki do pieczenia piankowych marshmallows. Z torby wyjąłem paczkę grahamowych ciasteczek, opakowanie pianek i dwie tabliczki czekolady.
- Małe co nieco.
  - Uwielbiam małe co nieco.
  - Wcale mnie to nie dziwi, to przecież czekolada.
  - Znam cię niecałe dwa tygodnie, a ty już wiesz, jak uczynić mnie szczęśliwą.
- Macy spaliła nad ogniskiem pół tuzina pianek, zanim zdołałem ją nauczyć, w jaki sposób obracać je powoli nad płomieniami, tak by same nie zajęły się ogniem.
- Przygotowałem jeszcze jedną niespodziankę - oznajmiłem, gdy kończyliśmy jeść deser. Znowu poszedłem do samochodu i wyjąłem gitarę. Widząc, z czym wracam, klasnęła w dłonie.

- Liczyłam na to, że mi coś zagrasz.

- Liczyłem, że to właśnie powiesz.

Przez kolejną godzinę siedzieliśmy na ławeczce naprzeciw ognia, a ja dla niej grałem. Cudownie było przebywać w jej towarzystwie. Księżyc na niebie świecił jasno i cała polana tonęła w spokojnym błękitnym świetle. Ponad naszymi głowami kołysały się korony drzew. Leżący wokół śnieg dodawał dźwiękom gitary głębokiego, wibrującego brzmienia. Macy wsłuchiwała się w muzykę, a ja patrzyłem, jak płomień ogniska tańczy w jej szeroko otwartych oczach. Gdy skończyłem siódmą czy ósmą piosenkę, odłożyłem gitarę na bok.

- Mogłabym cię tak słuchać godzinami - powiedziała cicho.

- Uwielbiam gitarę. Nie ma w niej żadnego udawania. Jest dokładnie tym, czym się wydaje.

- Zabrzmiało, jakbyś mówił o sobie. - Macy się zaśmiała. Nie skomentowałem tej uwagi.

- Teraz możesz mi już powiedzieć, po co kazałeś mi zabrać kostium kąpielowy.

Wyszczrzyłem zęby w szelmowskim uśmiechu.

- Oj, to było tylko tak, dla zmyłki. Ale nie dałaś się chyba nabrać, co?

- Mam go na sobie.

- Ups, przepraszam. Pokręciła tylko głową.



- Powiedz mi coś o sobie, coś, o czym nie wie nikt inny na całym świecie,
- To akurat nie powinno być trudne.
- No dobra, w takim razie wyjaw mi coś takiego, czego nikt inny by się nie domyślił, choćby nie wiem jak bardzo się starał. Na przykład opowiedz mi o najbardziej szalonej rzeczy, jaka kiedykolwiek zrobiłeś.

Przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią,

- OK. Kiedy miałem siedemnaście lat, razem z kilkoma kumplami pożyczaliśmy sobie manekin z pewnego sklepu...
- Zaraz, w jaki sposób pożyczają się manekin? — przerwała mi Macy.
- Niech ci będzie, buchnęliśmy ten manekin. Ale mieliśmy zamiar go tam później odnieść.
- Mów dalej.
- Pożyczaliśmy więc ten manekin i pojechaliśmy z nim do kina samochodowego. Tam wciągnęliśmy go za ekran, na samą górę. Potem, w środku seansu, zrzuciliśmy go przed publikę, tak że wyglądało, jakby ktoś skoczył w dół ze szczytu ekranu.
- To całkiem zabawne. Trochę niezwykle, może niezupełnie normalne, ale mimo to zabawne.
- Żebyś wiedziała, wszyscy zaczęli trąbić, zrobiła się z tego niezła afera. Czym prędzej zbiegliśmy na dół i daliśmy nogę.
- Zabraliście ze sobą manekin?

Musiałem przez chwilę zastanowić się nad odpowiedzią.

- Nie, manekin został w kinie.
- W takim razie naprawdę go ukradłeś.
- Czemu tak bardzo przejmujesz się tym manekinem, co cię on w ogóle obchodzi?
- Manekin nie obchodzi mnie ani trochę. Po prostu chciałam upewnić się, że faktycznie jesteś złodziejem.

- Niech będzie, że byłem złodziejem. Kradłem manekiny. Ale to już przeszłość. Zrozumiałem swój błąd i porzuciłem ścieżkę występku. Od tamtej pory nie zwinąłem już ani jednego. Dziś mijam wystawy sklepów z ubraniami i nie odczuwam najmniejszej pokusy, by zabrać sobie manekin.
  - No dobrze, były złodzieju manekinów. Opowiedz mi teraz o swoich marzeniach, o czymś, o czym marzysz najbardziej na świecie.
  - Chciałbym kiedyś usłyszeć, jak grają w radiu którąś z moich piosenek.
  - To dopiero byłoby coś.
  - No nie? - Pokiwałem głową. - Ale będę też szczęśliwy, jeśli udałoby mi się otworzyć mały sklepik, w którym sprzedawałbym ludziom gitary i uczył, jak na nich grać.
- Uśmiechnęła się do mnie.
- To dobre marzenie. Proste.
  - Proste marzenia są najlepsze.
  - Tak, zdecydowanie najlepsze.
  - A ty? Jaką najbardziej szaloną rzecz zrobiłaś w swoim życiu? - Na moment zacisnęła usta.
  - Wolałabym o tym nie opowiadać.
  - Zaraz, zaraz. Ja właśnie przyznałem ci się do popełnienia przestępstwa...
  - Wierz mi, nie chcesz tego słuchać.

Spojrzałem na nią pytająco. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, by była zdolna do czegoś gorszego niż przejście na czerwonym świetle.

- Niech będzie. A co z twoim największym marzeniem? Na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Najbardziej na świecie chciałabym mieć własną rodzinę. Taką, jak w jednym z tych nudnych telewizyjnych seriali, gdzie jest mama, tata i dwójka dzieciaków, gdzie obiady zawsze je się wspólnie przy jednym stole i wspólnie jeździ się na wakacje do lasu. Nie wiem, czy w rzeczywistym świecie istnieją takie rodziny, aleja właśnie o takiej marzę.

Uśmiechnąłem się do niej i do jej marzeń.

- A teraz wyjaw mi jakiś swój sekret. Nie musi to być nic sprzecznego z prawem - dodałem szybko.

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- OK. Mam dwa sekrety. Jeden jest trochę dziwaczny.

- No powiedz - namawiałem.

- Piszę wiersze.

- Wiersze?

- Mam ich już cały zeszyt.

- A co jest dziwaczego w pisaniu wierszy?

- Nic, dziwaczny jest ten drugi sekret.

- O nim pogadamy za chwilę, teraz chcę usłyszeć któryś z twoich wierszy.

- O ile uda mi się jakiś sobie przypomnieć. Już mam, jakieś dwa tygodnie temu napisałam

bożonarodzeniowy wiersz dla Jo. - Macy usiadła prosto, przygotowując się do recytacji. - Musisz

wiedzieć, że Jo uwielbia święta i kultywuje całe mnóstwo różnych świątecznych tradycji. Na przykład w Wigilię,

zanim otworzymy prezenty, zawsze czytamy Ewangelię według świętego Łukasza. A teraz wiersz. Nosi tytuł *O co proszę Święta* i napisany został przez Macy Wood. - Odchrząknęła. Uśmiechnąłem się na ten oficjalny wstęp.

Rodzina nad świętą Księgą zebrana, To tradycja skrzętnie przestrzegana, Czytamy wersy świętej opowieści, Rok czekaliśmy, by je światu wieścić. Matka Maria cierpiąca w bólach położu, Szuka miejsca, by dziecko narodzić, Gdzie grzech i strach nie przekroczą progu, Syna swego chce na świat sprowadzić. Błąkała się wśród zamkniętych drzwi, Dla wszystkich będąc obcą tam. Nie ulitował się w Betlejem nikt, Nikt nie przygarnął jej pod swój dach. Również nam przyjdzie zdecydować dziś, Gdy duch Święt błąka się u bram,  
Czy usłyszemy jego dźwięczny głos,  
I pozwolimy, by zasiadł wśród nas.  
Czytamy o pastuszkach, jak w pokorze swej,  
Ciemną nocą doglądali trzód,  
Lecz przywołani przez anielski głos,  
Przybyli paść u Dzieciątka stóp.  
W to Boże Narodzenie tak i nam,  
Zostawić trzeba pracy trud i znój,  
Porzucimy troski codziennego dnia,  
I dla bliźnich otworzymy serca znów.

Czytamy o trzech mędrkach, co Widząc wędrującej komety blask, Ruszyli, patrząc tylko w górę, by Zachwycać się niebiańskim pięknem gwiazd. Tak my, gdy Święta roztoczą swój czar, Wznosimy oczy ku niebiosom hen, Dziękując za nadziei i życia dar, Zegnamy strach jak złudny, zły sen. Oto opowieść niesiona z dawnych dni, Nie zginie w czasie, nie zgubi jej los. Każdego roku odczytywać ewangelię znów, Taka jest właśnie prośba tych Świąt.

Spojrzała na mnie, oczekując reakcji.

- Brawo! - wykrzyknąłem. - To było świetne.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję. - Ukłoniła się teatralnie. - Jo też się podobało. Kazała mi w kółko recytować. Musiałam go dla niej powtórzyć chyba z tuzin razy.

- Bo to dobry wiersz.

- Tłumaczyłam ci już, że Jo to prawdziwy bożonarodze-niohl. - Roześmiała się dźwięcznie. - Chyba właśnie wymyśliłam nowe słowo.

- Brzmi całkiem ładnie.

- Zresztą, wystarczy rzut oka na nasz dom, by ją rozgryźć. Jo wyciąga ze strychu świąteczne dekoracje zaraz po Halloween.

- Faktycznie, nie można ich nie zauważyć. A ty? Też jesteś fanką świąt?

Zawahała się na moment, zanim odpowiedziała.

- Z każdym rokiem coraz bardziej się do nich przekonuję. Wcześniej przeżyłam długą serię fatalnych świąt Bożego Narodzenia.

- Z rodzicami?

- Nie, święta z nimi były OK. Przynajmniej na tyle, na ile je w ogóle pamiętam. Za to wołałabym nigdy nie musieć wspominać Bożego Narodzenia u Hummelów.

- Było tak źle jak u Scroogea w *Opowieści wigilijnej*?

- O nie, zupełnie inaczej. Irenę kupowała całą masę prezentów. Nawet dla mnie. Prezenty kupuje się łatwo. Pamiętam za to, że w przeciwieństwie do pozostałych dzieci nie pozwalała mi się pocałować ani podziękować za otrzymane podarki. Ani na chwilę nie wolno mi było zapomnieć, że jestem inna. Wbiłem wzrok w śnieg pod stopami.

- A ta druga rzecz, o której chciałaś mi powiedzieć?

- Chyba jednak będzie lepiej, jeśli ci o tym nie opowiem. Jeszcze pomyślisz sobie o mnie, że... że jestem szurnięta. Albo jakaś nawiedzona.

- Mam wziąć cię za wariatkę albo zacząć się ciebie bać? No, teraz to już po prostu musisz mi powiedzieć.

- Wcale nie muszę.

- Nie możesz tak mnie dręczyć, najpierw mnie podpuszczasz, a potem nie powiesz ani słowa.

- A właśnie że mogę. Dziewczyny doskonałą tę sztukę na chłopcach od setek lat.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Proszę!

- No dobrze. Ale obiecaj, że nie będziesz sobie później o mnie myślał, że jestem dziwaczką.

- Sam nie wiem, co dokładnie obiecuję, ale zgoda. Przyrzekam.
- Na honor skauta?
- Kładę na szali wszystkie sprawności, które udało mi się kiedykolwiek zdobyć.
- Wierzę ci. - Zatrzymała się na chwilę, jakby przygotowywała się do wejścia na ścieżkę, z której nie można już będzie potem zawrócić. - Dobrze więc. - Nabrała powietrza. - Czasem miewam prorocze sny.

Kiwnąłem głową, zupełnie jakbym wiedział, o czym mówi.

- To znaczy?
- Zdarza się, że najpierw mi się coś śni, a potem to samo zdarza się w rzeczywistości.
- Dokładnie to samo?
- Właściwie tak.
- A na przykład?
- Cóż, na przykład przyśniłeś mi się ty. W noc przed naszym pierwszym spotkaniem śniło mi się, że zamykam kawiarnię i wtedy pod drzwiami zjawia się bałwan.
- Bałwan?
- Taki śniegowy. A ty przecież cały byłeś wtedy pokryty śniegiem.
- Niech będzie, trochę to naciągane, ale dostrzegam podobieństwo. Czego zatem chciał ten bałwan?
- No właśnie. Chciał skorzystać z telefonu, bo zepsuły mu się sanie.

Uniosłem brew.

- OK. Jestem pod wrażeniem.

- A potem podwiozłam go do domu, żeby się nie stopił w cieple.
- W porządku, to brzmi dość niesamowicie.
- Wiem, miewam takie sny raz na jakiś czas.
- To znaczy?
- Raz na kilka miesięcy. Najczęściej poprzedzają jakieś ważne wydarzenie w moim życiu albo... albo spotkanie z jakąś osobą, która stanie się dla mnie ważna. Jo przyśniła mi się na kilka dni przed naszym pierwszym spotkaniem. Mieszkałam wtedy w schronisku dla bezdomnych. Śniłam, że z nieba zstąpił płaczący anioł i zabrał mnie do domu.
- To naprawdę niesamowite.
- Sama nie wiem, co o tym sądzić. Nie wszystkie moje sny są wyjątkowe. Większość jest całkiem zwyczajna. Zawsze jednak wiem, kiedy śni mi się taki, który jest czymś więcej niż tylko sennym marzeniem. To całkiem inne uczucie.
- Pod jakim względem?
- Trudno to opisać. Wydaje mi się wtedy, że nie pogrążam się w sen, ale jakby we wspomnienia. Czasem taki sen powraca, śni mi się przez wiele nocy.
- Śniłem ci się jeszcze później?
- Nie. Ale wczoraj w nocy miałam sen, który nie daje mi spokoju.
- Opowiedz mi go.
- Szukałam Noel i z jakiegoś powodu, żeby ją odnaleźć, musiałam wrócić do domu Hummelów. Noel schowała się w sypialni pani Hummel, a ja błagałam Irenę, żeby ją stamtąd wypuściła.
- I wypuściła?



- Tak. Ale mimo to nie udało mi się z nią zobaczyć. Nie mogę sobie przypomnieć dlaczego.
  - Jak myślisz, co to znaczy? Wzruszyła ramionami.
  - Właśnie o to chodzi, że nie wiem. Nigdy nie wiem. To jest w takich snach najgorsze. Na co komu prorocze sny, jeśli ich sens widać dopiero po tym, jak już się spełnią? - Wstrząsnął nią dreszcz.
  - Zrobiło się naprawdę zimno, chcesz wracać?
  - Am trochę. Ale może siedlibyśmy bliżej siebie, wiesz, żeby się wzajem ogrzać?
  - Mam lepszy pomysł - zawołałem i pobiegłem do samochodu odłożyć gitarę i zabrać stamtąd gruby, wełniany koc. Usiadłem obok niej i okryłem nas oboje.
  - Sprytnie to sobie wszystko zaplanowałaś.
  - Zauważyłaś? Spójrz tylko, jakie doskonale miejsce na randkę wybrałem. Nigdzie żywego ducha, jest za to romantyczny nastrój i bardzo zimno.
  - A więc wszystko tutaj było elementem chytrego planu. Gitara, wełniany koc, pełnia księżyca to wszystko twoja robota?
  - Na księżyc nie miałem wpływu, ale poza tym przyznaję się do wszystkiego.
- Uśmiechnęła się.
- Dobrze ci poszło.
- Spojrzeliliśmy sobie w oczy, a potem jednocześnie nachyliliśmy się ku sobie i pocałowali po raz pierwszy. Nie pamiętam dokładnie, co działo się później, wspomnienia zlewają się ze sobą niczym kolory w nieostrej fotografii. Dotyk i ciepło jej

ciała przy moim, szczęśliwe westchnienia. Uczucie całkowitego spokoju. Godzinę później, gdy nasze ognisko dogasało, a temperatura spadła grubo poniżej zera, zrobiło się naprawdę zimno. Nie pomógł już nawet wełniany koc i ciepło dwojga ciał. Włączyłem więc silnik samochodu i zostawiłem Macy w kabinie, a sam poszedłem zasypać śniegiem ognisko. Potem wyjechaliśmy z doliny.

- Wokół Salt Lake City jest mnóstwo wspaniałych kanionów - powiedziałem, gdy zmierzaliśmy już do domu. - Ty i Joette na pewno zwiedziłyście je wszystkie.

- Nie, nigdy tam nie jeździmy. Jo przeżyła coś okropnego niedaleko stąd.

- W kanionie Big Cottonwood?

- Jej córeczka utonęła tam w potoku.

Na moment oderwałem wzrok od drogi i spojrzałem na nią.

- Właśnie tam, gdzie byliśmy przed chwilą?

- Nie, to było nieco dalej w głąb wąwozu.

- Kiedy to się stało?

- Jakieś pięć lat temu. Na krótko przed tym, jak ją spotkałam.

- Przepraszam. Powinienem był zapytać, zanim tam cię zabrałem.

- Skąd mogłeś wiedzieć. Poza tym byłam tam już wcześniej. Choć nigdy z Jo. O naszej dzisiejszej wycieczce też jej nie opowiem. Nie złościłaby się na mnie, ale wolę nie przypominać o przeszłości. -

Odwróciła się na siedzeniu. - Więc jeśli zapyta, masz jej powiedzieć, że byliśmy w Parku Wolności."

- Park Wolności - powtórzyłem. - A sądzisz, że ona będzie pytać, gdzie cię zabrałem?

- Z całą pewnością. Jest w stosunku do mnie nieco nadopiekuńcza. Zobaczysz, że będzie na mnie czekać w oknie. Taka po prostu jest i już.
- W sumie to miłe.
- Żebyś wiedział. - Nachyliła się w moją stronę. - Chciałam cię o to zapytać już wcześniej: co robisz w Święto Dziękczynienia?
- Planowałem oglądać telewizję. Pewnie podgrzeję jakiś obiad z supermarketu.
- Żałosne. Przyjdź lepiej do nas. W tym roku Święto Dziękczynienia będzie naprawdę wyjątkowe. Po raz pierwszy od sama nie wiem kiedy, Joette bierze wolne.
- Chcesz mi powiedzieć, że ktoś naprawdę przychodzi do restauracji Denny's na obiad w Święto Dziękczynienia? - spytałem z niedowierzaniem.
- Święto Dziękczynienia to ważna data w kalendarzu restauracji. Serwują wtedy indyka, puree ziemniaczane polane specjalnym sosem i kawałek dyni za jedyne 7,99 za porcję. Prawdziwa okazja. Przemknęło mi przez myśl, że to brzmi zupełnie jak z radiowej reklamy. Jednak mimo zachęcającego wstępu nadal byłem zdania, że spędzanie świąt w przydrożnej restauracji Danny's jest pomysłem okropnie ponurym. Z drugiej strony ktoś, kto jeszcze chwilę wcześniej sam planował przesiedzieć cały dzień przed telewizorem i z plastikowym talerzem w dłoni, nie powinien nazbyt pochopnie osądzać planów innych ludzi.
- Joette nie będzie przeszkadzać, że wproszę się do was na obiad? - spytałem.

- Ani trochę. Lubi cię.

- Przecież ona nawet mnie nie zna.

- Wie o tobie więcej, niż podejrzewasz. Wszystko jej opowiadam.

Było już po północy, gdy podjechaliśmy przed dom Macy. W środku nadal świeciły się światła.

Wyłączyłem silnik.

- Dziękuję, że zabrałeś mnie na randkę. - Uśmiechnęła się do mnie. - Naprawdę dobrze się bawiłam.

- Dziękuję, że dałaś się zaprosić. To ja naprawdę dobrze się bawiłem. Szczególnie gdy doszliśmy do całowania - dodałem.

Uśmiechnęła się filuternie.

- Fajnie było. - Spojrzała mi głęboko w oczy. - Mogę zadać ci osobiste pytanie?

- Jasne.

- Gdy się spotkaliśmy po raz pierwszy, powiedziałeś, że właśnie rzuciła cię dziewczyna. Czy dla ciebie było to coś poważnego?

- Sam nie wiem. - Tym razem to ja uśmiechnąłem się do niej. - To chyba wystarczy za całą odpowiedź. Jeśli mówisz, że nie wiesz, czy traktujesz coś poważnie, to prawdziwa odpowiedź brzmi: „nie”. Ona chciała nawet, żebyśmy się pobrali.

- A ty?

- Dużo o tym rozmawialiśmy. Chodziliśmy ze sobą od zawsze, całe cztery lata. Mimo to nie jestem pewien, czy była dla mnie tą jedyną, prawdziwą miłością. Po czterech latach powinno się już wiedzieć takie rzeczy, prawda?

- Sądzę, że w tym czasie rzuciłbyś ją już ze sto razy, gdyby nie była prawdziwą miłością. Opowiedz mi o niej.

- Tennys była... - Przez chwilę szukałem odpowiednich słów, by ją opisać. - Tennys to typ dziewczyny, o której da się opowiadać za pomocą samych banałów.
- To znaczy?
- Wszyscy ją lubili. Była królową balu maturalnego, kapitanem drużyny cheerleaderek, sama widzisz. Macy powstrzymała salwę śmiechu.
- O co chodzi?
- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie na randce z królową balu.
- A to czemu? - Postanowiłem nie wyjawiać, że na tamtym balu wybrano mnie królem.
- Wydajesz się na to zbyt... głęboki.
- Wcale nie, oboje byliśmy w gruncie rzeczy dość płytki. Nie starczyłoby wody, by przepłynąć kajakiem.
- Macy zaśmiała się z żartu.
- A jaką miała osobowość? Była snobką?
- Nie, Tennys dla wszystkich zawsze starała się być miłą.
- Miła?
- Tak. Wiesz, zawsze bardzo uważała, by kogoś nie urazić.
- A co to właściwie znaczy?
- Nikomu się nie sprzeciwiała. Nie robiła scen, nie sprawiała problemów. Oddawała się urokom prostego, pozbawionego refleksji życia.
- To zupełnie tak jak ja - wyznała Macy z udaną powagą, po czym wybuchła głośnym śmiechem. - Trzeba się było z nią żenić, póki jeszcze mogłeś.
- Chwyciłem Macy i przyciągnąłem do siebie.

- Też tak myślę.

- Nadal masz ochotę jechać ze mną jutro na obiad do Bonnie?

Kompletnie zapomniałem o tym zaproszeniu. Powiedziałem jednak:

- Jasne, że tak. Chcesz, żebym po ciebie przyjechał? - Jeśli możesz. Sama nie lubię prowadzić.

- To dlatego, że nie potrafisz. Uderzyła mnie w ramię.

- Wcale nie.

- Ależ tak. Tamtego wieczora, gdy cię spotkałem, o mało nie skosiłaś latarni.

- To dlatego, że szalała burza śnieżna. Trzeba było pozwolić ci iść do domu na piechotę, tak jak sam tego chciałeś.

- Trzeba było. Ale teraz już na to za późno, przyczepiłem się do ciebie i nie zamierzam się odczepić.

- No myślę.

Nachyliłem się, by znowu ją pocałować. Światła na ganku zaczęły błyskać jak stroboskopy. Macy odsunęła się ode mnie.

- Ostrzegałam cię.

- Ona tak na poważnie?

- Nie. Drażni się z nami. To taki nasz mały żart.

- Często tak sobie żartujecie? Macy uśmiechnęła się niewinnie.

- Zdarza się od czasu do czasu.

- No więc? Gdzie w tej chwili czai się twój chłopak?

- Od jakiegoś czasu nie mam chłopaka.

- Od kiedy?

- Od zeszłego lata. Wtedy zerwałam ze swoim ostatnim.

- To było coś poważnego?

- Dla niego bardziej niż dla mnie. - Światła mignęły ponownie. Macy wolno pokręciła głową. - Można przez nią oszaleć. - Nachyliła się ku mnie i zasypała mnie pocałunkami,
- Dobrej nocy - wyszeptała w końcu.
- Dobrej nocy.

Wysiadła z samochodu i pobiegła w kierunku domu. Gdy zniknęła za drzwiami, zapaliłem silnik i pojechałem do siebie. Pomyślałem, że zaczynam chyba kreślić bardzo poważne plany względem tej dziewczyny.

## ***Rozdział 17***

*Jakoś pomiędzy daniem głównym a kawą pani Foster zaserwowała nam odkrycie wprost rewolucyjne.*

Z dziennika Marka Smarta

Zjawiliśmy się na progu domu Bonnie kilka minut przed drugą. Zadzwoniliśmy do drzwi, a ona zawołała, byśmy weszli do środka. Panią domu znaleźliśmy w kuchni, gdzie krzątała się między parującymi garnkami. Macy natychmiast zgłosiła się do pomocy. Bonnie widocznie uznała, że zgłoszenie dotyczyło nas obojga i kazała mi najpierw nakryć do stołu, a potem wyprowadzić Freda „za potrzebą”. Wypełniłem jej polecenia co do joty. Wszyscy, wliczając w to psa, byliśmy gotowi mniej więcej w tym samym czasie. Zebraliśmy się w kuchni i zasiedliśmy przy stole.

Bonnie przygotowała pieczeń wołową, do tego zieloną fasolkę, ziemniaczane puree i gorące maślane bułeczki. Nie jadłem takiego obiadu, odkąd wyjechałem z domu. Gdy zaspokoiliśmy już pierwszy głód, Bonnie zwróciła się do mnie: - Od jak dawna mieszkasz w Utah, Mark? Miałem usta pełne jedzenia i zajęło mi chwilę, zanim zdołałem przełknąć i zaryzykować odpowiedź.



- Przyjechałem półtora roku temu.
- Jak często jeździsz do domu?
- Od przyjazdu do Utah jeszcze tam nie byłem.
- Twoi rodzice na pewno za tobą tęsknią.
- Mark niedawno stracił matkę - wyjaśniła Macy.
- Przyjmij moje kondolencje. - Spojrzała na mnie z sympatią. - Na pewno jest ci teraz trudno. A jak radzi sobie twój ojciec?
- Chyba dobrze.
- Musi za tobą tęsknić. Szczególnie w takim momencie. — Spojrzała na Macy. — A skoro mówimy już o ojcach. Udało mi się odnaleźć twojego.

Na te słowa oboje podnieśliśmy głowy.

- Znalazła go pani? - spytała Macy.
- Chciałam do ciebie zadzwonić wczoraj wieczorem, ale było za późno na telefony. Dochodził już kwadrans po dziewiątej.

Wydało mi się to zabawne, zwłaszcza że oboje kończyliśmy pracę po jedenastej.

- W jaki sposób udało się go pani znaleźć? - dopytywała się Macy.
- Przypomniałam sobie, że jakieś sześć miesięcy po tym, jak was zabrali, twój ojciec ożenił się ponownie. Nie trwało to długo, może kilka miesięcy. Jednak udało mi się odnaleźć zaproszenie na ich ślub. Nigdy niczego nie wyrzucam - powiedziała do mnie tonem wyjaśnienia. — Kobieta, z którą się ożenił, nadal mieszka w Kearns. Mam nadzieję, że nie będziecie mieli mi za złe, że do niej zadzwoniłam. Powiedziała mi, że twój ojciec zatrzymał się teraz w domu któregoś ze swych przyjaciół. To pewnie dlatego nie mogłaś go znaleźć w żadnym spisie.

- Czy ta kobieta podała pani jego adres? - niecierpliwiła się Macy.
  - Nie. Ale podała swój. Powiedziała, że chce się z tobą spotkać. Zapisałam, gdzie mieszka. Kartka wisi na lodówce. Zaraz ją przyniosę.
- Wstała z krzesła i podeszła do lodówki. Chwilę później położyła na stole małą kartkę papieru.
- Nazywa się Barbara Norris i mieszka w Kearns, Altura Road **500**. Mówiła, że to gdzieś w pobliżu **616** Alei Zachodniej. Mieszkanie numer **321**.
- Wręczyła adres Macy.
- Bonnie, bardzo ci dziękuję.
  - Musisz mi koniecznie dać znać, jak ci z nią poszło. A teraz wracajmy do obiadu, nim wszystko wystygnie.

## ***Rozdział 18***

*Nasze poszukiwania przypominają jedną z tych planszowych gier, gdzie kolejne rzuty kośćmi przenoszą cię do coraz to nowej krainy. Tym razem gra zaprowadziła nas w miejsce naprawdę niezwykle.*

Z dziennika Marka Smarta

Po tym, jak Bonnie opowiedziała nam o swoim odkryciu, Macy właściwie nie tknęła już posiłku. Byłem pewien, że wiele wysiłku kosztuje ją pozostanie na miejscu. Najchętniej natychmiast zerwałaby się z krzesła i popędziła prosto na spotkanie tajemniczej kobiety. Mimo protestów Bonnie pomogliśmy jej pozmywać naczynia, potem dołączyliśmy do niej w salonie, gdzie podała kawę i deser. Wyjęła z szafy kilka zwojów z muzyką i uruchomiła pianolę. Gdy zorientowałem się, że nasza gospodyni najchętniej zatrzymałaby nas u siebie przez cały wieczór, grzecznie przeprosiłem, wymawiając się pracą. Macy wiedziała oczywiście, że wcale nie muszę się do niej spieszyć i rzuciła mi pełne wdzięczności spojrzenie. Szybko wymieniliśmy pożegnania, a Macy obiecała staruszce, że odwiedzi ją w następną niedzielę.

- Dziękuję. - Macy westchnęła, gdy siedzieliśmy już we wnętrzu samochodu. Podała mi karteczkę z zapisanym adresem.

W ciągu dziesięciu minut byliśmy na progu mieszkania na trzecim piętrze wskazanego budynku. Macy nacisnęła dzwonek. Wbiła niespokojne spojrzenie w wycieraczkę pod drzwiami i nerwowo przestępowała z nogi na nogę. Usłyszeliśmy zbliżające się kroki, potem drzwi uchyliły się na tyle, na ile pozwalał przytrzymujący je łańcuch. Z wąskiej szpary między framugą a skrzydłem drzwi wyjrzała kobieca twarz.

-Tak?

- Szukamy Barbary Norris - powiedziałem.

- To ja.

- Nazywam się Macy Wood - przedstawiła się Macy. Trwało chwilę, zanim kobieta skojarzyła nazwisko.

- Ach! - Przymknęła drzwi, zdjęła łańcuch i po sekundzie otworzyła je szeroko. - Mój Boże, myślałam, że będziesz młodsza. - Potem spojrzała na mnie. - A ten pan to...?

- To mój przyjaciel Mark.

- Dobry wieczór - przywitałem się.

- Zapraszam do środka. Wejdźcie oboje. - Wykonała dłonią zachęcający gest.

Macy pierwsza przestąpiła próg, a Barbara natychmiast objęła ją i przytuliła do siebie iście teatralnym gestem.

- Witaj w domu, kochanie. Witaj, witaj, witaj. - Macy wydawała się nieco zaskoczona wylewnym powitaniem. Zamknąłem za nami drzwi i przyglądałem się obu kobietom. Barbara wypuściła w końcu Macy z objęć i zwróciła się do mnie.

- Nie znam ciebie, ale skoro przyszedłeś tu z naszym dzieckiem, znaczy to, że jesteś członkiem rodziny.
- Tak, proszę pani. - Tylko to zdołałem z siebie wydusić, przytłoczony jej emfatyczną manierą.
- A teraz usiądźcie oboje. Nie, nie tutaj, chodźmy na kanapę. - Skierowała mnie ku najbrzydszemu meblowi, jaki kiedykolwiek widziałem, rozkładanej sofie o obiciu w kolorach zgniłej zieleni, czerwieni i złota. Przez chwilę Barbara po prostu wpatrywała się w Macy. - Twój ojciec bez przerwy mi o tobie opowiada. Wiesz, że nosi ze sobą w portfelu twoje zdjęcie? Ale na nim jesteś jeszcze dzieckiem. Mój Boże.
- Nie wiedziałam o tym - odpowiedziała ostrożnie Macy.
- Oczywiście, skąd mogłaś wiedzieć. A teraz stoisz tu przede mną. Marzyłam o tym spotkaniu, odkąd twój tata opowiedział mi o tobie po raz pierwszy. - Przeniosła spojrzenie na mnie. - Cuda jednak się zdarzają, nie sądzisz?
- Sam nie wiem - wymamrotałem, nie będąc pewnym, jakiej odpowiedzi oczekuje. Wydawała się jednak zadowolona.
- O tak, możesz mi wierzyć.
- Wyszła pani za mojego ojca?
- Nie jestem pewna, czy można to było nazwać zamążpój-ściem. Zdarza się, że katar ciągnie się dłużej niż nasze małżeństwo. - Spojrzała na Macy i kontynuowała nieco ściszym głosem: - Nie wiem, jak dużo dowiedziałaś się o swoim ojcu do tej pory, ale powinnaś wiedzieć, że on jest narkomanem.
- Tak, wiem - przyznała Macy. - A pani o tym wiedziała?
- Z początku nie. A kiedy to w końcu odkryłam, byłam już w nim zakochana po uszy. - Przewróciła wymownie oczami. - Wiesz, jak to mówią: „miłość pokona wszystko”. - Zaśmiała się

ponuro. - Akurat. Okazuje się, że mam słabość do mężczyzn, którzy sami potrzebują pomocy.

- Pani Foster powiedziała mi, że pani wie, gdzie mogę teraz znaleźć ojca - wtrąciła Macy.

- Tak, nadal ze sobą dużo rozmawiamy. Od rozvodu staliśmy się lepszymi przyjaciółmi, niż byliśmy nimi wcześniej.

- Czy mieszka daleko stąd?

- Nie sądzę, by twój ojciec był kiedykolwiek w stanie zdobyć się na wyjazd. Wiesz, jaki on jest.

- Nie. Prawdę mówiąc, nie wiem. - Na czole Macy pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Racja. Nie powinnam była tak mówić. Przyszłaś tu przecież tylko dlatego, że starasz się go odszukać. Jednak chciałam cię wcześniej przygotować na to spotkanie. On jest bardzo chory.

- Od narkotyków?

- I wszystkich innych rzeczy, którymi przez lata traktował swoje ciało. Bóg jeden raczy wiedzieć, co jeszcze trzyma go przy życiu. Potrzebuje przeszczepu wątroby, ale jest w grupie wysokiego ryzyka, więc lekarze nie zakwalifikowali go do zabiegu. Sądzę, że wypisali go ze szpitala tylko po to, by mógł umrzeć w domu. Mieszka u jednego ze starych kumpli. - Spojrzała w oczy Macy. - Bardzo ucieszył się na wieść, że chcesz się z nim spotkać.

- Wiedział, że go szukam?

- Rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem, zaraz po telefonie od tej starszej kobiety. Prosił, byś do niego zadzwoniła natychmiast, jak tylko pojawisz się u mnie w domu. - Schyliła się i podjęła przenośny telefon z podłogi obok krzesła. - Jesteś na to gotowa?

Macy rzuciła mi szybkie spojrzenie i wzięła głęboki oddech. -Tak.

Barbara wykręciła numer z pamięci i wręczyła telefon Macy. Dziewczyna przyłożyła słuchawkę do ucha. Obserwowaliśmy ją w napięciu.

— Halo. Czy mogę rozmawiać z Marshallem Woodem? Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

- Tatusiu? To ja, Macy.

## ***Rozdział 19***

*Odnależliśmy ojca Macy. Dziś nauczyłem się czegoś niezwykle wartościowego. Największe cierpienia sprowadzamy na siebie sami, chcąc uciec przed mniejszymi.*

Z dziennika Marka Smarta

Odnależliśmy ojca Macy po południowej stronie miasteczka Kearns, niecałe trzy mile od mieszkania jego byłej żony. Dzielnica, w której mieszkał, nie należała do bogatych. Rozpadające się rudery stały tutaj w równych odstępach po obu stronach szosy zastawionej starymi samochodami.

Wjechałem na popękany betonowy podjazd przed jednym z domów. Samochód z głośnym chrzęstem otarł się podwoziem o wysoki krawężnik. Hałas musiał zwrócić uwagę domowników, zauważyłem, jak ktoś na moment odsuwa zasłonę we frontowym oknie.

Zgasiłem silnik i odwróciłem się do Macy. Po raz trzeci czekałem wraz z nią na spotkanie, które miało odmienić jej życie. Tym razem wiedzieliśmy jednak, z kim mamy się spotkać. Dziewczyna wyglądała na spiętą, nerwowo obracała na palcu pierścionek.



- O czym myślisz? — spytałem.
- Mam mętlik w głowie. To dziwne. Całe życie przygotowywałam się na ten moment, a teraz nie wiem, jak powinnam się zachować. Co będzie, jeśli puszczą mi nerwy? Jeśli nawrzeszczę na niego za wszystkie krzywdy, które wyrządził nam obu?
- Wtedy będzie to znaczyło, że sobie na to zasłużył. -Wzięłam ją za rękę. - Zachowuj się naturalnie, zaufaj sobie. Wtedy, cokolwiek zrobisz, będzie to dokładnie to, co powinnaś była zrobić. Spojrzała na mnie ze wzruszeniem i zrozumiałem wówczas, jak łatwo można było ją zranić i ile nosiła w sobie strachu. Nie mogłem oprzeć się myśli, jak piękne są jej oczy.
- Dziękuję, że tu ze mną przyjechałeś. Uśmiechnąłem się do niej szeroko.
- W jaki sposób udało mi się w to wszystko wmieszać?
- Spytałeś, czy możesz skorzystać z mojego telefonu.
- Trzeba było kupić sobie jedną z tych nowych przenośnych komórek.
- Na początek mógłbyś po prostu sprawić sobie taki całkiem staromodny, zwyczajny telefon — skwitowała moje fantazje.
- Spotkanie z Barbarą było... interesujące. Macy zaśmiała się krótko.
- Czy przez interesujące mam rozumieć fascynujące, czy też raczej potworne? Odwzajemniłem jej uśmiech.
- Właśnie.
- Mój ojciec może okazać się do niej podobny.
- To by wyjaśniało, po kim odziedziczyłaś gust. -Jesteś wredny. - Zaśmiała się ponownie. Dobrze było widzieć, że choć trochę się odprężyła. Mocno ścisnęła moją rękę. - No dobra. Chodźmy tam. Wsiedliśmy z samochodu i podeszliśmy do drzwi domu. Dach niewielkiego ganku wspierał się na

dwóch drewnianych kolumnach, farba, którą były pomalowane, łuszczyła się i odpadała płatami. Z belki między kolumnami zwisał wiatrołap zrobiony ze sprasowanych widelców i łyżeczek. Nigdzie nie dostrzegłem dzwonka, zapukaliśmy więc do drzwi. Niemal natychmiast otworzył nam jakiś mężczyzna. Był niski i łysy, dobijał sześćdziesiątki i miał wielki brzuch, który zwisał mu nad paskiem spodni. Rzucił mi przelotne spojrzenie i skupił całą uwagę na Macy. Stała przed nim niepewna, czy patrzy na własnego ojca.

Zdałem sobie sprawę z przyczyny jej zakłopotania i odezwałem się do mężczyzny:

- Pan Wood?

- Nie. Jestem Ken, Marshall leży w łóżku. - Znów spojrzał na Macy. - Twój tata czeka na ciebie.

Położyłem jej dłoń na ramieniu.

- Idź tam - zachęciłem.

Weszła do środka i ruszyliśmy za Kenem do sypialni na końcu wąskiego korytarza. Macy zajrzała do wnętrza i zatrzymała się w otwartych drzwiach. Zakryła twarz dłońmi. Podeszedłem bliżej i zajrzałem do środka ponad jej ramieniem. Ojciec Macy leżał w łóżku, wsparty na licznych poduszkach i z kołdrą podciągniętą pod samą brodę. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby dorosły człowiek był taki wychudzony. Z nosa

wystawała mu plastikowa rurka, której drugi koniec podłączono do butli z tlenem. Łzy wypełniały jego zapadnięte oczy.

- Maleńka! - zawołał. Macy nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

- Podejź tutaj, kochanie.

Ruszyła w jego stronę i padła mu w ramiona. Płakali teraz oboje,

- Nareszcie w domu - odezwał się pierwszy, gładząc jej włosy. - Nareszcie w domu.

Weszliśmy razem z Kenem do pokoju i w ciszy obserwowaliśmy ich powitanie.

- Tęskniłem za tobą - wychrypiał.

- Ja za tobą też - odpowiedziała mu Macy.

- Popatrz na nią, Ken. Popatrz tylko, jaka piękna jest moja mała córeczka.

- Widzę.

Przeniósł teraz spojrzenie na mnie.

- To twój chłopak?

- Tak - powiedziała Macy, nie odwracając głowy.

- Mam na imię Mark - przedstawiłem się.

- Miło mi cię poznać.

- Miło mi pana poznać.

- Ile to już lat? - ponownie mówił do Macy.

- Czternaście lat, jeden miesiąc, dwa tygodnie i trzy dni. Kilkakrotnie pokręcił głową.

- Pamiętasz nasz ostatni dzień razem?

- Bawiliśmy się we wszystkie pory roku.

- Tak jest. Myślałem wtedy, że być może nigdy więcej cię już nie zobaczę. Chciałem więc zebrać razem wszystkie

najważniejsze wspomnienia: Wielkanoc, Halloween i Boże Narodzenie. Czy masz jeszcze tę bombkę, którą zostawiła ci matka?

- Tak. Wszędzie ją ze sobą zabierałam.

- Twojej matce bardzo zależało na tych bombkach. Nawet w swoich ostatnich słowach tuż przed śmiercią mówiła właśnie o nich. Twoja siostra Noel dostała identyczną.

Macy wzdrygnęła się na dźwięk imienia siostry. Odsunęła się od niego.

- Opowiedz mi o Noel. Widujesz się z nią?

Przez moment nie odpowiadał, potem wstrząsnął nim atak kaszlu.

- Nie, nie widziałem jej ani razu, odkąd mi ją odebrali, — Dostrzegłem rozczarowanie malujące się na twarzy Macy. — Nigdy sobie nie wybaczę, że was obie straciłem, ale najbardziej w życiu żałuję tego, że pozwoliłem im was rozdzielić. Nigdy nie powinno było do tego dojść. Obiecałem waszej matce, że do tego nie dopuszczę. - Emocje ścisnęły mu gardło. - Ale nie dotrzymałem słowa.

Macy dotknęła jego ręki.

- Tak słabo ją pamiętam. Wiem, że jest gdzieś we wnętrzu mojej głowy, ale jednocześnie zbyt głęboko, żebym mogła do niej sięgnąć. Opowiedz mi o niej — poprosiła ze smutkiem w głosie.

- Pamiętasz, co jest napisane na twojej bombce?

- Noel. 25 grudnia.

- To były jej pierwsze święta. Urodziła się w dzień Bożego Narodzenia. Chciałem dać jej na imię Holly, czyli święta. Ale z takim nazwiskiem jak nasze wyszłoby z tego Holly Wood

i wasza matka za nic nie chciała się na to zgodzić. Daliśmy jej więc na imię Christina Noel. To twoja mama chciała nazwać ją Christina, dziecko Chrystusa.

- Zapomniałam jej imię - wyznała Macy.

- Rozdzielenie z siostrą było dla ciebie wielką traumą, kochanie. Pewnie tego nie pamiętasz, ale starałaś się zastąpić jej matkę. Przygotowywałaś dla niej śniadanie, ubierałaś ją, kąpałaś. Jeden z terapeutów na odwyku wyjaśnił mi kiedyś, że gdy rodzice nie spełniają swoich funkcji, najstarsze z dzieci często stara się przejąć ich role. Powiedział też, że dowiedzieli się o moich problemach, bo zauważyli, że każdego dnia przynosiłaś do szkoły zawsze to samo śniadanie: kanapki z chipsami ziemniaczanymi. - Głośno wypuścił z płuc powietrze. - Nawet przed śmiercią waszej matki kiepski był ze mnie ojciec. Ale później... - Opuścił wzrok.

- Gdy mama umarła, miałam zaledwie pięć lat.

- Tak, to prawda — przytaknął, wyraźnie zawstydzony.

- Czy wiesz, gdzie teraz jest Noel?

- Najpierw zabrali ją do rodziny zastępczej, potem jakaś inna rodzina wzięła ją do adopcji. Musiałem zrzec się swoich praw. Byłem wtedy w klinice odwykowej, w głowie miałem watę zamiast myśli.

Przez to wszystko mam nie najlepszą pamięć. Ale ktoś w administracji stanowej będzie to wiedział.

- Administracja nie chce mi niczego powiedzieć. Akta Noel zostały utajnione. - Macy ściągnęła wargi.

Przez chwilę miałem wrażenie, jakby cała energia zgromadzona wewnątrz pokoju uleciała gdzieś w jednej chwili. Wtem twarz ojca rozjaśnił uśmiech.

- Wiem, kto musi to wiedzieć. Ta kobieta, która cię adoptowała. Hummel.

Przez twarz Macy przebiegł grymas bólu.

- Dlaczego myślisz, że ona będzie znać rodziców Noel?

- Ta kuratorka, która prowadziła naszą sprawę, powiedziała mi kiedyś, że rodzina, która adoptowała

Noel, miała z nią spore problemy. Noel bez przerwy płakała, to trwało tygodniami. W końcu postanowili cię odnaleźć. Nie pamiętasz?

- Widziałam ją tylko raz. Przed przesłuchaniem w sprawie adopcji. Pamiętam, że pani Hummel pokłóciła się z mężczyzną, który przyprowadził Noel. Później już jej nie spotkałam.

- Szkoda. - Na jego twarzy odbiło się rozczarowanie. Zapadła cisza.

- Od jak dawna mnie szukasz? - odezwał się ponownie.

- Niezbyt długo. Całe życie chciałam cię ponownie zobaczyć. Zastanawiałam się, jak to będzie, gdy przypadkiem wpadnę na ciebie gdzieś na stacji benzynowej albo w supermarkecie.

Pokiwał głową.

- Miałem nadzieję, że tu przyjdiesz.

- To dlaczego ty mnie nie szukałeś?

- Bałem się. Byłem pewien, że mnie nienawidzisz. Macy milczała przez dłuższą chwilę.

- Nie nienawidzę cię.

- A powinnaś. Zawiodłem cię. Zawiodłem całą rodzinę...

- To było silniejsze od ciebie...

- Macy, nie usprawiedliwiał mnie. Na to, co zrobiłem, nie ma usprawiedliwienia. Czy może istnieć powód wystarczająco dobry na to, by ojciec porzucił własne dziecko?

- Nie wiem - odpowiedziała Macy.

Przez moment po prostu patrzyli sobie w oczy.

- Powinnaś jednak wiedzieć, że była też jakaś przyczyna. Nie usprawiedliwienie, ale przyczyna. Wiem, że niewiele to teraz znaczy, bo przeszłości nie da się zmienić, aleja nigdy nie chciałem stać się tym, kim jestem. Kiedy miałem siedem lat, zachorowałem na polio. Wmuszali we mnie wiadra różnych pigułek. Nigdy później nie potrafiłem już ich odstawić. Nie mogłem się powstrzymać. Spoglądając wstecz... - Pokręcił głową. - Gdybym wiedział wtedy, ile to będzie mnie kosztować, wybrałbym ból i cierpienie. Największe cierpienia sprowadzamy na siebie sami, chcąc uciec od mniejszych.

Macy odsunęła się od łóżka i przez chwilę patrzyła na niego. Nie potrafiłem odgadnąć, o czym w tym momencie myśli, lecz w jej twarzy zobaczyłem wtedy coś, czego nigdy wcześniej tam nie dostrzegłem. Patrzyłem teraz na dorosłą kobietę, o wiele dojrzalszą, niż wskazywał na to jej młody wiek. Ukradkiem wytarła łzy z policzków i odezwała się cichym głosem.

- Cierpiałam, tato. O wiele bardziej, niż ktokolwiek może to wiedzieć. Byłam molestowana seksualnie w klinice odwykowej, do której cię posłali. Prawie każdego tygodnia biła mnie zła kobieta, której pozwoliłeś mnie adoptować. Ttzy miesiące mieszkałam na ulicy. Przez sześć tygodni sypiałam za koszem na śmieci przy supermarkecie Wal-Mart. Zdziwiłbyś się, do czego zdolny jest człowiek w zamian za kanapkę z serem, gdy ostatni posiłek zjadł cztery dni wcześniej. Masz rację. Mam prawo cię nienawidzić. A mimo to nie nienawiść do ciebie czuję. Żal mi cię. Nieważne przez co przechodziłam, nigdy nie zdradziłam nikogo, kogo kocham. To najgorsza rzecz, jaką można zrobić.

Mężczyzna zaczął głośno płakać.

- Tak mi przykro, kochanie. Tak bardzo żałuję.

- Muszę już iść - twarda nuta zniknęła z głosu Macy. Pochyliła się nad nim i przytuliła go mocno do siebie.

Zajęło chwilę, nim na powrót zapanował nad sobą.

- Zobaczą cię jeszcze kiedyś? Dziewczyna kiwnęła głową.

- Mamy wiele rzeczy do obgadania.

Macy wyszła z pokoju, zostawiając mężczyznę pogrążonego w smutku. Spojrzałem na niego po raz ostatni i ruszyłem w ślad za nią. Mnie także było go żal.

Macy milczała przez większą część drogi do domu. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, o czym myśli.

Gdy zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu z drogą stanową, wybuchła niespodziewanie.

- Dlaczego muszę tam wracać? Dlaczego tamta kobieta musi ponownie pojawić się w moim życiu?

Odwróciłem się do niej.

- Pamiętasz, śniłaś o tym, że będziesz musiała wrócić do domu Hummelów, by odnaleźć Noel.

- To nie jest w porządku.

- Może jest jakiś powód, byś tam wróciła.

- Jasne - prychnęła. - Nie dość się jeszcze wycierpiałam.

- Może to właśnie dlatego, że wycierpiałaś już zbyt wiele.

Nie odpowiedziała mi, przez resztę drogi po prostu patrzyła przez okno. Zrobiło się późno i czułem, że woli teraz zostać sama, wysadziłem ją więc przed domem i ruszyłem z powrotem do swojego mieszkania.



## ***Rozdział 20***

*Sam nie wiem kiedy ani w jaki sposób, ale Macy całkiem podbiła moje serce.*

Z dziennika Marka Smarta

Kiedyś słyszałem, jak podczas kazania pewien pastor opowiadał wiernym historię o żabie, która, gdy wrzucić ją do garnka z wrzącą wodą, wyskoczy z niego czym prędzej. Jeśli jednak wrzuci się ją do garnka z zimną wodą i zacznie powoli, łyżeczka po łyżeczce, dolewać wrzątku, żaba ugotuje się żywcem.

Kaznodzieja wyjaśnił następnie, że w ten metaforyczny sposób chciał przybliżyć zgromadzonym naturę grzechu — dobrze, że była to przenośnia, bo nie wiem, po co ktokolwiek miałby gotować żywcem żaby. Ze swojej strony sądzę, że ta metafora znajduje równie dobre zastosowanie w przypadku romantycznej miłości. Czasem miłość przychodzi stopniowo i niezauważalnie, tak że nim się spostrzeżesz, jesteś już całkiem ugotowany - wybaczcie dobór słów. Dokładnie tak było ze mną i Macy.

Nie potrafię wskazać momentu, w którym podjąłem decyzję, by poprosić Macy o rękę, ale to właśnie wracając po

spotkaniu z jej ojcem, po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, że już ją podjąłem. Dla kogoś, kto obserwowałby wszystko z zewnątrz, musiało to wyglądać na istne wariactwo. W końcu znałem Macy zaledwie od trzech tygodni, mimo to czułem, jakbyśmy spędzili ze sobą już długie lata. Parafrazując tytuł jednego z wierszy Frosta: moje uczucie nadrabiało wysokością wzlotu krótkość swego trwania. Byłem w tej dziewczynie zakochany szaleńczo, na zabój i po same czubki uszu. Chciałem, byśmy już na zawsze pozostali razem i nie potrafiłem wyobrazić sobie dalszego Życia bez niej. Gdy spotkasz wreszcie tę jedyną osobę, z którą pragniesz spędzić resztę swoich dni, zacznasz marzyć o tym, by reszta twoich dni rozpoczęła się jak najszybciej. Postanowiłem, że Święto Dziękczynienia będzie najlepszą okazją, by zadać Macy sakramentalne pytanie.

## ***Rozdział 21***

*Dziś Macy stawiała czoło temu, czego bała się najbardziej, a przy okazji także sobie samej. Zwykle, zanim życie wręczy nam swoje najwspanialsze prezenty, owija je starannie w największe przeciwności losu.*

Z dziennika Marka Smarta

W poniedziałek w szkole odwołano lekcje i zarezerwowano całe popołudnie na wywiadówki z rodzicami, dlatego musiałem zjawić się w pracy wcześniej. Skończyłem o trzeciej i wracając do mieszkania, zatrzymałem się obok automatu telefonicznego, żeby zadzwonić do Macy. Chciałem sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku.

-Jadę zobaczyć się z Irenę - rzuciła do słuchawki. Jej głos zabrzmiał stanowczo i zdecydowanie.

- Chcesz, żebym pojechał tam z tobą?

- Muszę to zrobić sama. Przyjedziesz do mnie wieczorem? -Jasne. O której?

- Koło ósmej.

- Przyjadę. Powodzenia.

- Dzięki. Będę go potrzebowała.

Z każdym kilometrem, który przybliżał ją do dzielnicy, w której niegdyś mieszkała, w sercu Macy rosło przerażenie. Dom Hummelów stał zaledwie pięć mil od bliźniaka Joette, ale Macy wydawało się, jakby przemierzyła cały kontynent. Albo nawet układ słoneczny. Zimny pot pokrywał jej dłonie, mimo że co chwila wycierała je o spodnie.

Ulica wydała jej się krótsza i węższa, niż ją zapamiętała. Minęło już prawie siedem lat, odkąd odwiedziła ją po raz ostatni. Czuła się niczym weteran powracający na miejsce wielkiej bitwy, w której niegdyś uczestniczył. Wszystko było tu teraz takie dziwnie ciche i nienaturalnie spokojne. Zaparkowała po przeciwnej stronie ulicy. Dom nie zmienił się wiele, odkąd go opuściła. On także wydał jej się mniejszy niż dawniej. Jeśli cokolwiek zmieniało się w życiu Hummelów, to jedynie w wyniku zaniedbania i ogólnej entropii.

Na podjeździe przed domem stał pomidorowoczerwony dodge pick-up. Z przodu maski miał przytwierdzony żółty pług śnieżny, a na magnetycznej plakietce przyczepionej do drzwi kierowcy napisano: „HUMMEL OCZYSZCZANIE PODWÓRZY I PODJAZDÓW”.

Macy wysiadła z auta, podeszła do frontowych drzwi i zapukała głośno, jakby chciała w ten sposób dodać sobie animuszu. Nie próbowała nawet użyć dzwonka. Przez lata, jakie tu spędziła, nie działał ani razu i nie podejrzewała, by od tamtej pory ktoś go naprawił.

Drzwi otworzył Bart. Macy nie widziała go od dnia, gdy odeszła. Zawsze był od niej wyższy, sporo też urósł od czasu,

gdy byli dziećmi. Przewyższał ją teraz o ponad trzydzieści centymetrów. Mimo że była zima, miał na sobie tylko sportowe szorty i koszulkę. Szczykę pokrywał mu kilkudniowy zarost, a w dłoni trzymał puszkę taniego piwa. Przyglądał się jej przez moment, po czym uśmiechnął się szczerze.

- Cześć, Macy!

- Cześć, Bart.

- Co cię tu sprowadza? Wejź do środka.

Nie takiego powitania się spodziewała. Przystąpiła próg domu. Wnętrze wyglądało niemal dokładnie tak samo, jak je zapamiętała - prawdę mówiąc, nie zmieniło się wiele od chwili, gdy pojawiła się u Hummelów po raz pierwszy. Jediną dostrzegalną różnicą był nowy regał, na którym stał telewizor. Rozglądając się po pokoju, czuła, że ponure wspomnienia zalewają ją niczym woda wdzierająca się do wnętrza kadłuba tonącego okrętu. W domu nadal unosił się okropny psi zapach, od którego robiło jej się niedobrze. Zastanawiała się, w jaki sposób była w stanie znosić ten fetor przez wszystkie lata, gdy tu mieszkała. Niemal spodziewała się, że za chwilę do pokoju wpadnie Buster, warcząc na nią dokładnie w taki sam sposób, jak wtedy, gdy Macy była jeszcze małą dziewczynką. Nie stało się jednak nic podobnego.

- Buster jeszcze tu jest?

- Nie. Zdechła kilka lat temu. - Bart zamknął za nią drzwi. - Napijesz się piwa?

- Nie, dzięki.

- Klapnij sobie. - Wskazał miejsce na sofie.

Macy rozejrzała się uważnie wokół. Nigdzie nie widać było śladu Irene. Przyjrzała się sofie. Tkanina obicia była niemal

całkiem wytarta, a sprężyny głośno skrzypiały przy każdym ruchu.

- Nie sądziłem, że cię tu jeszcze *kiedyś* ujrzymy.

Macy spojrzała na kawałek tosta z masłem leżący na poduszce obok niej, Bóg jeden raczy wiedzieć od jak dawna. Położyła go na skraju oparcia.

- Ja też nie planowałam powrotu.

Bart siadł naprzeciwko, trzymając puszkę z piwem w obu dłoniach, wspierając ręce na szeroko rozstawionych kolanach.

- Wyładniałaś. Wyszłaś za męża? -Nie.

- Co więc cię do nas sprowadza?

- Chciałam zobaczyć się z Irene. Zastałam ją w domu?

- A gdzie indziej miałyby być?

- Nie wychodzi już wcale?

- Z domu? - spytał, jakby podejrzewał, że robi sobie z niego żarty. - Nie, czasem wyjdzie z sypialni, ale nawet to coraz rzadziej. - Podniósł puszkę do ust i opróżnił ją jednym łykiem. - Przez większość czasu leży po prostu w łóżku i najwyżej woła mnie, jeśli jej czegoś potrzeba.

- Czy teraz śpi?

- Albo śpi, albo ogląda telewizję. - Zmiażdżył pustą puszkę w dłoni. - Gdzie teraz mieszkasz? Nadal w Utah?

- Mieszkam w centrum. Skinął głową.

- Ładny masz dom?

- Tak. Mieszkam razem ze współlokatorką. - Macy rzuciła nerwowe spojrzenie w stronę holu, jakby bała się, że za chwilę pojawi się tam Irene.

- O czym chcesz z nią rozmawiać?

- Szukam mojej siostry.

Bart wydawał się zaskoczony tą odpowiedzią.

- Sheryl wyjechała do Kolorado.

- Chodzi o moją prawdziwą siostrę.

W tym momencie rozmowę przerwał okropny wrzask dochodzący od strony korytarza.

- Bart!

Na twarzy mężczyzny pojawił się cierpki uśmiech, jakby mówił: „Sama widzisz, z czym muszę tu sobie radzić”. Nie minęło trzydzieści sekund, gdy chrapliwy krzyk odezwał się ponownie, z tą samą intensywnością:

- Bart!

- Co! - również krzykiem odpowiedział mężczyzna.

- Kto tam z tobą jest?

- Dziś ma naprawdę parszywy dzień. To jedna z jej migren. Jesteś pewna, że chcesz się z nią teraz spotkać?

-Jestem pewna, że nie chcę. Mimo to muszę się z nią zobaczyć.

- OK. - Wstał z miejsca. - Chodź ze mną.

Podeszli do drzwi na końcu ciemnego korytarza. Bart uchylił je nieznacznie i wszedł do pogrążonej w mroku sypialni. Macy wśliznęła się tuż za nim.

- Kto tam jest? - spytała Irene niskim, zdartym głosem. Z początku Macy zobaczyła tylko jakiś leżący na łóżku cień postaci. Fragment mrocznej sylwetki poruszył się w jej kierunku. - Kto tam jest razem z tobą?

- To Macy. -Kto?

- Macy. Twoja córka. Postać zastygła w bezruchu.

- Czego ona chce?

- Może sama ją o to spytasz?

Macy podeszła do łóżka. Jej oczy przywykły do mroku na tyle, by dostrzec nakrytą kocem kobietę. Irenę przybyło co najmniej dwadzieścia kilogramów, Macy zaskoczyło też, jak bardzo kobieta postarzała się w ciągu tych paru lat.

- Przyszłam tu zapytać, czy wiesz, gdzie jest moja siostra Noel - Macy mówiła spokojnym, cichym głosem.

Kobieta sięgnęła po szklankę stojącą na stoliku przy łóżku. Zakrztusiła się płynem. Gdy udało się jej zapanować nad kaszlem, odezwała się:

- A skąd niby miałabym to wiedzieć?

- Ponieważ wiesz, kim są jej adopcyjni rodzice. Irenę pociągnęła nosem.

- Nie wiem, o czym mówisz.

-Ależ wiesz. Muszę dowiedzieć się, jak brzmi ich nazwisko.

Irenę ponownie sięgnęła po szklankę i upiła łyk płynu, po czym wstrząsnął nią kolejny, jeszcze silniejszy ataku kaszlu. Otarła usta rękawem.

- Gdzie się podziewałaś?

- Muszę wiedzieć, jak się nazywają rodzice Noel.

- Nie mogę ci pomóc - warknęła i odwróciła się plecami do Macy.

Macy wypuściła powietrze w bezradnej złości. Bart podszedł do łóżka matki.

- Powiedz jej, mamó.

- Nie powiem - odrzekła ze złośliwą satysfakcją.

- Właśnie że powiesz.

Pani Hummel jednak milczała.



- OK. Dzwonię do nich. - Podeszedł do telefonu i uniósł słuchawkę. - Trzeba to było zrobić kilka miesięcy temu. — Wystukał numer na klawiaturze telefonu.
  - Zaczekaj, nie rób tego — prosiła Irenę. W jej głosie brzmiała autentyczna panika.
  - Więc powiedz jej to, co chce usłyszeć. Przerażenie kobiety dało się wyczuć w powietrzu.
  - Lepiej się pospiesz, czekam na połączenie.
  - Thorup - wyrzuciła z siebie.
  - Thorup? - powtórzył za nią Bart.
  - On jest prawnikiem. Mieszkają w jednej z tych szykownych dzielnic dla bogaczy na zboczu góry. Bart odłożył słuchawkę na widełki.
  - Jesteś tego pewna?
  - Oczywiście, że jestem tego pewna - rzuciła ze złością. - Takiego nazwiska nie da się zapomnieć. Brzmi prawie jak „trup”.
- Macy bez słowa skinęła głową, potem podniosła wzrok na Barta.
- Dziękuję - powiedziała do niego i ruszyła w stronę drzwi.
  - Dokąd idziesz?! - krzyknęła za nią Irenę.
  - Do domu - odpowiedziała Macy.
- Bart odprowadził ją na ganek. Macy przystanąła, by zamienić z nim kilka słów.
- Dzięki za pomoc.
  - Przynajmniej tyle mogłem dla ciebie zrobić. Trzymasz się jakoś?
  - Tak. — Przechyliła nieco głowę. - Do kogo dzwoniłeś?

- W sumie to do nikogo. Ale ona myślała, że dzwonię do domu starców. Działa to na nią jak elektryczny pastuch na byka. Straszę ją, że ją tam oddam. Czasem to jedyny sposób, żeby do czegoś ją zmusić. - Zmarszczył czoło. - Powrót tutaj... to musiało być dla ciebie naprawdę trudne.

- Spodziewałam się, że będzie gorzej. Wiesz, jak to jest, czasem pozwalasz komuś urosnąć we własnej wyobraźni tak bardzo, że w końcu wydaje ci się wszechpotężny i przerażający. Ale gdy stałam tam i patrzyłam na nią, czułam jedynie litość.

- Przepraszam za to, jak cię traktowałam. Za to, jak my wszyscy cię traktowaliśmy.

Macy przyjrzała mu się z uwagą.

- Wydoroślałeś.

Bart uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

- Gdzie są Ronny i Sheryl?

- Ron ożenił się i wstąpił do wojska. Stacjonuje teraz gdzieś w Maryland. Sheryl też wyszła za męża, ale zdążyła się już rozwieść. Razem z synkiem mieszkają w Boulder.

- A ty? Jak tobie się wiedzie?

- Sam sobie jestem szefem. W zimie odśnieżam podjazdy, latem koszę trawę. W międzyczasie opiekuję się mamą.

- Szczęściarz z ciebie.

- Ktoś musi to robić. Poza tym nie jest znowu tak źle. Ona większość czasu spędza u siebie w pokoju. Nie muszę płacić za czynsz, no i jest jeszcze kablówka. - Potarł dłonią czubek nosa. - Chyba nie pożyje już długo. Lekarze mówią, że to przypadek błyskawicznego starzenia. Przez większość czasu nie wie nawet, gdzie się znajduje. Masz szczęście, że przyszedł tu, zanim wszystko zapomniała.

- Pewnie masz rację. - Macy pochyliła się ku niemu i po raz pierwszy w życiu uściśnęła brata. -

Trzymaj się, Bart.

- Ty także.

Dziewczyna zeszła na chodnik.

- Hej! - krzyknął za nią Bart, gdy dotarła do krawężnika. Odwróciła się.

- Wpadnij tu czasem.

Macy zdobyła się na słaby uśmiech.

- Dbaj o siebie.

Gdy szła do samochodu, po raz pierwszy w życiu poczuła, że zostawia dom Hummelów za sobą.

## ***Rozdział 22***

*Tego wieczora Macy zasnęła wtulona w moje ramiona. Poczulem się, jakbym trafił do raju.*

Z dziennika Marka Smarta

Musiałem poczekać chwilę na Macy. Gdy wróciła, usiedliśmy razem na kanapie w pokoju rozświetlonym jedynie tańczącym, niebieskawym blaskiem ekranu telewizora. Żadne z nas nie oglądało emitowanego programu, ponieważ całą uwagę skupialiśmy tylko na sobie. Gdy program dobiegł końca, wyłączyłem telewizor i pokój pogrążył się w całkowitej ciemności i ciszy. Macy wtuliła się we mnie.

- Boję się, Mark - wyszeptała.

- Czego się boisz?

- Boję się tego, że ją odnajdę. - Zamilkła na chwilę. - Wiesz, to tak, jakbym przeszła przez to wszystko i przystanęła tuż przed linią mety, wahając się, czy postawić stopę po drugiej stronie. Naprawdę nie wiem, czy dam radę to zrobić.

W tym momencie babciny zegar w przedpokoju wybił pierwszą, po czym zaczął grać winchesterskie kuranty. Gdy wybrzmiały ostatnie dźwięki, odezwałem się do niej.

- Boisz się, że jej nie będzie *zależać* na odnalezieniu ciebie tak bardzo, jak tobie zależy na odnalezieniu jej?

Wzięła głęboki oddech.

- A jeśli tak właśnie jest?

- Może tak być. - Pogładziłem jej włosy. - Wiesz jednak, co byłoby stokroć od tego gorsze?

-Co?

- Gdyby ona czekała na ciebie przez całe swoje życie, ale ty byś się w nim nigdy nie pojawiła, dlatego że za bardzo bałaś się zaryzykować.

Milczała przez chwilę.

- Czasami bywasz naprawdę mądry.

- Tylko czasami?

- Z rzadka.

Przyciągnąłem ją bliżej do siebie i pogładziłem delikatnie dłonią po plecach. Gdy Joette wróciła do domu, Macy spała przytulona do mojej piersi.

## Rozdział 23

*Nigdy nie czułem się swobodnie w otoczeniu ludzi pięknych i olśniewających. Życie nauczyło mnie, że najuczciwsi i najbardziej godni zaufania są zwykle ci, którzy wydają się nieco pokraczni i sjatygowani. Nie zawsze, ale zazwyczaj.*

Z dziennika Marka Smarta

Macy bez trudu odnalazła adres Panstwa Thorupów. W całej dolinie Salt Lake City mieszkały jedynie dwie rodziny o tym nazwisku, **Z** czego tylko jedna po wschodniej, bogatszej stronie miasta. Mimo to musiały minąć kolejne dwa dni, zanim Macy zebrała odwagę do spotkania z Noel. Nastąpiła wigilia Święta Dziękczynienia.

Thorupowie mieszkali w szykownej dzielnicy dla ludzi z wyższej klasy średniej - codziennością był tu widok mamy podwożącej dzieci na zajęcia sportowe luksusowym samochodem z napędem na cztery koła. Macy nigdy wcześniej nie była w tej części Salt Lake City. Śnieg sypał tu obficie niż w niżej położonych dzielnicach miasta i pługi śnieżne zostawiały po obu stronach drogi zasy do metra wysokości.

Dom Thorupów stał na końcu ślepo zakończonej alejki obsadzonej drzewami, które zwieszały nad jezdnią ogołocone przez zimę gałęzie. Macy sprawdziła ponownie adres i zaparkowała samochód naprzeciwko domu. Wysiadła i przystanęła na chodniku, z podziwem patrząc na wznoszący się przed nią budynek.

Noel mieszkała w dwupiętrowej willi w stylu francuskim, której fasadę zdobił kamień wzbogacony elementami ceramicznej sztukaterii. Obok drzwi frontowych wznosiła się prawie dziesięciometrowa wieża, której pośniedziały miedziany dach zwieńczono ozdobnym kwiatonem. Macy pomyślała, że sam ich garaż jest większy od jej domu, i poczuła się odrobinę szczęśliwsza na myśl, że jej siostra dorastała w takim dostatku.

Podwórko otaczał starannie przycięty żywopłot. Na trawniku ustawiono plastikowe figurki reniferów. Mimo że był środek dnia, nie zgaszono oplatających je choinkowych lampek. Na brukowanym podjeździe stało nowiutkie volvo kombi.

Macy ruszyła wolno wzdłuż wyłożonej cegłą ścieżki w stronę głównego wejścia otoczonego olbrzymim, wspartym o wieżę portykiem. Frontowe drzwi, wykonane z grubych dębowych desek, kończyły się stromym łukiem. Wyrzeźbiono na nich herbowe lilie wielkości dłoni. Pośrodku zawieszono okazały bożonarodzeniowy wieniec, spleciony z gałązek winorośli, eukaliptusa i ostrokrzewu. Związano je czerwoną wstążką i przyozdobiono owocami granatu. Na posadzce przed drzwiami specjalnie z okazji świąt położono czerwono-zieloną wycieraczkę z napisem „WITAJ MIKOŁAJU”. Napis był częściowo skryty pod ulotką ogłaszającą

rozpoczęcie corocznej akcji charytatywnej lokalnego zastępu skautów. Ogarniając to wszystko wzrokiem, Macy poczuła, jakby dzieliło je z Noel więcej niż tylko kilka ulic. Jej siostra żyła w całkiem innym świecie.

Macy stała przed drzwiami i patrzyła, jak mroźne powietrze zmienia jej oddech w obłoki pary. Przez głowę przelatywało jej tysiące myśli, a perspektywa zbliżającego się spotkania napełniała jej serce paniką. Czy rozpozna siostrę, gdy ją w końcu zobaczy? Czy jej siostra rozpozna ją? Co jej powie, kiedy ona spyta, kim Macy jest: cześć, nie znasz mnie, ale jestem twoją siostrą?

Pośrodku wieńca z drzwi wystawała masywna, odlana z brązu kołatka. Macy zastukała nią trzy razy. Mimo że zdawało jej się, że słyszy jakiś ruch w środku, drzwi pozostały zamknięte. Nacisnęła więc dzwonek. Z wnętrza dobiegł radosny dźwięk długiego kuranta, po którym rozbrzmiały ciche, szybkie kroki.

Drzwi otworzyła atrakcyjna kobieta, która sądząc po wyglądzie, mogła dobiegać pięćdziesiątki. Była szczupła, blond włosy nosiła ścięte krótko. Miała na sobie szary wełniany golf, srebrny naszyjnik z trzema perłami i pasujące do niego perłowe kolczyki, do tego szarą wełnianą spódnicę i czarne szpilki. Mimo że uśmiechała się do Macy, za przyjazną fasadą dało się wyczuć nieufność.

- W czym mogę pani pomóc? Macy wbiła dłonie w kieszenie spodni.
- Dzień dobry. Pani Thorup? Szukam Noel. Kobieta spojrzała na nią badawczo.
- Noel?



- Christiny Noel.

Teraz już nic nie kryło napięcia malującego się na twarzy kobiety.

- Nikt od bardzo dawna tak jej nie nazywał. Christy nie ma w domu.

Christy? - rozbrzmiało echem w głowie Macy.

- Czy wróci wkrótce? Mogę na nią poczekać?

- Christy tutaj nie mieszka. Czy wolno mi zapytać, kim pani jest?

W sposobie, w jaki zadała jej to pytanie, było coś, co odebrało Macy resztki pewności siebie. Nagle w oczach kobiety pojawił się błysk zrozumienia.

- Ty jesteś Macy, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Jasne, że tak. Jesteście z Christy takie podobne. - Kobieta cofnęła się do wnętrza domu, robiąc przejście dla Macy. - Właśnie szykowałam się do wyjścia, ale może wejdiesz na chwilę?

Dziewczyna rozejrzała się bezradnie wokół, tracąc nagle ochotę do kontynuowania wizyty,

- Wejdz, proszę, porozmawiajmy.

- Dziękuję - odpowiedziała w końcu i weszła do wyłożonego marmurową posadzką holu. Z odległego sufitu zwisał kryształowy kandelabr Straussa. Przy ścianie wieży wspinały się schody wiodące na drugie piętro budynku.

Pani Thorup zaprowadziła ją do frontowego salonu, który okazał się olbrzymim pokojem z podłogą wyłożoną pięknym dywanem w kolorze bursztynu, drewnianym spadzistym sufitem i kinkietami na ścianach. W jednym z rogów

pomieszczenia, tuż obok kominka, stał fortepian Steinwaya. Pośrodku pokoju górował piękny, sięgający niemal sufitu świerk. W powietrzu unosił się jego aromat. Drzewko było starannie przyozdobione bombkami i wstążkami i podobnie jak reszta domu sprawiało wrażenie pełnego przepychu.

Na ścianach wisiało kilkanaście olejnych pejzaży, ale uwagę Macy przykuł ogromny, oprawiony w złote ramy portret rodzinny. Fotografie musiano zrobić wiele lat wcześniej, ponieważ kobieta patrząca na nią ze zdjęcia, była młodszą wersją tej, która otworzyła jej drzwi. Dwaj nastoletni chłopcy mieli blond czupryny i niebieskie oczy, mała dziewczynka miała włosy rude i w niczym nie przypominała pozostałych członków rodziny. Była za to podobna do Macy.

Pani Thorup usiadła w fotelu i skrzyżowała nogi. Gestem wskazała na stojącą naprzeciwko kanapę.  
- Usiądź, proszę.

Macy odwróciła się od fotografii i zajęła miejsce na aksamitnej sofie. Kobieta złożyła dłonie na kolanach. W tle cicho grały kolędy. Nagle Macy uświadomiła sobie, że kiedyś już ją spotkała - było to dawno, dawno temu, w sądowym holu, tuż przed przesłuchaniem w sprawie adopcji.

- Oboje z mężem spodziewaliśmy się, że wcześniej czy później się tutaj pojawisz. Choć, przyznaję, jestem nieco zaskoczona, iż udało ci się nas odnaleźć.

- Nie było to łatwe - Macy starała się nadać swojemu głosowi lekki ton, w nadziei że wywoła to przyjazną reakcję ze strony kobiety. Jednak twarz tamtej pozostała poważna. Dziewczyna nerwowo przełknęła ślinę. - Powiedziała pani, że Noel już tutaj nie mieszka?

- Moja córka wyjechała na studia.

- Och. W takim razie gdzie się uczy?

Pytanie Macy wprowadziło panią Thorup w wyraźne zakłopotanie. Po chwili milczenia podjęła jednak wątek.

- Rzecz w tym, że Christy nie wie o twoim istnieniu. Prawdę mówiąc, nie wie nawet, że była adoptowana.

Macy posłała jej pełne zdumienia spojrzenie.

- Słucham? Jak to możliwe, że niczego nie wie?

- Miała zaledwie cztery lata... - pani Thorup zawiesiła głos.

- Ale byliśmy ze sobą tak blisko. A później, w sądzie, podczas adopcji... W jaki sposób mogła o tym zapomnieć?

Kobieta skinęła głową.

- Ludzki umysł zdolny jest do rzeczy niezwykłych, jeśli powoduje nim chęć przetrwania.

- I nigdy jej o mnie nie opowiadaliście? - nie ukrywała zaskoczenia Macy.

Pani Thorup wierciła się na swoim fotelu.

- Razem z Chuckiem uznaliśmy, że okoliczności związane z wczesnym dzieciństwem Christy, które sama znasz doskonale, były dla niej nazbyt traumatyczne. Zażądaliśmy zatem, by wszystkie związki łączące ją z jej wcześniejszym życiem zostały przecięte i sędzia nakazał utajnić jej dane. Stało się to konieczne, zwłaszcza po fatalnym w skutkach spotkaniu z twoją rodziną w sądzie. Zatem, twoja wizyta tutaj... - Widać było, ile trudu kosztuje ją to, co zamierzała powiedzieć. - Uznaliśmy, że będzie dla niej najlepiej, jeśli o tobie zapomni.

- A dlaczego miałyby to być dla niej najlepsze?

Pytania Macy zdawały się irytować panią Thorup, która uznała zapewne, że wyjaśniła już wszystko, co domagało się wyjaśnienia.

- A cóż takiego mogłaby uzyskać dzięki wiedzy, że jej biologiczni rodzice ją porzucili?

- Zyskałaby mnie.

- I to miałyby być dla niej dobre?

- Tak. - Macy poczuła, że straciła właśnie resztki sympatii dla tej kobiety.

- Postaraj się zrozumieć. W życiu mojej córki nie ma miejsca dla siostry. Ma za to dwóch braci i nas. Jak myślisz, jak zareaguje, gdy cię tu nagle zobaczy?

Macy zastanawiała się właśnie nad tym samym.

- Tego nie wiem.

- Właśnie, żadne z nas tego nie wie. Myślisz, że przeprowadzanie na niej podobnych eksperymentów *jest fair?*

A czy tu w ogóle coś jest *fair i* - przemknęło Macy przez myśl, ale postanowiła nie mówić tego głośno.

- Czy ona ma się dobrze?

- Wspaniale. Ma umysł ostry jak brzytwa. Wygłaszała mowę na zakończenie szkoły średniej. Zdobyła pełne stypendium do A.S... - przerwała w pół zdania. - Do szkoły. - Wskazała wzrokiem stojący w pokoju fortepian. - Powinnaś kiedyś usłyszeć, jak gra. Zwyciężyła w kilkunastu konkursach.

- Bardzo bym chciała ją kiedyś usłyszeć - odpowiedziała Macy, zdając sobie oczywiście sprawę, że zaproszenie ze strony pani Thorup nie było szczere. Patrzyła teraz kobiecie prosto w oczy. - Nie sądzi pani, że ona chciałaby wiedzieć, że ma siostrę?

Pani Thorup wyprostowała się w fotelu.

- Musisz wziąć pod uwagę realia, w których ona żyje. -Nagle uśmiechnęła się. Macy nie ufała temu uśmiechowi. -Wydajesz się porządną kobietą. Musisz sama odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chodzi tu o nią, czy o ciebie. Z tego co pamiętam ze spotkania z twoją rodziną, jestem pewna, że nie było ci tam łatwo i rozumiem, dlaczego tak bardzo starasz się.. nawiązać ponowny kontakt z siostrą. Jeśli jednak naprawdę zależy ci na dobru Christy, powinnaś zrobić to, co będzie najlepsze dla niej. Ona ma wspaniałe życie i rodzinę, która ją kocha. Jest szczęśliwa. Jeśli wprowadzisz do jej życia coś takiego... cóż, to przecież stworzy pewien problem, prawda?

Macy nie potrafiła uwierzyć, dokąd ostatecznie doprowadziły ją poszukiwania siostry.

- Przykro mi, kochanie. Mnie zależy wyłącznie na dobru mojej córki. Jestem pewna, że jeśli to przemyślisz, ty także zrobisz to, co dla niej najlepsze.

Macy czuła, jak wzbiera w niej gniew, wywołany protekcyjnym tonem kobiety, ale jakaś cząstka w głębi jej duszy podpowiadała, że może ona mieć rację. Znalazły się w wyraźnym impasie i nie było już nic, co Macy mogłaby jeszcze położyć na szali argumentu. Podniosła się z sofy.

- Jest pani z pewnością zajęta. Nie będę zatem dłużej zatrzymywać.

- Tak, jestem umówiona. - Kobieta podniosła się z fotela Z wyraźną ulgą, że spotkanie dobiega już końca. Wtedy wzrok Macy padł na jedną z wiszących na choince bombek. Podeszła do drzewka i przykucnęła, by lepiej się jej przyjrzeć. Była cała czerwona i wypisano na niej złotymi literami: NOEL. Miała przed sobą dokładną kopię bombki, którą dał jej ojciec. Macy wstała z podłogi.

- Ma pani może coś do pisania? Kobieta przyglądała się jej badawczo.

- Zaraz przyniosę.

Wyszła z pokoju i wróciła po chwili, niosąc ze sobą notatnik i plastikowy długopis z adresem firmy prawniczej męża. Podała je Macy.

- Dziękuję. — Macy zapisała swój adres i numer telefonu. -Ma pani teraz adres, pod którym mieszkam. To na wypadek, gdyby zmieniła pani jednak zdanie.

Kobieta wzięła od niej kartkę, a Macy przemknęło przez myśl, że robi to jedynie dla zachowania pozorów.

- Możesz zatrzymać długopis - powiedziała pani Thorup. Odprowadziła Macy do wyjścia i otworzyła przed nią

drzwi. Do holu wdarł się podmuch zimnego wiatru.

- Miło mi było ciebie spotkać - powiedziała kobieta bez przekonania. Potem z większą sympatią dodała: - Powodzenia.

- Dziękuję. — Macy myślała tylko o tym, by odejść stamtąd czym prędzej, ale ku własnemu zaskoczeniu przystanąła, odwróciła się i spojrzała kobiecie prosto w oczy. - Wie pani, może ją pani nazywać Christy albo jakkolwiek jeszcze przyjdzie pani do głowy, ale nie zmieni to ani tego, kim ona jest, ani tego, skąd pochodzi, ani, jak to pani mówi, „jej realiów”. To życie należy do Noel, nie do pani. Każda jego minuta, nieważne, dobra czy zła, należy wyłącznie do niej. Pani jest wielką damą. Ma pani wspaniały dom. Wszystko jest tu piękne i lśni czystością. Pewnie nigdy nie uderzyła pani żadnego ze swoich dzieci. Jestem pewna, że Noel powinna być wdzięczna za

to, że to pani jest jej matką. W niczym nie zmienia to jednak faktu, że to jest jej życie, a nie wasze, i to nie wy powinniście decydować o tym, co ona z nim zrobi.

Kobieta przełknęła ślinę i ścisnęła kartkę z adresem w dłoni.

- Do widzenia - rzuciła Macy, wychodząc na mroźną ulicę.

- Do widzenia - odpowiedziała pani Thorup.

Macy szła do samochodu, a długo powstrzymywane łzy płynęły teraz swobodnie po jej policzkach.

Kobieta zamknęła za nią drzwi. Spojrzała na kartkę papieru, którą nadal trzymała w dłoni, zmięła ją, po czym poszła do kuchni i wyrzuciła do śmieci. Później zadzwoniła do męża, który był w tym czasie w biurze.

- Chuck, nie uwierzysz, kto właśnie przyszedł do naszego domu.

## ***Rozdział 24***

*Ogrom przeżytego dziś wieczorem rozczarowania porównać mogę jedynie z wielkością nadziei, którą niósł mi ranek.*

Z dziennika Marka Smarta

### *Święto Dziękczynienia*

W Alabamie, gdzie dorastałem, Święto Dziękczynienia było czymś o wiele ważniejszym niż tylko pretekst do zjedzenia tradycyjnego posiłku. Dla nas było to prawdziwe wydarzenie towarzyskie. Mama i ciotka Margie rozpoczynały wielkie przygotowania już kilka tygodni wcześniej. Najpierw ustalały menu - nigdy nie potrafiłem pojąć znaczenia tego rytuału, bo zawsze i tak decydowały się przyrządzić te same potrawy. Potem przetrząsały gazety w poszukiwaniu zniżek-i kuponów promocyjnych. Robiły to z zapałem dorównującym temu, z jakim ich przodkowie przeczesywali lasy, polując na indyki i jelenie przeznaczone na wieczorną ucztę. Wreszcie spisywały listy zakupów i wyruszały do sklepów. Z każdej takiej wyprawy wracały obładowane torbami pełnymi produktów spożywczych.



Obiady w dniu Święta Dziękczynienia były zawsze rozkosznie leniwe. Najważniejszy element posiłku, czyli indyk, był dziełem sztuki godnym okładki magazynu dla kobiet. Miał skórę brązową i przejrzystą niczym pergamin, a pod nią kryło się soczyste mięso. Konkurowały z nim flaczki w sosie z pomidorów i ostrej papryki, faszerowane jajka posypane papryką, sos z indyczych podrobów, golonko w kapuście, przyprawione sokiem z kiszonych ogórków, liście rzepy, smażona okra, zapiekanka z kabaczków i chleb z mąki kukurydzianej. Popijaliśmy te specjały dzbanami słodkiej mrożonej herbaty.

Gdy uporaliśmy się z głównym daniem, przychodził czas na najważniejsze desery: ciasto orzechowe i drugie, ze słodkich ziemniaków, a jeśli kobiety podeszły do sprawy wyjątkowo ambitnie, był tam także pudding z ciastem bananowym, obficie skropiony osłodzonym mlekiem kondensowanym. Przed rozpoczęciem wspólnego posiłku Stu dziękował Panu i modlił się za tych, którym poszcęściło się gorzej od nas. W obliczu otaczającego nas kulinarnego przepychu do tej ostatniej kategorii zaliczali się wszyscy, których nie było z nami przy stole.

Do świątecznego obiadu zasiadaliśmy razem z ciocią Margie i moimi czterema kuzynami. Wkładaliśmy nasze najlepsze niedzielne ubrania. Po zakończeniu posiłku służyły nam one jako stroje do gry w piłkę. Mama stawiała na stole porcelanową zastawę, a srebrne sztuce opuszczały na jeden dzień w roku bezpieczny schowek w wyłożonej płótnem szufladzie kredensu. Do nas, dzieci, należało wypolerowanie każdego widelca i każdej łyżki, zanim ułożyliśmy je na białym haftowanym obrusie.

Wspomnienia z poprzednich lat mocno kontrastowały z planami, jakie miałem na tegoroczne Święto Dziękczynienia. Myślałem, że w tym roku będzie mi musiał wystarczyć gotowy do podgrzania obiad z supermarketu, kawałek indyka polany sosem i pieczone jabłko. Dlatego byłem szczerze wdzięczny Macy, gdy zaprosiła mnie, bym dzielił te święta z nią i Joette. Mimo to ogarniała mnie melancholia na wspomnienie poprzednich Świąt Dziękczynienia, które spędziłem w domu z mamą. Tęskniłem za domem, do którego nie mogłem już nigdy powrócić.

Cały ranek spędziłem przed telewizorem, oglądając transmisje meczy futbolu amerykańskiego. Koło południa wziąłem prysznic i włożyłem swoje najlepsze ubranie: białą koszulę, sweter i luźne spodnie. Potem wyruszyłem do Macy.

Poprzedniego dnia rozmawialiśmy bardzo krótko. W kilku słowach, które ze mną zamieniła, Macy wyjawiała zaskakująco mało na temat spotkania z matką Noel. Zrozumiałem właściwie tylko tyle, że z oczywistych powodów czuje się rozczarowana. Nie naciskałem, by powiedziała coś więcej.

Podejrzywałem, że pani Thorup nie była z nią całkowicie szczerą, mówiąc, że Noel już z nimi nie mieszka. Jaki student z zamożnej rodziny nie wraca do domu na Święto Dziękczynienia?

Namawiałem Macy, by raz jeszcze tam pojechała i nie ruszyła się z ich domu, póki nie zobaczy swojej siostry. Chciałem nawet jej tam towarzyszyć. Ona jednak szybko zmieniła temat.

Zaparkowałem przed domem Macy kilka minut przed pierwszą. Na podjeździe nie było jej samochodu, a na ścieżce prowadzącej do drzwi i na ganku leżało dobre kilka

centymetrów śniegu. W miejscu, gdzie Macy zwykle parkowała auto, nie było go ani trochę mniej. Gdziekolwiek pojechała, nie było jej od dłuższego czasu. Zapukałem i drzwi otworzyła mi Joette. Kuchenny fartuch zarzuciła bezpośrednio na koszulkę i dżinsy. Widząc, jak jest ubrana, poczułem się odrobinę głupio w moim odświętnym stroju. Wydawała się szczerze cieszyć na mój widok. Wyglądała także na nieco zmęczoną.

- Czołem, Mark. Szczęśliwego Święta Dziękczynienia. Wejź do środka. - Zabrzmiało to jak powitanie z jakiegoś telewizyjnego teleturnieju.

- Szczęśliwego Święta Dziękczynienia - odpowiedziałem. - Pomyślałem, że oczyszczę wam podjazd ze śniegu. Gdzie macie szufłę?

- Naprawdę nie musisz tego robić.

- Napadało go już całkiem sporo.

- Dziękuję. Nie mam już w sobie tyle energii co dawniej. Szufłę znajdziesz w tamtej szopie. Wejź do domu, gdy skończysz.

Nim udało mi się odgarnąć podjazd i ganek, minęło ponad pół godziny. Miałem nadzieję, że Macy wróci, zanim skończę, nadal jednak jej nie było. Otrząsnąłem śnieg z butów na betonowym stopniu i wszedłem do środka. Joette zostawiła przy drzwiach ścierkę i wytarłem w nią reszkę przylepionego do butów śniegu, zanim w końcu zdecydowałem się wejść do pokoju.

Dom przypuścił zmasowany atak na moje zmysły. Z kuchni płynęły radosne dźwięki świątecznej muzyki, towarzyszył im przyjemny zapach przygotowywanych potraw - pasztecików, słodkich ziemniaków, indyka i kilka innych woni, których źródła nie potrafiłem zidentyfikować, mimo że pachniały wybornie. Rozkoszowałem się nimi wszystkimi. Od dawna nie wahałem niczego równie smakowitego.

Zdjąłem płaszcz i położyłem go na oparciu sofy, potem poszedłem do kuchni. Joette trzymała w ręku mikser i przygotowywała ziemniaczane puree. Podniosła wzrok, słysząc, że wchodzę.

- Dzięki za pomoc.

- Nie ma sprawy. Pięknie tu wszystko pachnie. Jak w domu.

- To miły komplement. Obie z Macy lubimy gotować.

- A gdzie jest Macy? -Jestjeszcze w schronisku.

Powiedziała to w taki sposób, jakbym powinien rozumieć, o czym mówi.

- W schronisku?

- W schronisku dla bezdomnych przy Trzeciej Południowej Alei. Każdego roku pomaga tam podczas Święta Dziękczynienia.

- To naprawdę... szlachetne - wydukałem. Co za głupie słowo, skarciłem się w myślach. Nadal czułem się spięty w towarzystwie Joette.

- Wiesz, jaka jest Macy. Zawsze gotowa biec ratować świat. Ale robi to także ze względu na siebie. Kiedyś ona również jadła świąteczny obiad w schronisku. Myślę, że chodzi tam, by pokazać samej sobie, jak daleko udało jej się zajść od tamtego czasu.

- Większą część zasługi przypisuje tobie. Joette uśmiechnęła się na te słowa.

- Obie pomogłyśmy sobie nawzajem.

Oparłem ręce na kuchennym blacie.

- W czym mogę ci pomóc?
- Dasz radę pokroić indyka?
- Jasne.

Upieczony i nakryty folią aluminiową indyk czekał na półce przy piekarniku. Rozglądałem się w poszukiwaniu noża. Joette wskazała odpowiedni kierunek ruchem głowy.

- Nóż znajdziesz na tamtym stojaku. Mięso rozłóż na półmisku.
- Już się robi.

Joette wróciła do swojego puree. Gdy skończyła, wyjęła końcówki miksera z wnętrza miski, zebrała palcem nieco masy, która pozostała przy wrębie i włożyła palec do ust, zupełnie jakby była to bita śmietana. Odłączyła końcówki od miksera i wrzuciła je do zlewu.

- Wiesz, że w Święto Dziękczynienia wypada nasza rocznica?
- Rocznicą?
- Rocznicą pierwszego dnia, gdy zamieszkałyśmy wspólnie z Macy. Czasem żartujemy nawet, że wpadła wtedy do mnie na świąteczny obiad i już nigdy z niego nie wyszła. - Przetawiała miskę z ziemniakami na inną część blatu. Przyniosła teraz blachę pełną surowych pasztecików i zaczęła smarować je masłem. - Macy z pewnością mówiła ci już o spotkaniu z matką Noel?
- Trochę. Strasznie to przykre. Myślisz, że po tym, co usłyszała, nadal będzie starała się odnaleźć siostrę?
- Myślę, że pewnego dnia tam wróci, ale tylko jeśli będzie pewna, że jest to dobre dla Noel. - Wyjęła z szuflady otwieracz do konserw i otworzyła puszkę sosu żurawinowego. Wylała czerwoną masę do miseczki i wyrzuciła metalową puszkę, ponownie oblizując palce. - Myślę, że teraz ma już dość na głowie w związku z odnalezieniem ojca.

- Chyba masz rację. - Odkroiłem plaster indyka, odsłaniając parujące białe mięso. Przebiłem je widelcem i ułożyłem na metalowym półmisku.
- A jak radzi sobie twój ojciec? Poczuję się nieco zakłopotany jej pytaniem.
- Sam nie wiem - powiedziałem, krojąc kolejny kawałek mięsa. — Nie rozmawiamy ze sobą.
- Macy wspominała, że wasze relacje nie są najlepsze.
- Prawda jest taka, że nie utrzymujemy żadnych relacji.
- Czy mogę zapytać dlaczego?

Nie byłem pewien, czy mam ochotę kontynuować ten wątek.

- Długo by gadać.
- O tym, co zdarzyło się w przeszłości, prawda?

Teraz byłem już pewien, że nie mam ochoty zagłębiać się dalej w ten temat. Joette oparła się o blat i spojrzała na mnie.

- Opowiem ci historię o moim ojcu - zaczęła. - Moja mama umarła, gdy miałam czternaście lat. Ojciec nie ożenił się powtórnie. Był więc dla mnie zarówno tatą, jak i mamą. Jakaś część mnie nigdy nie pogodziła się z jej stratą. Myślę, że w jakiś dziwny, pokręcony sposób winiłam go za jej śmierć - tak jakby mógł zrobić coś, by do niej nie dopuścić. Teraz to brzmi głupio, ale nastolatki już takie są, myślą głównie o sobie. Przynajmniej tak było w moim przypadku. Ale pewnego dnia doznałam olśnienia. Zrozumiałam, że być rodzicem, to jak być Czarnoksiężnikiem z krainy Oz.

Przypomniałem sobie, co Macy powiedziała mi na temat życiowej filozofii Joette. Z pewnym wysiłkiem udało mi się ukryć rozbawienie.

- Możesz to wyjaśnić?

- Pamiętasz ten fragment, w którym Dorotka i jej przyjaciele przychodzą spotkać się z Czarnoksiężnikiem? Wielka, złowroga głowa przemawia do nich i napawa ich przerażeniem. Wtedy piesek...

- Toto - wtrąciłem.

- Tak jest. Toto odciąga kurtynę i ukazuje się skryty za nią mały człowieczek, który pociąga za dźwignie i przełącza tysiące guzików. I właśnie ten mały człowieczek mówi do mikrofonu: „Nie zwracajcie uwagi na mężczyznę skrytego za zasłoną”. Myślę, że bycie rodzicem przypomina trochę chowanie się za taką kotarą. Udajemy, że mamy wszystko pod kontrolą - że jesteśmy wszechmocni i wszechwiedzący niczym wielka głowa Czarnoksiężnika - podczas gdy naprawdę kulimy się za zasłoną, gorączkowo manipulując przy dźwigniach i przełącznikach. Robimy, co w naszej mocy, by nad tym wszystkim choć trochę zapanować.

Zaczynałem dostrzegać sens ukryty w tym porównaniu.

- A co dzieje się, gdy nasze dzieci odkrywają w końcu, że nie jesteśmy wcale tacy wspaniali, jak im się wydawało?

- No właśnie. Wtedy czują się nami zawiedzione i złością się na nas, że nie dorastamy do ich oczekiwań. A prawda jest taka, że ich oczekiwania nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

- Czy twoje relacje z ojcem polepszyły się po tym, jak już to odkryłaś?

Opuściła wzrok.

- Było już wtedy na to zbyt późno. Odszedł jedenaście lat po śmierci mojej matki. Nigdy tak naprawdę nie podziękowałam mu za to, co dla mnie zrobił. - Uśmiechnęła się do wspomnień. - Tak bardzo się starał. Szkoda, że nie widziałeś sukienki, którą dla mnie kupił na bal maturalny. Nie chciał, by chłopcom przyszły do głowy jakieś głupie pomysły, postanowił więc, że sam ją dla mnie wybierze. Miała dekolot, który kończył się na wysokości uszu. Włożyłam ją przed wyjściem z domu, potem mój chłopak przyjechał zawieźć mnie na bal, ale najpierw zatrzymaliśmy się u przyjaciółki i tam przebrałam się w jedną z jej sukienek. O tym, co robiłam, pomyślałam dopiero wtedy, gdy pokazywałam mu zdjęcia z balu. Nigdy się już nie dowiem, czy rzeczywiście nic wtedy nie zauważył, czy też po prostu nie chciał robić mi awantury. On bardzo wiele poświęcił, żeby kupić mi tę sukienkę. Tego, co mu wtedy zrobiłam, żałuję po dziś dzień.

Rozległ się brzęczyk.

- Ciasta! - wykrzyknęła. Wciągnęła na dłonie rękawice kuchenne i wyjęła z piekarnika dwie blachy wypieków: na pierwszej było ciasto z dyni, na drugiej szarlotka posypana kruszonką i cukrem cynamonowym.

- Uwielbiam ciasto - wyznałam.

- To dobrze, bo mamy go tu całkiem sporo - sięgnęła po kolejną blachę, pełną małych kawałeczków kruszonki zapieczonej ze skarmelizowanym cukrem. - To mała przekąska na zaostwienie apetytu - powiedziała, myjąc ręce. - Trochę tu teraz posprzątam. Czuj się jak u siebie w domu. Wiesz, gdzie stoi telewizor.



- Dzięki.

Zabrałem ze sobą do salonu garść kruchych ciasteczek i włączyłem transmisję meczu. Macy wróciła, nim upłynęła kolejna godzina. Podniosłem się, gdy weszła do pokoju i pocałowaliśmy się na powitanie.

- Szczęśliwego Święta Dziękczynienia - powiedziała.

- Teraz jest już bardzo szczęśliwe - odpowiedziałem, pomagając jej zdjąć płaszcz.

- Gdzie jest Jo?

- Poszła się przebrać.

- Już jestem - oznajmiła Joette, wchodząc do pokoju.

- Przepraszam, że wracam tak późno. W tym roku naprawdę brakowało im rąk do pracy. Dopiero co skończyliśmy podawać posiłek.

- Dawaliśmy sobie tu całkiem niezłe radę sami - odparła Joette. - Opowiadaj, jak było.

- Naprawdę dobrze. Jak zwykle - dodała Macy. - Co jeszcze zostało do przygotowania?

- Trzeba już tylko nakryć do stołu.

- Zajmiemy się tym - szybko zaoferowała Macy. - Mark, pomożesz mi.

Niewielki okrągły stół zmienił się po rozłożeniu w nieco większy owal. Nakrycie go zajęło nam dosłownie kilka minut. Przynieśliśmy z kuchni wszystkie dania poza ciastem i zasiedliśmy do posiłku.

- Poprowadzę modlitwę - zaproponowała Joette. Pochyliliśmy głowy. Macy chwyciła dłoń Joette, a drugą

ręką sięgnęła po moją. Joette także podała mi rękę, zamykając w ten sposób krąg.

- Panie Boże. Dziękujemy Ci za wszystkie błogosławieństwa, które na nas zsyłasz. Za nasz dom, za jedzenie i ubranie - przerwała na chwilę, bo jej głos załamał się ze wzruszenia. - Szczególnie zaś za czas, który dane jest nam spędzić razem. Pozwól nam dziękować ci nie tylko dzisiaj, ale także każdego dnia. Amen.

- Amen.

Sięgnąłem po pasztecik.

- Zaczekaj - powstrzymała mnie Macy.

Moja dłoń zawisała kilka centymetrów nad koszykiem. Spojrzałem na nią.

- Zanim zaczniemy jeść, każdy z nas musi powiedzieć, za co jest wdzięczny. Mark, jako że jesteś naszym gościem, zaczynamy od ciebie.

Obie kobiety utkwily we mnie pełne oczekiwania spojrzenia.

- OK - zgodziłem się, cofając rękę. - Na początek wdzięczny jestem za to, że zaprosiłyście mnie dzisiaj do siebie. A także jestem bardzo wdzięczny Macy za to, że zjawiała się w moim życiu w tamtym momencie.

Macy uśmiechnęła się promiennie.

- Dziękuję. I nie ma za co. - Zwróciła się teraz do Joette. - Teraz twoja kolej.

- Jestem wdzięczna za tak wiele rzeczy. Za to, że Mark jest dziś tutaj z nami. Przede wszystkim wdzięczna jestem za tamto Święto Dziękczynienia sprzed pięciu lat, gdy Macy wpadła tu na obiad, by już nigdy nie wyjść. - Mówiąc to, pochylila się ku dziewczynie i mocno uściskała jej dłoń. Macy wyprostowała się na swoim krześle.

- OK. Jestem wdzięczna za to, że oboje pomogliście mi jakoś przetrwać ostatnie trzy tygodnie. To była niezła emocjonalna huśtawka. I mimo że cała historia nie skończyła się w sposób, w jaki miałam nadzieję, że się skończy, to jednak nauczyła mnie czegoś niezwykle ważnego. - Jej głos załamał się, gdy emocje wzięły na moment górę. - Nauczyłam się, że wszystko, czego szukałam, czekało na mnie już w domu. Mam teraz dom dzięki Jo. I mam też nowego przyjaciela. Mam dach nad głową - a to przecież tak wiele. Naprawdę, mam za co dziękować.

- Amen - powiedziała Joette.

- Amen - powtórzyłam.

- Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu pytałaś mnie, co chcę dostać pod choinkę? - Macy zwróciła się do Joette.

Joette skinęła głową.

- Wymyśliłaś już coś?

- W końcu się zdecydowałam.

- To zabrzmiało poważnie. Czy powinnam przynieść notatnik?

Macy zaśmiała się z żartu.

- Nie. Pragnę tylko jednej rzeczy. - Patrzyła jej w oczy, nagle bardzo przejęta. - To głupie, ale boję się teraz o to poprosić.

- Nie przejmuj się tak - próbowała uspokoić ją Joette. - W najgorszym razie powiem „nie”.

- Tego właśnie boję się najbardziej. - Macy wzięła głęboki oddech i wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Chcę, żebyś mnie prawnie adoptowała. Chcę zostać twoją córką.

Joette milczała przez chwilę. Potem z jej oczu popłynęły łzy. Podniosła się z krzesła, Macy zrobiła to samo i obie kobiety

padły sobie w ramiona, obejmując się mocno. Minęło kilka minut, zanim Joette odzyskała panowanie nad głosem.

- Będzie to największy zaszczyt, jaki mnie kiedykolwiek spotkał.

- Dziękuję - odpowiedziała Macy. - Dziękuję ci, dziękuję ci.

Po kilku dalszych minutach, które upłynęły na wspólnym śmiechu i łzach, spytałem:

- Czy możemy już jeść?

Odwróciły się do mnie i jak na komendę wybuchnęły śmiechem.

- Mężczyźni - skomentowała Macy. - Dla nich żołądek zawsze pozostanie ważniejszy od serca.

Posiłek okazał się pod każdym względem równie wspaniały, jak zapowiadały to dochodzące z kuchni wonie. Może nie był to obiad rodem z południa Stanów, ale i tak - jak by powiedzieli to w moich rodzinnych stronach - „był cholernie dobry”. Gdy skończyliśmy jeść deser, Macy przyniosła nam wszystkim kubki pełne parującej gorącej czekolady o smaku trufli i mięty. Joette wstała od stołu pierwsza. Zniosła mały stos brudnych naczyń do zlewu. Słyszając lejącą się wodę, Macy poderwała się z krzesła.

- My pozmywamy naczynia, Jo. Dość już się dzisiaj napracowałaś. Idź odpocząć.

Joette wydawała się wdzięczna za propozycję pomocy.

- Na pewno?

- Na sto procent - wtrąciłem, podnosząc się z miejsca.
- OK - powiedziała Joette, znikając w głębi korytarza.
- Wyglądała na zmęczoną - powiedziałem, gdy zamknęły się drzwi do jej sypialni.
- Też to zauważyłam. Ostatnio nie czuła się najlepiej. Powtarzam jej, że powinna z tym pójść do lekarza, ale ona zawsze odpowiada tylko, że nic jej nie jest.

Pozmywaliśmy z Macy po obiedzie, a potem, za jej radą, włożyliśmy płaszcze i wyszliśmy chwilę pospacerować. Śnieg nie przestawał padać i ulice były białe i ciche. Jest coś magicznie uspokajającego w krajobrazie przykrytym białym puchem. Wziąłem Macy za rękę, a ona mocno odwzajemniła uścisk. Chciałem porozmawiać z nią o nas, o naszej przyszłości, nagle jednak ogarnął mnie dziwny lęk. Zamiast więc powiedzieć to, co czułem naprawdę, wyrzuciłem z siebie:

- Tak się napchałem, że ledwo mogę chodzić. Wszystko było pyszne.
- Faktycznie, obiad się udał. To był dobry dzień, nie sądzisz?
- W każdej minucie. Szczególnie w tej, gdy poprosiłaś Joette, by cię adoptowała. Naprawdę ją w ten sposób uszczęśliwiłaś.
- Bardzo bałam się ją o to spytać. Nie wiedziałam, co odpowie.

Doskonale rozumiałem, o czym mówi, bo w tej chwili sam bałem się, jaką usłyszę odpowiedź.

- Wyszło wspaniale - zapewniałem ją.
- Prawda? - Westchnęła, nie kryjąc radości. - Od dawna to planowałam. Ostatecznie do działania przekonała mnie historia, którą usłyszałam od jednego z kolegów w pracy. Opowiedział mi, że po tym, jak stracił oboje rodziców w katastrofie lotniczej, jego prawnymi opiekunami zostali dziadkowie. Wtedy zdałam sobie sprawę, że jeśli kiedyś sama będę mieć dzieci i coś mi się stanie, to opiekę nad nimi sąd powierzy pewnie Irene Hummel. Do tego zaś nie dopuszczę za żadne skarby świata. –

Odwróciła się i spojrzała na mnie. - Wiesz, że teraz będę miała już trzy różne nazwiska? —  
Przewróciła oczami. - Mam dopiero dwadzieścia jeden lat, a dorobiłam się już trzech nazwisk.

- Wiesz, myślałem dokładnie o tym samym.

- Naprawdę?

- Cóż, właściwie to zastanawiałem się, czy miałabyś coś przeciwko dołączeniu czwartego?

Spojrzała na mnie pytająco.

- Czy miałabym coś przeciwko czwartemu?

- Czwartemu nazwisku.

Nadal patrzyła na mnie, jakbym mówił do niej po chińsku.

- Co właściwie masz na myśli?

- No cóż... chodziło mi o zamążpójście. Zaśmiała się nerwowo.

- Jestem pewna, że gdy nadejdzie ten dzień, dam sobie radę i z czwartym.

- Ten dzień mógłby nadejść już teraz.

Zatrzymała się w pół kroku i obrzuciła mnie spojrzeniem, którego znaczenia nie byłem w stanie odczytać.

- Powiedziałeś to poważnie?

-Tak.

- Prosisz mnie o rękę? -Tak.

Przez chwilę stała, patrząc na mnie, po czym odwróciła się na pięcie i odeszła szybkim krokiem w stronę domu.

- Macy.

Przyspieszyła kroku. Dogoniłem ją i ujrzałem, że płacze. Stałem przed nią, zagradzając przejście. Zasłoniła ręką oczy, jakby nie chciała mnie widzieć. Jej dłoń drżała.

- Właśnie poprosiłem cię o rękę.

- Wiem.

Chwyliłem jej dłoń i delikatnie odciągnąłem na bok. Patrzyła teraz na mnie oczyma mokrymi od łez.

- Dlaczego mi to robisz?

Jej pytanie wprowadziło mnie w jeszcze większe zdumienie.

- Dlatego, że cię kocham.

- Skąd to możesz wiedzieć? Przecież ledwie mnie znasz.

- Oczywiście, że cię znam. Tyle już razem przeszliśmy. Potrząsnęła tylko głową.

- Zdaję sobie sprawę, że minęły dopiero trzy tygodnie od naszego pierwszego spotkania, ale jestem absolutnie pewny, że resztę życia chcę spędzić tylko z tobą. Czasem takie rzeczy po prostu się wie.

- W mojej przeszłości jest wiele ciemnych spraw. Strasznych rzeczy, o których nic nie wiesz.

- Nie dbam o twoją przeszłość. Interesuje mnie twoja przyszłość, nasza przyszłość.

- Niczego nie rozumiesz. Przeszłość decyduje o naszej przyszłości.

- To nieprawda. Możemy wykroczyć poza własną przeszłość.

- A czy tobie się to udało?

Jej pytanie uderzyło we mnie z siłą młota.

- Mark, a jeśli próbujesz tylko znaleźć sposób, by zapełnić pustkę, która powstała w twoim sercu po śmierci matki?

- Tak nie jest.

- Naprawdę? Nigdy nie rozmawiasz ze mną ani o niej, ani o nikim innym z rodziny. Nie chcesz wrócić do domu. I nosisz w sobie ten gniew skierowany przeciw ojcu... — Otarła oczy z łez. - Ja nie uciekam przed tym, co było, Mark, i nie mogę dzielić przyszłości z kimś, kto nie potrafi stawić czoła własnej przeszłości. - Opuściła wzrok i odwróciła się ode mnie. - Muszę już iść.

Pobiegła w stronę domu. Stałem na chodniku całkiem oniemiały i w osłupieniu patrzyłem, jak dziewczyna, która skradła moje serce, ode mnie odchodzi.



## ***Rozdział 25***

*Już pora stawić czoło prawdzie. Czas zacząć palić za sobą mosty.*

Z dziennika Marka Smarta

Czułem się, jakby po moim sercu przejechała osiemnastokołowa ciężarówka. Wróciłem do domu i przez chwilę próbowałem grać na gitarze, ale nawet to nie przynosiło mi ulgi. Dzwoniłem do Macy cztery razy w ciągu tego wieczora. Pierwsze trzy próby pozostały bez odpowiedzi. Przy czwartej odebrała Joette.

- Cześć, Mark, tu Jo - jej głos brzmiał bardzo poważnie.

- Czy mogę rozmawiać z Macy?

- Ona już leży w łóżku. - Śpi?

Zawahała się przez moment.

- Obawiam się, że ona nie chce z tobą rozmawiać. Wziąłem głęboki oddech.

- Mam rozumieć, że nie chce ze mną mówić teraz, czy raczej przez resztę swojego życia?

- Przykro mi, Mark. Powinieneś dać jej dzień lub dwa na przemyślenie spraw. W tej chwili jest bardzo zdenerwowana.

Wypuściłem powietrze.

- Jak mogłem być na tyle głupi, by myśleć, że ona w ogóle może chcieć za mnie wyjść.
- Wcale nie sędzę, że jesteś głupcem - powiedziała to duzo łagodniejszym tonem. - Nie uważam też, że ona tak o tobie myśli.
- Może chcesz się założyć - zaproponowałem z goryczą. Westchnąłem raz jeszcze. - Zatem dwa dni.
- Dwa dni. Do tego czasu powinna już być w stanie z tobą rozmawiać.

Mimo że nie było to dla mnie łatwe, przez kolejne dwa dni nie dzwoniłem do Macy. Za to w niedzielę próbowałem połączyć się z nią trzykrotnie i za każdym razem bez rezultatu. Próbowałem raz jeszcze w poniedziałek rano, ale nadal nikt nie odbierał telefonu. Z każdą kolejną próbą wpadałem w coraz większą irytację, a w moim złamanym sercu zaczął narastać gniew. Potem gniew zastąpiło zwątpienie. Jak ona mogła tak po prostu się mnie pozbyć? Może jednak miała rację i nie znałem jej wcale tak dobrze, jak sądziłem.

Przez tydzień dzwoniłem do niej każdego dnia, ale ona nie odbierała. Przestałem więc dzwonić, w nadziei że to Macy zadzwoni do mnie. Chyba podobnie jak każdy człowiek, któremu brakuje wiary, oczekiwałem, że otrzymam jakiś znak. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Dziewięć dni po Świącie Dziękczynienia pogodziłem się z myślą, że z przyczyn, których nie rozumiałem, Macy dała sobie ze mną spokój. Doszedłem

także do wniosku, że nie ma już żadnego powodu, bym dłużej pozostawał w Salt Lake City. Biorąc pod uwagę, ile pieniędzy udało mi się odłożyć do tej pory, musiałyby minąć lata, zanim starczyłoby ich na powrót do szkoły. Nadszedł czas, by spojrzeć w twarz rzeczywistości. Przyjazd do Utah okazał się porażką. Była już najwyższa pora, by wracać do domu.

Zacząłem od rzucenia pracy. Nie okazało się to trudne. Myślę, że moi koledzy z ekipy woźnych trochę mi nawet zazdrościli decyzji. Victor zapytał, czy odsprzedam mu starego chevroleta malibu.

Uzgodniliśmy cenę i ustaliliśmy, że pozwoli mi z niego korzystać aż do dnia wyjazdu. W następnej kolejności zrezygnowałem z mieszkania. Mogę się założyć, że mój gospodarz ucieszył się na wieść, że wyjeżdżam. W sumie to nie zdziwiłbym się, gdyby otworzył z tej okazji butelkę szampana. Nie upłynęła godzina od naszej rozmowy, a przed domem wisiała już tabliczka z informacją o mieszkaniu do wynajęcia. Za marną sumę, którą udało mi się dotąd zaoszczędzić, kupiłem bilet lotniczy w jedną stronę do Hunts ville.

W środę poszedłem do pracy po raz ostatni. Około jedenastej pożegnałem się z kolegami i mimo że obiecałem sobie nie szukać już Macy, pojechałem w stronę Chaty. Macy stała za barem i podniosła wzrok dokładnie w momencie, gdy wchodziłem do kawiarni. Wystarczyło jedno spojrzenie na nią, by wróciły wszystkie tłumione przez ostatnie kilka dni emocje: ulga, gniew, smutek i strach. Z wyrazu jej twarzy wyczytałem, że ona czuła się teraz podobnie.

- Cześć — powiedziałem.

- Cześć.

- Jak leci?

Przechyliła nieco głowę.

- Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

- Przykro mi.

Posłałem jej badawcze spojrzenie.

- To wszystko? Skinęła głowa.

Moje serce pękło ponownie. Wziąłem głęboki oddech.

- Przyszedłem podziękować ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Jestem twoim dłużnikiem.

- Nic mi nie jesteś dłużny.

- Mary, masz telefon - przerwała nam jedna z dziewczyn pracujących w Chacie.

- Poproś, niech zostawi wiadomość. -Tojeff.

- Powiedz mu, że za chwilę oddzwonię. Macy odwróciła się z powrotem w moją stronę.

- Pomimo tego, jak się między nami skończyło - mówiłem dalej - bardzo się cieszę, że dane mi było ciebie poznać. Przykro mi, że wszystko popsulem. - Wziąłem kolejny głęboki oddech. - Przyszedłem, żeby pożegnać się z tobą, zanim wyjadę.

Przez jej twarz przebiegł gwałtowny skurcz.

- Dokąd jedziesz?

- Do domu.

- Na jak długo? Wzruszyłem ramionami.

- Kupiłem bilet w jedną stronę. Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- W sobotę. W najbliższą sobotę.

Zaniemówiła. Wyglądała jak komputer, któremu ktoś odciął zasilanie, i musiał minąć moment, zanim system wystartuje ponownie.

— Nie powinienem już dłużej cię zatrzymywać. Przekaż pozdrowienia Jo - powiedziałem.

- Zrobię to.

Poczułem, jakby w gardle wyrosła mi nagle jakaś gula.

— Cóż, dbaj o siebie.

- Ty też.

Wyszedłem z kawiarni. Idąc w kierunku samochodu, czułem, jak wilgotnieją mi oczy. Nie mogłem uwierzyć, że po tym, przez co razem przeszliśmy, wszystko skończyło się w taki właśnie sposób.

## **Rozdział 26**

*Dziś rano zadzwoniła do mnie Joette. Nalegała na spotkanie, powiedziała, że chce porozmawiać ze mną o Macy. W jej głosie usłyszałem jednak coś, co każe mi zastanawiać się, czy w krainie Oz wszystko idzie dobrze.*

Z dziennika Marka Smarta

Gdy rankiem do moich drzwi zapukał właściciel domu, prowadziłem właśnie moją ostatnią w Utah lekcję gry na gitarze.

- Telefon do ciebie — powiedział. Sprawiał wrażenie mniej zniecierpliwionego niż zwykle. Być może świadomość mojego rychłego wyjazdu podziałała kojąco na jego nerwy.

- Kto dzwoni?

- Jakaś kobieta. Twierdzi, że to ważne.

- Dzięki.

Kazałem uczniowi ćwiczyć akordy i poszedłem na górę do jego mieszkania. Podniosłem słuchawkę telefonu.

- Halo?

- Mark, tu Joette.

- Cześć, o co chodzi?

- Pomyślałam, że moglibyśmy się spotkać i chwilę porozmawiać.
- Jasne, ale musimy to zrobić szybko. W sobotę wyjeżdżam.
- Wiem, Macy mi powiedziała. Może spotkamy się jutro, w czasie mojej przerwy obiadowej?  
Postawię ci lunch.
- W restauracji Denny's, prawda?
- Na skrzyżowaniu drogi stanowej i Dwudziestej Pierwszej Alei.
- O której?
- Przerwę zaczynam dopiero o drugiej.
- Przyjdę. U Macy wszystko w porządku? Przez chwilę milczała.
- Pogadamy o tym, kiedy się spotkamy.

## ***Rozdział 27***

*Głupotą jest zarówno wierzyć, że wiemy, co naprawdę dzieje się wokół nas, jak i ufać, że cokolwiek na tym świecie dane jest raz na zawsze.*

Z dziennika Marka Smarta

Joette siedziała przy stoliku w rogu restauracyjnej sali. Miała na sobie strój kelnerki i sączyła colę przez słomkę. Gestem dłoni przywołała mnie do siebie i wskazała miejsce po drugiej stronie stołu.

- Dzięki, że zdecydowałeś się przyjść. Dobrze cię widzieć.
- Ciebie też.
- U ciebie wszystko w porządku?
- Bywało lepiej.
- Wierzę. - Podała mi menu. - Jesteś głodny?
- Nieprzerwanie i od urodzenia. Obdarzyła mnie szerokim uśmiechem.
- W takim razie zamówmy coś czym prędzej. Otworzyłem kartę i przyjrzałem się nazwom dań.
- Gotowy? - spytała, gdy odłożyłem ją na blat.
- Dla mnie kanapka reuben.



- Słuszny wybór - pochwaliła z wprawą wyrobioną przez wiele lat pracy kelnerki. - Do tego frytki czy sałatka?

- Frytki.

- A do picia?

- Cola.

- OK. - Wstała od stołu i udała się do kuchni. Czekać, aż wróci, rozglądałem się po restauracji. A więc to tak wyglądało królestwo Joette. Wróciła po kilku minutach, niosąc moją colę. Postawiła szklanek przede mną i wsunęła się z powrotem na swoje miejsce. Miała teraz bardzo poważną minę.

- Muszę zapytać cię o coś bardzo ważnego. -OK.

- Co czujesz do Macy?

Biorąc pod uwagę okoliczności, jej pytanie wydało mi się dziwne.

- Wiesz przecież, że prosiłem ją o rękę.

- Wiem - przyznała. - Ale co czujesz do niej teraz?

- Czuję się skrzywdzony i jestem na nią zły. - Odetchnąłem głęboko. - I każdego ranka budzi mnie ból złamanego serca. Nie potrafię skupić myśli na niczym innym poza nią.

- Gdyby była nadzieja, że ją odzyskasz, czy zdobyłbyś się na to, żeby spróbować?

- Oczywiście, ale to nie zależy już ode mnie.

- Macy również cierpi. Tęskni za tobą. Może nawet bardziej, niż sama zdaje sobie z tego sprawę. Ale także bardzo boi się i ma do tego wszelkie prawo. Gdybyś przeszedł przez to co ona, też byś się bał.

Wolno obracałem w dłoniach szklanek.

- I co ja mam teraz zrobić?

- Proszę, nie poddawaj się. Będiesz jej niedługo bardzo potrzebny.

W głosie Joette było coś, co sprawiło, że poczułem niepokój.

- Co właściwie chcesz przez to powiedzieć... Wyjęła chusteczkę i przyłożyła ją do oczu.

- Przepraszam. - Głośno wypuściła powietrze. - Czy wierzysz, że ludzie pojawiają się w naszym życiu w jakimś celu?

- Sam nie wiem. Moja matka często tak mówiła. Może miała rację. Spójrz tylko na moje spotkanie z Macy. Uratowała mi wtedy życie.

- Wiem dokładnie, co masz na myśli. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Macy, pomyślałam, że to ja będę ratować ją. Pięć lat później zrozumiałam wreszcie, że to ona miała uratować mnie.

-Jak to?

Patrzyła na mnie w zamyśleniu.

- Macy pojawiła się w moim życiu jakieś trzy miesiące po tym, jak straciłam córeczkę. Angela miała zaledwie cztery latka. Mojego męża nie było wtedy w mieście, w sumie to rzadko w nim bywał. Pracował jako przedstawiciel handlowy w firmie sprzedającej medyczną aparaturę tlenową i całe życie upływało mu w drodze. Przywykłam sama zajmować się Angelą. Obejrzała kiedyś w telewizji, jak ktoś piecze hot dogi na ognisku i sama też chciała tego spróbować. Wybrałyśmy się więc na pieczenie kiełbasek do kanionów. Próbowałam rozpaścić ognisko, a Angela siedziała na kocyku ze trzy metry dalej. Żaden ze mnie traper i rozniecenie ognia zajęło mi dobrą chwilę, w końcu jednak się udało. Gdy się odwróciłam, Angeli już tam nie było. Biegałam po okolicy, wołałam ją, ale nigdzie

nie mogłam jej *znaleźć*. Była wiosna, strumień wezbrał i niemal wystąpił z brzegów. Przeraziłam się, że podeszła zbyt blisko wody i wpadła do rzeki. - Joette ponownie podniosła chusteczkę do oczu. - Następnego ranka ratownicy odnaleźli jej ciało półtora kilometra dalej w dole strumienia.

- Tak mi przykro. Zaczepnęła powietrza.

- Słowa nie są w stanie wyrazić koszmaru, przez jaki przeszłam w ciągu następnych kilku tygodni. Wieczorem zadzwoniłam do męża, by powiedzieć mu, że nasza córka zaginęła, a następnego ranka musiałam poinformować go o jej śmierci. Całą winę zrzucił na mnie. Osoba, której wsparcia potrzebowałam wtedy najbardziej, zwróciła się przeciwko mnie. Nerwy odmówiły mi posłuszeństwa i kolejne pięć tygodni spędziłam na uniwersyteckim oddziale psychiatrycznym. Gdy mnie stamtąd wypisali, psycholog kazał mi wrócić do pracy i zacząć żyć na nowo. Tak też zrobiłam. Byłam na ciężkich lekach. Czułam się jak Drwal z krainy Oz: pozbawiona serca i pusta, automatycznie wykonywałam pracę, nie myśląc nawet o tym, co robię. Pracowałam po dwanaście godzin dziennie, później wracałam do domu i płakałam tak długo, aż zmorzył mnie sen. Rano wstawałam z łóżka i ruszałam z powrotem do pracy.

Raz w tygodniu chodziłam na spotkanie z terapeutą, ale w głębi duszy wiedziałam, że nie uda mi się z tego wyjść. Już niemal słyszałam stukot kół pociągu, który nadjeżdżał, by mnie stąd zabrać. Z każdym dniem był coraz bliżej. Prawie wjeżdżał na peron, gdy pewnego dnia w restauracji pojawiła się ta słodka dziewczyna. Pomagała przy sprzątaniu stołów. Była bardzo młoda; z początku pomyślałam, że to jeszcze dziecko, jednak zachowywała się, jakby miała znacznie więcej lat, niż na to wyglądała. Pracowała ciężko i sumiennie. Z początku nic o niej nie wiedziałam, ale inne kelnerki sporo plotkowały. Szybko zauważyłam, że przez cały czas chodzi w tych samych ubraniach. Jestem pewna, że ona też

wyczuła, że coś jest ze mną nie tak. Nic jednak nie dała po sobie poznać. Uśmiechała się i zawsze miała dla mnie jakieś dobre słowo. Dbała, by gościom przy moich stolikach nigdy nie brakowało wody i sprzątała je w pierwszej kolejności. Była wymarzoną pomocnicą kelnerki.

Któregoś wieczoru, a było to w wigilię Święta Dziękczynienia, do restauracji przyszedł jakiś mężczyzna z małą dziewczynką. Była bardzo podobna do mojej małej córeczki. Staralam się na nią nie patrzeć. Gdy zamawiali, usłyszałam, że ma na imię Angela. Przyjęłam zamówienie, poszłam do kuchni i gdy tylko zamknęły się za mną drzwi, upadłam na podłogę. Siedziałam tam i płakałam. Nikt poza Macy nie wiedział, jak mi pomóc. Usiadła obok, otoczyła mnie ramieniem i mimo że nie miała pojęcia, co się stało, przytuliła mocno do siebie. Zaniósła zamówienie do stolika tamtych dwojga i zastąpiła mnie na sali, dopóki nie wzięłam się jakoś w garść.

Gdy moja zmiana dobiegła końca, poszliśmy do samochodu, żeby porozmawiać. Byłam zaskoczona przenikliwością tej młodej kobiety. A może po prostu spotkałam wreszcie kogoś, kto chciał mnie wysłuchać. Gdy skończyłyśmy rozmowę, była już chyba trzecia nad ranem. Pamiętałam, że zwykle wracała po pracy na piechotę, zapytałam więc, czy mogę ją gdzieś podwieźć. Odmówiła, mimo że cały czas siedziałyśmy

*przecież* w moim aucie. Z początku nie chciała nawet powiedzieć mi, gdzie mieszka. W końcu udało mi się wydusić z niej, że sypia w schronisku dla bezdomnych. Zaprosiłam ją do siebie.

W oczach Joette widać było miłość, którą darzyła Macy.

- To było pięć lat temu. Chyba obie byłyśmy zbyt zajęte urządzeniem sobie życia razem, by dostrzec, kiedy mój pociąg minął stację, na której miałam do niego wsiąść. - Uśmiechnęła się do mnie. - Mamy więc coś, co nas łączy. Ja myślałam, że ratuję Macy, a to ona uratowała mnie. Ty myślałeś, że ktoś zesłał ci Macy, by cię uratowała. Myślę jednak, że było całkiem na odwrót.

- Chyba nie do końca rozumiem.

- Myślę, że nie było przypadkiem, że pojawiłeś się w jej życiu w tym dokładnie momencie. - Spojrzała mi głęboko w oczy. - Ja umieram, Mark.

- Co takiego?

- Macy mówiła ci, że miałam raka. Skinąłem głową.

- Mówiła, że miałaś nowotwór na oku.

- To był czerniak oka. Mówiła ci także, że nowotwór jest w fazie remisji.

-Tak.

- Był. Ale teraz powrócił. To czwarta faza.

- Co to znaczy?

- W moim przypadku oznacza to, że pojawiły się przerzuty na wątrobę.

Patrzyłem na nią w osłupieniu.

- To niedobrze, prawda?

- Gorzej już raczej nie będzie. Nie pozostało mi wiele możliwości: ani operacja, ani chemioterapia nie wchodzi już w grę. Odesłali mnie do domu, mówiąc, że powinnam uporządkować swoje sprawy.

To, co usłyszałem, całkiem mnie poraziło.

- Ile czasu ci zostało?

- Kilka miesięcy. Może mniej.

Przez chwilę nie potrafiłem wykrztusić z siebie słowa. Zaszło mi w ustach.

- Macy myśli, że wszystko z tobą w porządku.

- Macy myśli, że złapałam jakąś infekcję i powinnam iść z tym do lekarza. Nie wie, że widuję ich aż nadto często.

- Czemu nie powiedziałaś jej dotąd prawdy?

- Postanowiłam poczekać. -Na co?

- Na ciebie.

Posłałem jej spojrzenie pełne niedowierzania.

- Na mnie?

- Modliłam się do Boga, żeby zesłał kogoś, kto zajmie moje miejsce. Myślę, że zesłał właśnie ciebie.

Milczałem przez chwilę. Do stolika podeszła inna kelnerka, przynosząc nasze zamówienie.

- Sałatka cobb dla ciebie, Jo. A dla twojego przystojnego towarzysza kanapka reuben. Podać wam coś jeszcze?

- Nie. Dziękujemy, Emily.

- Smacznego.

Joette odwróciła się z powrotem do mnie. Nawet nie spojrzałem najedzenie.

- Zakładam, że tutaj też o niczym nie wiedzą?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- *jeszcze* nie. - Odchyliła się do tyłu. - Wiesz, Mark, im dłużej żyję, tym wyraźniej dostrzegam wzór, według którego toczą się ludzkie losy. Wszechświat to trylion trylionów pojedynczych nici, które poruszają się na pozór w zupełnie przypadkowych konfiguracjach. Jednak, jeśli spojrzysz na nie wszystkie jak na wielką całość, to dostrzeżesz, jak wspinała tkaninę razem tworzą. Myślisz, że to ona cię uratowała. I tak było. Ale uratowała cię właśnie po to, żebyś ty mógł teraz uratować ją.

Wbiłem wzrok we wnętrze szklanki, niepewny, co powinienem zrobić. W końcu zdobyłem się na pytanie:

- Kiedy zamierzasz jej o tym powiedzieć?

- Nie wiem jeszcze. Ale nie mogę długo z tym zwlekać. Widać już po mnie, że nie czuję się dobrze. Za jakiś tydzień albo dwa nie będę mogła pracować. Właśnie dlatego zależy mi, żebyś był wtedy w pobliżu.

- Ona nie odbiera telefonów ode mnie...

- Ona cię kocha, Mark. Walczy z tym, ale tak jest. By do niej dotrzeć, będziesz potrzebował mnóstwa wiary - będzie jej musiało starczyć dla was dwojga. Największe krzywdy spotykały Macy ze strony tych, którzy byli jej najbliżsi. Ona bardzo chce się do ciebie zbliżyć. Ale nie może zapomnieć też o zagrożeniach, jakie to ze sobą niesie. Wszystko wewnątrz niej krzyczy, że powinna od ciebie uciec. To odruch samozachowawczy. Dyktowany najsilniejszym z instynktów.

- Jak można się przez coś takiego przebić? Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w moje oczy i w końcu dostrzegłem ukrytą w nich odpowiedź.

- Dzięki miłości. Bezwarunkowej, niezachwianej miłości. Odetchnąłem głęboko. Upłynęły długie sekundy, nim odezwałem się ponownie.

- W tę sobotę lecę z powrotem do Alabamy.

- Planujesz stamtąd wrócić? Wykonałem przeczący gest głową.

- Nie zamierzałem tu wracać. Moje życie w Utah dobiegło końca.

Na jej twarzy odbiło się ogromne rozczarowanie.

- Mam nadzieję, że to jeszcze przemyślisz. Macy jest tego warta.

- Pomyślę o tym. Obiecuję.

- Brzmi *fair* - zgodziła się. - W piątek odbędzie się oficjalna adopcja Macy. Obu nam zależałoby, żebyś tam był.

- Przyjdę.

- Dziękuję. A teraz jedz, zanim kanapka całkiem ci wystygnie.

Nie rozmawialiśmy wiele podczas posiłku. Straciłem apetyt i jadłem bardziej przez grzeczność niż z głodu. Zapisała czas i miejsce, w którym miała się odbyć adopcja, na papierowej serwetce.

Skończyliśmy lunch i wyszliśmy na parking przed budynkiem. Joette odprowadziła mnie do samochodu.

- Dziękuję, że przyszedłeś ze mną porozmawiać. Jakakolwiek będzie twoja ostateczna decyzja, doceniam wszystko, co do tej pory dla nas zrobiłeś.

Otworzyłem drzwi auta.

-Ja ją naprawdę kocham, Joette.

- Wiem o tym. I kocham cię za to. Uściskaliśmy się na pożegnanie.



— Przykro mi z powodu twojej choroby - powiedziałem, gdy wypuściła mnie z objęć.

Jej oczy zaszyły łzami.

- I mnie także.

Jadąc do mieszkania, nastawiłem radio na stację nadającą bożonarodzeniową muzykę. Z głośników popłynęły dźwięki saksofonu grającego *Cichą noc*. Słuchałem ich i płakałem Z powodu dobrej kobiety, którą dopiero co poznałem, i którą za chwilę miałem stracić.

## **Rozdział 28**

*Prawnik, który prowadził procedurę adopcyjną Macy, zapytał ją, czy chce wysłać kopię wyroku do Irene Hummel. Macy jednak nie widziała takiej potrzeby. Zemsta smakuje jedynie tym, którzy nadal dźwigają kajdany.*

Z dziennika Marka Smarta

W piątek rano obudziłem się z bólem głowy. Myślę, że moje ciało odreagowywało w ten sposób stres spowodowany spotkaniem z Macy i prawdę mówiąc, nie miałem wcale ochoty ponownie przez to przechodzić. Nie miało to jednak znaczenia. Złożyłem przyrzeczenie Joette i nic, poza gromem z jasnego nieba, nie powstrzymałoby mnie przed stawieniem się tego dnia w sądzie.

Mimo że Macy była już osobą dorosłą, obie kobiety musiały wynająć adwokata, by je reprezentował. Nie wymagano za to oficjalnej zgody Hummelów. Niepotrzebny był też wywiad środowiskowy, do którego wyników nauczona doświadczeniem Macy miała niewielkie zaufanie. Pośród stałych bywalców restauracji Dannys zdarzali się również prawnicy i kilku

spośród nich Joette znała dobrze. Jeden zaofiarował się reprezentować je w sądzie *pro bono*. Rozprawa adopcyjna miała miejsce w budynku sądu hrabstwa Salt Lake City - tym samym, w którym trzynaście lat wcześniej Hummelowie adoptowali Macy. Gdy przybyłem do sądu, Joette, Macy i ich prawnik byli już na miejscu i przeglądali dokumenty.

Przy ławie sędziowskiej stał policjant, a na miejscach dla publiczności siedziało kilkanaście osób. Musieli to być przyjaciele Macy i Joette. Wszedłem do środka i zająłem jedno z miejsc w ostatnim rzędzie. Joette dostrzegła mnie tam i pomachała do mnie. Macy obróciła się, spojrzała w moją stronę i także mi pomachała, choć w jej oczach zamigotał jednocześnie błysk smutku.

- Powodzenia - powiedziałem, bezgłośnie poruszając wargami.

- Dziękuję - odpowiedziała mi w taki sam sposób.

Kilka minut później do sali wszedł sędzia i wszyscy zgromadzeni powstali na jego widok. Macy i Joette poproszono, by zajęły miejsca, które zwykle przysługują obronie. Wtedy sędzia przywołał je do siebie i poprosił, by usiadły przy stole naprzeciw niego. Był starszym mężczyzną, całkiem już łysym i miał na twarzy imponujących rozmiarów uśmiech.

- Cóż, moje panny, myślałem, że nic na tej sali nie będzie mnie już w stanie zaskoczyć. Nigdy dotąd nie miałem jednak przyjemności przewodniczyć rozprawie podobnej do tej. Zważywszy na okoliczności, sądzę, że byłoby na miejscu, gdybyście panie zechciały wyjaśnić, dlaczego w dojrzałej fazie swojego życia zdecydowałyście się podjąć procedurę adopcyjną.

Żadna z kobiet nie była przygotowana na tego rodzaju pytanie, jednak Joette szybko podniosła w górę rękę.

- Wysoki sądzie, chciałabym mówić jako pierwsza.

- Ależ proszę bardzo.

Gdy wstała, łzy nagle same napłynęły jej do oczu. Macy gestem pełnym czułości dotknęła jej pleców.

- Po stracie dziecka byłam przekonana, że nic na świecie nie wypełni już pustki, którą nosiłam w sercu. Nie wyobrażałam sobie, że kiedykolwiek jeszcze będę w stanie poczuć radość.

Miałam rację, ale tylko w części. Nikt nie zajmie już miejsca mojej córeczki. A jednak pojawił się ktoś, kto zdołał uleczyć moje serce. Tą osobą była piękna młoda dama, która siedzi teraz obok mnie. Wierzę, że to Bóg zesłał mi jednego ze swoich aniołów. Ona dała mi powód do dalszego życia. Gdy spytała, czy zechcę ją adoptować, poczułam wtedy, że moje rany się zabiły. Wysoki sędzie, w głębi duszy już uważam Macy za swoją córkę. Byłoby jednak dla mnie wielkim zaszczytem, gdyby również reszta świata widziała w niej moje dziecko. Dziękuję.

Joette usiadła obok Macy i obie kobiety objęły się mocno. Wszyscy obecni w sali rozpraw uśmiechali się albo płakali ze wzruszenia. Sędzia wprost promieniał radością.

Potem przyszła kolej na Macy. Wstała, przecierając dłonią załzawione oczy.

- Trzydzieści lat temu przyprowadzono mnie do tego budynku i oddano w adopcję rodzinie, która nie miała dla mnie miłości i której częścią nigdy nie chciałam się stać. Myślę, że to bardzo odpowiedni zbieg okoliczności, iż pokój, w którym podpisywano wtedy dokumenty adopcyjne, znajduje się bezpośrednio za nami. Dzisiaj bowiem pragnę wreszcie zostawić

za sobą wszystko, co wiązało się z tamtą adopcją. Dziś przychodzę tu z własnej woli po to, aby w majestacie prawa zostać córką kobiety, którą kocham i do której chcę należeć. Ta kobieta dała mi miejsce, w którym mogę mieszkać. Tak naprawdę zrobiła jednak dla mnie o wiele więcej, nauczyła mnie, co znaczy miłość, rodzina i dom. - Zwróciła się do Joette. - Nigdy nie jest za późno na to, by odnaleźć swój dom.

Przez chwilę obie kobiety patrzyły na siebie. Potem Macy zwróciła się ponownie do sędziego.

- Dziękuję, wysoki sędzie.

Usiadła przy Joette i otoczyła ją ramionami. Byłem pewien, że Macy nadal nic nie wie o jej chorobie i z trudem powstrzymywałem własne emocje. Sędzia wyglądał na głęboko poruszonego słowami obu kobiet.

- Czy ktoś zgłasza sprzeciw wobec wniosku? - spytał, choć jasne było, że w każdego, kto ośmieliłby się to zrobić, rzuciłby sędziowskim młotkiem. Odpowiedziały mu jednak wyłącznie przeczące ruchy głowy, kilka wyszeptanych cicho „nie” i jedno głośne „za cholerę”.

- W takim razie na mocy prawa nadanego mi przez stan Utah niniejszym stwierdzam adopcję.

Gratulacje dla was obu i niech was Bóg błogosławi.

Macy i Joette powstały z miejsc i wszyscy widzowie rzucili się w ich kierunku. Ja również ku nim ruszyłem. Gdy zbliżyłem się do Joette, zarzuciła mi ramiona na szyję.

- Dziękuję, że przyszedłeś.

- Gratulacje - odpowiedziałem. - Masz piękną córkę. Joette wprost tryskała radością. Widziałem, że Macy z kimś

rozmawia, i szykowałem się już do odejścia, gdy dziewczyna przeprosiła rozmówcę i podbiegła do mnie. Chwyliła mnie za rękę i odwróciła ku sobie.

- Dzięki, że tu z nami byłeś.

- Nie ma za co. Gratulacje.

Przez kilka długich sekund patrzyliśmy sobie w oczy.

- Nie chcę, byś stąd wyjeżdżał - powiedziała, wbijając wzrok w podłogę.

Także spuściłem oczy, unikając widoku jej twarzy.

- Nic mnie tutaj już nie trzyma - odpowiedziałem. Podniosła głowę i w jej twarzy zobaczyłem, jak wielki ból

sprawiły jej moje słowa. Opuściła ją na powrót i zakryła dłonią oczy. Objąłem ją i przytuliłem do siebie. Macy zaczęła cicho łkać. Nie mogłem patrzeć, jak cierpi. Nie potrafiłem znieść świadomości, że stoję tak blisko osoby, którą kocham, ale której mieć nie mogę. I tylko jakaś mroczna część mnie czuła się w tym momencie wreszcie usatysfakcjonowana. Po tygodniu samotnych meczarni nareszcie nie byłem jedynym, który czuje ból. Ta gorzka radość uleciała jednak równie szybko, jak się pojawiła, bo za nic w świecie nie chciałem dłużej patrzeć, jak Macy płacze. Miałem oto kolejny dowód na to, jak bardzo ją kocham. Trwaliśmy tak przez kilka minut. W końcu ucałowałem czubek jej głowy.

- Trzymaj się, Macy. Dbaj o siebie.

Odsunęła się ode mnie i spojrzała mi prosto w oczy. Nikt wcześniej nie zajrzał równie głęboko w moją duszę. Mimo że była to dla mnie najtrudniejsza decyzja w życiu, wziąłem głęboki oddech i odwróciłem się od niej. Szybko otoczył ją roześmiany tłumek, któremu zdawało się, że to radość wycisnęła łzy z jej oczu.

## **Rozdział 29**

*Z własnego doświadczenia wiem już, że jedno słowo prawdy naprawić może całe lata życia w ignorancji.*

Z dziennika Marka Smarta

W niedzielę, gdy tylko słońce wyjrzało znad masywu Wasatch Range, przyjechałem po Victora i razem wyruszyliśmy na lotnisko. Mimo że ze wszystkich sił starałem się nie myśleć o Macy, gdziekolwiek spojrzałem, mój wzrok natrafiał na coś, co mi o niej przypominało.

W jaki sposób udało mi się stworzyć tak wiele wspomnień w tak krótkim czasie? - pomyślałem. Po raz pierwszy odkąd go spotkałem, Victor starał się rozmawiać ze mną o czymś, co dotyczyło rzeczywistości. Pytał, dlaczego zdecydowałem się wrócić do Alabamy. Nie potrafiłem udzielić mu prostej odpowiedzi.

- Nadszedł czas, by wrócić — powiedziałem w końcu. Za samochód zapłacił mi już wcześniej.

Wysadził mnie więc po prostu na chodniku przy terminalu linii lotniczych Delta. Wyciągnąłem z bagażnika dwie torby, które stanowiły cały mój bagaż. Pożegnaliśmy się i Victor odjechał moim

starym chevroletem. Wsunąłem kartę pokładową do kieszeni koszuli i wszedłem do środka. *Leciałem* z lotniska Salt Lake City International do Hartsfield w Atlancie. Tam musiałem czekać trzy godziny na kolejny lot. Czasu, by wszystko przemyśleć, miałem więc aż nadto. Co do jednego musiałem przyznać Macy rację: przez ostatnie dwa tygodnie niewiele myślałem o matce. Nie zapomniałem o niej, chodziło raczej o to, że bałem się, dokąd mogłyby zaprowadzić mnie te myśli. Teraz jednak czułem się gotowy, żeby stanąć twarzą w twarz ze swoim żalem i poczuciem straty. Zaczynałem pojmować, jak bardzo się od niej oddaliłem. Nie wiedziałem nawet, na którym cmentarzu jest pochowana. Zadzwoiłem do cioci Marge z lotniska w Atlancie z wiadomością, że wracam do domu. Ucieszyła się i zaproponowała, że przyjedzie po mnie na lotnisko. Grzecznie odmówiłem. W tej chwili potrzebowałem samotności. Zgodziłem się jednak zatrzymać się u niej w domu. W ten sposób ojciec nie musiał się dowiedzieć, że wróciłem. Choć pewnie niewiele by go to obeszło, nawet gdyby o tym wiedział.

Wylądowałem w Huntsville jakiś kwadrans po szóstej. Odebrałem bagaż i poszedłem złapać taksówkę. Kierowca był nieco zaskoczony, gdy powiedziałem mu, dokąd chcę jechać.

- Mam pana zawieźć na miejski cmentarz?

- Tak, proszę. Wzruszył ramionami. -OK.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, wysiadłem z taksówki i zabrałem swoje bagaże. Powiedziałem kierowcy, żeby na mnie nie czekał. Ciocia wytłumaczyła mi dość dokładnie, w której części cmentarza leży mama. Nie zastanawiałem się, w jaki



sposób dotrę później do domu cioci Marge, w tamtej chwili chciałem tylko zostać sam. Padał śnieg, na ziemi leżało go więcej, niż widziałem w Huntsville kiedykolwiek wcześniej. Choć nie było to nic wielkiego w porównaniu z zimą w Salt Lake City, to starczyło, by utrudnić chodzenie. Schowałem bagaże za żywopłotem i zacząłem brodzić w sięgającym kostek puchu. Błądząc od nagrobka do nagrobka, odczytywałem wyryte na kamieniach nazwiska. Chodziłem tak od dwudziestu minut i byłem już niemal pewien, że przekreśliłem którąś ze wskazówek cioci, gdy mój wzrok padł na wykute w granicie słowa:

Alice Liddel Smart Ukochana Zona i Matka 16 czerwca 1946 - 23 października 1988

Dopiero w tym momencie ostatecznie dotarło do mnie, że matka nie żyje. Padłem na kolana i zacząłem płakać.

— Mamo! — krzyknąłem w rozpacz, ale mój głos utonął w ośnieżonej scenerii. Pochyliłem się do przodu i oparłem na dłoniach. Moje ciało kołysało się lekko, podczas gdy śnieg powoli pokrywał mnie i wszystko wokół. Nie odgarniałem go. Chciałem, by przykrył mnie całego, zasypał tam przy niej. — Dlaczego odeszłaś, mamo?

Zimowe słońce chyliło się już ku zachodowi, oddając cmentarz we władanie chłodnego zmroku.

Kłęczałem tam bez ruchu, zimny jak kamienie wokół mnie.

Nie potrafię powiedzieć, ile czasu minęło, nim usłyszałem chrzęst zbliżających się kroków.

Podniosłem głowę, żeby

zobaczyć, kto nadchodzi. To był Stu. Wstałem z ziemi, a on zatrzymał się w miejscu. Mierzyliśmy się wzrokiem. Stał jakieś osiem metrów ode mnie, ubrany w poplamioną niebieską kurtkę mechanika, na której nosił naszywkę z imieniem. Byłem na niego wściekły, że przeszkodził mi w żałobie.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Marge mi powiedziała.

Teraz byłem wściekły także na nią. -Jak się masz? - spytał.

- Od kiedy to ciebie interesuje?

Wpatrywał się we mnie pozbawionym wyrazu wzrokiem. Nie było w nim złości, w tamtej chwili to ja miałem monopol na gniew.

- Powiem ci, jak się miewam. Straciłem matkę, dwie dziewczyny i stypendium na uniwersytecie.

Czyszczę kible, żeby jakoś przeżyć. Jestem pewien, że ucieszyły cię te wieści.

Przetarł twarz dłonią.

- Ani trochę.

Mimo że z całego serca chciałem stamtąd odejść, było we mnie coś, co pragnęło stawić mu wreszcie czoło.

- Po co tu przyszedłeś?

- Chciałem się z tobą zobaczyć.

- Po co?

Nie potrafił mi odpowiedzieć. Wciągnął powietrze i uciekł przed moim spojrzeniem. Potem wbił wzrok w czubki swoich butów.

- Bałem się, że mógłbym nie zobaczyć cię już więcej - powiedział po chwili.

Miał całkowitą rację. Nie miałem zamiaru z nim się spotykać. Mimo to zaskoczyła mnie jego odpowiedź.

- Pół życia poświęciłeś, żeby mnie stąd przegonić, a teraz boisz się, że mógłbym więcej tu już nie wrócić?

- Na to wychodzi.

Nie miałem pojęcia, co mu chodzi po głowie, ale wiedziałem, że może to być moja jedyna szansa, by wygarnąć mu w twarz wszystko, co nosiłem przez lata w sobie.

- Dlaczego więc sprawiałeś, że życie z tobą było nie do wytrzymania? Dlaczego nie mogłeś być dla mnie prawdziwym ojcem?

Spodziewałem się, że wybuchnie, ale on po prostu stał tam i przyglądał mi się ze smutkiem. W końcu zaczerpnął powietrza.

- W porządku. Chodź ze mną. Czas już, byś poznał prawdę. -Jaką prawdę?

- Chcę ci coś pokazać - powiedział, ruszając przez śnieg. Przez moment stałem w miejscu, nieufny wobec jego zamiarów. W końcu jednak ciekawość przeważała. Ruszyłem za nim, choć nadal trzymałem się na dystans. Słyszeć było tylko szum wiatru i chrzęst śniegu pod naszymi butami. Wreszcie zatrzymał się przy jednym z grobów i wbił ręce w kieszenie kurtki.

Płyta nagrobna wykonana była z alabastru nadgryzionego przez czas i aurę. Kamień częściowo tonął w wieczornym mroku, było na nim także sporo śniegu. Podeszedłem do nagrobka, wypatrując wyrytych tam słów. Wyrzeźbiono na nim amerykańską flagę.

Virgil Marcus Hunt 14 lutego 1949 - 4 marca 1969

Spojrzałem na Stu, oczekując jakiegoś wyjaśnienia, ale on milczał.

- Kto to był? - spytałem w końcu.

Mój ojciec nadal nie odpowiadał. Przeczesał tylko dłonią włosy, jak zawsze, gdy brakowało mu słów.

- Czemu mnie tu przyprowadziłeś?

Odwrócił się, wbijając we mnie pełne udręki spojrzenie.

- Tu leży twój ojciec. -Co?

Odwrócił się i odszedł. Oddalał się od grobu, jakby samo przebywanie w jego pobliżu niesło ze sobą zbyt wiele bólu. Poszedłem za nim.

Wróciliśmy do grobu matki. Usiadł na stojącej opodal marmurowej ławce i zasłonił twarz dłońmi.

- O co chodziło z tym „moim ojcem”?

Wydawało się, że minęły całe wieki, nim wreszcie podniósł głowę.

- Na pewno nieraz zastanawiałaś się, jak to się stało, że kobieta pokroju twojej matki wyszła za mężczyznę takiego jak ja. Prawdajest taka, że nie byłem pierwszy na jej liście. Spotykała się z kilkoma chłopakami. Ze mną, z Virgilem, co tutaj leży, i jeszcze jakimś jednym z Birmingham. To Virgila lubiła jednak najbardziej. Studiował na uniwersytecie, był prawdziwym królem akademików, do tego świetnie grał na gitarze. Z kolei ja, ze mnie był tylko... sam wiesz. Nic dziwnego, że wybrała jego. Ledwie się zaręczyli, a on dostał powołanie do wojska. Postanowili nie czekać i wzięli ślub po kryjomu. Nikomu nic nie powiedzieli. Któregoś dnia strzeliło mi do głowy, żeby się do niej wybrać, chciałem sprawdzić, czy mam jeszcze jakieś szanse. Poszedłem więc

do Pat kupić dla niej kwiaty. Dziewczyna, która tam pracowała, знаła Alice, Opowiedziała mi o ślubie Alice i Virgila. O tym, jak układała bukiet dla panny młodej. Gdy to usłyszałem, o mało nie padłem tam trupem. Nawet dziewczyna w kwiaciarni już wiedziała o wszystkim, tylko ja, dureń, nie miałem o niczym pojęcia. Sześć tygodni później Virgil pojechał walczyć w Wietnamie. Wielu chłopaków stamtąd nie wracało. Zginął zaledwie po czterech miesiącach. Tak po prostu. Twoja matka została wdową w wieku dziewiętnastu lat. - Odwrócił się do mnie. - Była też w ciąży. Gdy tylko dowiedziałem się, że on nie żyje, przyjechałem złożyć jej kondolencje. Oboje jednak wiedzieliśmy, po co tak naprawdę się tam zjawilem. Była pogrążona w smutku. - Spuścił wzrok. - Trzeba było dać sobie spokój. Wiedziałem, że jej serce nadal należy wyłącznie do niego. Tylko że ja nie kochałem nikogo poza nią. Nim zdążyłem dobrze pomyśleć o tym, co robię, już się do niej zalecałem. Wiedziałem, że jej zależy wyłącznie na tym, żeby znaleźć kogoś, kto będzie ojcem dla dziecka - kilka razy dała mi to wyraźnie do zrozumienia. Powiedziałem sobie, Że to nie ma znaczenia. Serce potrafi podpowiedzieć człowiekowi najróżniejsze rzeczy. Zdobyć taką dziewczynę jak Alice, to tak jakby wygrać los na loterii i to w dwóch stanach za jednym zamachem - nieważne, jak tego dokonałeś, liczy się wygrana. Powtarzałem sobie, że z czasem nauczy się mnie kochać. - Nagle w jego oczach pojawiły się łzy. - Ale tak się nie stało. Znosiła życie ze mną. Ale nigdy mnie nie kochała. Zupełnie jakby oddała już wcześniej tę część swojego serca komuś innemu. Po raz pierwszy w życiu widziałem płaczącego ojca. Ani na chwilę nie spuścił ze mnie wzroku, nie wstydząc się łez spływających mu po policzkach.

- Kochałem ją, synu. Dla niej byłem gotów zrobić wszystko. Nie mogłem jednak stać się tym, którego kochała. Wybrała innego. - Głos mu się łamał. - Ciebie kochała jeszcze mocniej. Zazdrościłem ci tej miłości, bo wiedziałem, że gdy na ciebie patrzy, to widzi kogoś więcej niż tylko syna. W tobie pozostała jej część tamtego mężczyzny.

Wytrzeł oczy wierzchem dłoni.

- Wiem, że nie byłem dla ciebie dobry. Dumny z tego nie jestem. Wylewałem na ciebie całą swoją krzywdę. To nie było w porządku, ale tak właśnie robiłem.

Schował ręce do kieszeni i ponownie spojrzął na kamienny grób.

- To dlatego tutaj przyszedłem. Chciałem powiedzieć ci, jak bardzo jest mi wstyd. - Podniósł głowę i spojrzął mi prosto w oczy. - Przepraszam cię.

Przez dwadzieścia lat życia nigdy nie słyszałem, żeby mój ojciec za cokolwiek przeproszał. Przez moment milczeliśmy obaj. Śnieg padał nadal, otulając nas warstewką puchu, W pewnym momencie Stu wyjął coś z kieszeni.

- Wiedziałem, że być może zobaczę cię tu po raz ostatni, więc przyniosłem te rzeczy ze sobą.

Wstał i podszedł do mnie. Wyciągnął rękę. Nadstawiłem dłoń, a on upuścił do niej złoty pierścionek.

- To obrączka twojej matki. Dostała ją od Virgila. Nosila ją zawieszoną na łańcuszku. Nigdy go nie zdejmowała. Wiem, że chciałaby, żebyś to tyją dostał. Nie miej mi za złe, że łańcuszek zatrzymałem dla siebie.

Podniosłem obrączkę, by przyjrzeć się jej z bliska. W złocie osadzono diament o owalnym szlifie otoczony przez kilka małych, ciemnoniebieskich szafirów. Pamiętałem, że widziałem już kiedyś ten pierścionek. Pracowała wtedy w ogrodzie i łańcuszek, na którym wisiał, wysunął się z bluzki. Zapytałem o niego, ale ona schowała go szybko i wróciła do wrywania chwastów.

Wsunąłem pierścionek do kieszeni. Stu wyjął spod kurtki większy pakunek, owinięty w poplamiony smarem papier śniadaniowy. Podał mi go. Otworzyłem zawiniątko i zajrzałem do środka. Był tam pokaźnych rozmiarów plik banknotów, w większości dwudziesto- i pięćdziesięciodolarowych.

- Co to jest?

- Pieniądze, które odłożyłem na twoją szkołę. Wiem, że sobie poradzisz, cokolwiek zdecydujesz robić ze swoim życiem. Zawsze byłeś łebski. Masz to po matce. I po ojcu.

Widziałem, ile bólu sprawiły mu te ostatnie słowa. Gdy skończył mówić, odwrócił się, by odejść. Szedł powoli przysypaną przez śnieg alejką. Nie wiem, w jaki sposób się to stało, ale w tym właśnie momencie Stuart Smart przestał być dla mnie postacią, której nienawidziłem i przed którą czułem lęk. Stał się zwyczajnym człowiekiem - zranionym i ludzkim. Takim samym jak i ja. Był, jak to powiedziała Joette, człowiekiem skrytym za zasłoną. Patrzyłem, jak jego sylwetka zamazuje się powoli w zapadającym zmierzchu.

- Hej, tato.

Zatrzymał się i wolno odwrócił.

- Dzięki. Skinął głową.

Potarłem czubek nosa wierzchem rękawiczki.

- Może byśmy gdzieś poszli chwilę pogadać?

Przez długi czas patrzył na mnie bez słowa. - To dobry pomysł.

Podszedłem do niego. Gdy dzieliła nas już tylko odległość wyciągniętego ramienia, spojrzeliśmy sobie w oczy. Wtedy właśnie zdarzył się cud. Objąłem go. W ramtym momencie świat, jakim go znałem, zmienił się na zawsze. W tamtym momencie Stuart Smart stał się moim ojcem.



### ***Rozdział 30***

*Robię, co mogę, by zatrzymać myśli w Alabamie. Jednak moje serce wyrywa się do Utah.*

Z dziennika Marka Smarta

Przez następny tydzień rozmawialiśmy z tatą więcej niż przez całe dwadzieścia dwa minione lata. Zaoferowałem mu pomoc w garażu i ku mojemu zaskoczeniu nie okazał się to wcale powrót do dantejskiego piekła. Któregoś popołudnia, gdy jedliśmy wspólnie lunch, opowiedziałem mu o Macy. Nie powiedział wiele, ale widziałem, że dostrzegł moje cierpienie. Opowiedziałem mu także o Joette. Zastanawiałem się, jak się teraz czuła i czy wyjawiała już Macy swój sekret. Na samą myśl o tym poczułem spazm bólu w żołądku.

- Wrócisz tam? - spytał ojciec. Pokręciłem głową.

- Nie mam pojęcia.

Było to w trzecim tygodniu po moim przyjeździe do domu. Pracowałem właśnie pod jakimś autem, gdy obok przykucnął tata.

- Ktoś przyszedł cię odwiedzić, synu.

Wysunąłem się spod maski samochodu. W wejściu stała Tennys, moja była dziewczyna.

- Cześć - powiedziała.

Podnosząc się z podłogi, chwyciłem jakąś szmatę ze stołu i wytarłem w nią ręce. Była jeszcze piękniejsza, niż ją zapamiętałem, niesforny kosmyk długich blond włosów uroczym zrzędzeniem losu wysunął się zza jej ucha i opadał na jedno z ramion. Znałem jednak Tennys na tyle dobrze, by wiedzieć, że nic, co związane było z wyglądem, nie działo się u niej przypadkiem. Przeszło mi przez głowę, że dziewczyna stara się zrobić na mnie wrażenie.

- Dobrze znowu pana spotkać, panie Smart - odezwała się do mojego ojca.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział. Skinął mi głową i zostawił nas samych.

-Jak leci? - zacząłem.

- Hm. Tak sobie.

- Trudno mi w to uwierzyć, pani...

- Żadna „pani”, tylko „panna” a do tego coraz starsza.

- Nie wyszłaś jeszcze za mąż?

- Zerwaliśmy zaręczyny. Choć właściwie to on je zerwał. Wrócił do poprzedniej dziewczyny.

- Miał drugą dziewczynę?

- To długa historia.

- A to łajdak. Uśmiechnęła się kwaśno.

- Zostawił mi przynajmniej pierścionek z brylantem. Chyba był zbyt zakłopotany całą tą sprawą, by prosić o jego zwrot. - Rzuciła mi słodkie spojrzenie bezbronnej istoty. -A jak ty sobie dawałeś radę?

- Udało mi się jakoś przetrwać.

- Jakie jest Salt Lake City?

- Całkiem fajne. Wysokie góry. Mnóstwo śniegu. Ludzie są mili,
- A w szkole idzie ci dobrze?
- Szło nieźle, dopóki tam jeszcze chodziłem. Zakołysała się odrobinę na piętach.
- Na jak długo tu przyjechałeś?
- Sam nie wiem. Być może na zawsze. Widziałem, że moja odpowiedź przypadła jej do gustu.
- To dobrze. Cóż, chciałam tylko przywitać cię z powrotem w domu. Muszę już wracać do pracy.
- Gdzie pracujesz?
- W sklepie z ubraniami Lord and Taylor. Pracuję w dziale z damskim obuwiem.
- W końcu robisz więc to, co kochasz. Roześmiała się.
- Rozgryzłeś mnie. Otworzyli mi kredyt pracowniczy i wydają teraz na buty niemal całą pensję, zanim dostanę do ręki pieniądze. - Jej głos stał się jeszcze bardziej uroczy. - Myślałam, że może po pracy moglibyśmy wyskoczyć na kawę. A może obiad? Tym razem wypada chyba moja kolej, więc ja stawiam.

Nie odpowiedziałem jej.

- Możesz odmówić - powiedziała. - Bóg mi świadkiem, że sobie na to zasłużyłam. — Przechyliła odrobinę głowę. Dobrze wiedziała, że uwielbiałem ten jej gest. - Pomyślałam sobie, że warto jednak zapytać.

Była tak ujmująca, że nie potrafiłem odmówić.

O której kończysz pracę? - spytałem. Koło szóstej.

Nie mam samochodu. Chyba że ukradnę ten tutaj. Mogę po ciebie przyjechać. OK. Do zobaczenia wieczorem.

Już się nie mogę doczekać. — Uśmiechnęła się do mnie.

## ***Rozdział 31***

*Dziś wieczorem zjedliśmy z Tennys obiad w miejscu, które przyprawiłoby o zawał każdego wegetarianina. Złożyła mi propozycję, której chyba nie powinienem odrzucać.*

Z dziennika Marka Smarta

Usiedliśmy z Tennys przy małym stoliku w restauracji Porkys Barbeque. Nazwać tutejszy grill restauracją byłoby obrazą. To była istna świątynia obżarstwa, w której mięsożercy bezwstydnie oddawali się swoim dzikim rytuałom. Zamiast serwetek na stolikach stały rolki papieru do wycierania tłustych palców. Można było wybierać spośród sześciu plastikowych buteleczek z sosami o zróżnicowanej pikantności, zaś sałatkę coleslaw oraz pieczoną fasolę serwowano tam na litry. Postanowiłem nie pamiętać o tej części zaproszenia, która dotyczyła kawy, i skupić się na propozycji wspólnego obiadu, ponieważ nie jadłem nic od lunchu, a od kiedy wyjechałem z Alabamy, nie byłem na porządnym grillu. Pochłonałem duży półmisek szpondra wołowego i wieprzowych żeberek, podczas gdy Tennys z elegancką precyzją odkrawała kolejne

skrawki piersi kurczaka i aranżowała kompozycje sałatki na swoim widelcu.

Tennys promieniała urodą i radością, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek było inaczej. Była typem kobiety, na którą, jak powiedziałby mój tata, „chłopy gapiły się, jak stado wołów na malowane wrota”.

Tego wieczora była piękniejsza niż zwykle.

- Mieszkasz w domu? - spytała, gdy miałem pełne usta jedzenia.

Skinąłem głową.

- Razem z ojcem? - Zaskoczona odchyliła się nieco na krześle.

- Sporo się zmieniło - odpowiedziałem.

- A piekło nie zamarzło przypadkiem w międzyczasie?

- Wiem, wiem. Trudno w to uwierzyć.

- Cóż, może faktycznie jest tak, jak mówią: z dala od domu człowiek zyskuje nową perspektywę.

- A co z tego dałoby się wywnioskować na temat przebywania w jego pobliżu?

Przez chwilę myślała nad odpowiedzią.

- Nigdy nie przepadałam za tym powiedzeniem. Uporałem się z ostatnim żeberkiem.

- Opowiedz mi coś o tym twoim kręgarzu.

- To tak, jakbyś zapytał panią Kennedy, czy podobała jej się przejażdżka kabrioletem po Dallas.

- Przepraszam.

- Nie, może jednak masz rację. Chyba powinnam wreszcie z kimś o tym porozmawiać. Wyrzucić to z siebie. - Tennys odłożyła widelec. - Naciągnęłam sobie trochę szyję, grając w siatkówkę, poszłam więc do tego nowego gabinetu masażu przy ulicy Broadway, żeby mi jakoś pomogli. Od razu powinnam była się czegoś domyślić. Przywitał mnie przystojny gość i pierwsze, o co mnie spytał, to dlaczego taka śliczna panienska nie ma na rękę pierścionka. Skąd mogłam wiedzieć, że poprzedniego

wieczora zostawiła go dziewczyna. Zanim się spostrzegłam, widywaliśmy się już praktycznie codziennie. Kupował mi czekoladki, kwiaty, biżuterię. Od kilku tygodni nie miałam od ciebie żadnej wiadomości...

- Nie zwalaj winy na mnie - przerwałam jej, wycierając brudne od sosu palce w papierowy ręcznik. - Sama się w to wpakowałaś.

- Cóż, mogłeś częściej do mnie dzwonić - nie dawała za wygraną. - Tak czy inaczej nagle, całkiem niespodziewanie i zupełnie bez zapowiedzi, zaskoczył mnie wielkim pytaniem. I ku swojemu wielkiemu zdziwieniu powiedziałam „tak”.

- Tak po prostu?

- Pozwoliłam się ponieść chwili niczym nitka babiego lata na letnim wietrze. Szast, prast i po sprawie. Najpierw powiedziałam „tak”, a przez następne trzy tygodnie udało mi się samą siebie przekonać, że była to właściwa odpowiedź. Mama była oczywiście wniebowzięta. Myślała, że córce udało się złapać prawdziwego doktora. Natychmiast zabrała się do planowania wszystkiego, jakby to ona wychodziła za mąż. - Nagle spoważniała. - Ale wiesz, nie mogłam przestać myśleć o tobie. Oczywiście byłam na ciebie wściekła — że to nie ty poprosiłeś mnie o rękę pierwszy. Przyznam, że napisanie do ciebie tamtego okropnego listu przyniosło mi odrobinę złośliwej satysfakcji. Jednak dzień po jego wysłaniu dowiedziałam się

o śmierci twojej matki. Zrobiło mi się strasznie głupio. Chciałam do ciebie zadzwonić.

Skontaktowałam się z twoim tatą, żeby dał mi numer telefonu do ciebie, ale odpowiedział, że on także go nie zna. Wstydziałam się tak bardzo, że nie poszłam na pogrzeb. Nie miałam pojęcia, co miałabym ci powiedzieć, myślałam, że moja obecność przysporzy tylko dodatkowego bólu. Jednak naprawdę było mi przykro. Twoja matka była wspaniałą kobietą.

- Nie byłem na jej pogrzebie - powiedziałem.

- Co takiego?

- Nie było mnie w szkole. Odebrano mi stypendium. Nikomu jednak o tym nie powiedziałem, więc gdy próbowali się ze mną skontaktować, nie mogli mnie znaleźć. O śmierci mamy dowiedziałem się dopiero dwa dni po pogrzebie, gdy sam zadzwoniłem do domu.

Tennys położyła dłoń na mojej.

- Bardzo mi przykro.

- To były złe czasy - mruknąłem.

- Żałuję, że mnie tam wtedy nie było przy tobie.

- Ja także - powiedziałem. I była to prawda. Po chwili odezwała się znowu.

- A co z tobą, była jakaś dziewczyna w Salt Lake City? Nie miałem ochoty opowiadać jej o Macy.

- Można to tak nazwać. W sumie byliśmy chyba raczej przyjaciółmi.

- Zatem to nie było nic poważnego? Wahałem się przez chwilę.

- Oświadczyłem się jej.

Na jej twarzy odbiło się zaskoczenie.



- Naprawdę?
- Naprawdę.
- I co ci odpowiedziała?
- Nic. Po prostu ode mnie uciekła.

Tennys przyglądała mi się przez chwilę, a potem zaczęła się śmiać. Z początku chichotała cicho, ale wkrótce śmiech stał się nieznośnie głośny. Goście siedzący przy stolikach wokół przyglądali się nam, próbując dociec przyczyny jej nagłej wesołości.

- Mnie to nie wydawało się takie śmieszne - powiedziałem. Ujęła mnie za rękę.
  - Przepraszam. Nie śmieję się z ciebie. To nieodparta ironia całej sytuacji mnie tak bawi. Spójrz tylko na nas dwoje: sztandarowa para gołąbeczków z ogólniaka, król i królowa balu maturalnego i każde z nas dostało kosza tuż przed samym ołtarzem. Faktycznie, dobrana z nas para. Jesteśmy po prostu dla siebie stworzeni.
  - Masz rację, to rzeczywiście całkiem zabawne. Westchnęła bez troski.
  - Może więc powinniśmy uciec stąd razem? Ja już nawet mam pierścionek. - Podniosła dłoń, by mi go pokazać. - Dziękuję panu, doktorze Bali.
  - Czeka, naprawdę nazywał się Bali, czyli piłka?
  - Aha - potwierdziła skinieniem.
  - Zatem, gdybyś za niego wyszła, nazywałabyś się Tennys Bali, czyli piłeczka do tenisa?
- Uśmiechnęła się.
- Obawiam się, że tak właśnie by było.
- Tym razem przyszła moja kolej, by wybuchnąć śmiechem.

- Z takim imieniem byłaś skazana na porażkę od pierwszego dnia. Zawtórowała mi i śmialiśmy się teraz oboje. Potem pochyliła się ku mnie i pocałowaliśmy się. Z doświadczenia wiedziałem, że Tennys potrafiła całować. Rodin mógłby się od niej uczyć.
- Jesteś pewna, że chcesz wyjść za faceta, który rzucił szkołę? - spytałem, gdy pocałunek dobiegł końca.
- Przynajmniej dzieci będziemy mieli ładne. Uśmiechnąłem się.
- Daj mi dzień, bym sobie to wszystko przemyślał.

## ***Rozdział 32***

*Mój tata okazał się o wiele bardziej przenikliwy, niż kiedykolwiek byłem mu to skłonny przyznać. Prawdę powiedziawszy, nie sądzę, by to on zmartzał ostatnio — to raczej mnie przybyło oleju w głowie.*

Z dziennika Marka Smarca

Wróciłem do domu po drugiej nad ranem i budzik wyrwał mnie ze snu niecałe cztery i pół godziny później. Wciągnąłem na siebie lewisy oraz karmazynową bluzę z logo Uniwersytetu Stanowego Utah i z oczami czerwonymi z niewyspania wtoczyłem się do kuchni. Wyciągnąłem z lodówki dwa gofry i wrzuciłem je do tosterka. Tata obserwował to wszystko z wyraźnym rozbawieniem i kubkiem kawy w dłoni.

— Późno wczoraj wróciłeś — zauważył.

- Byłem z Tenuys.

— Z tej dziewczyny to dopiero jest ślicznotka. — Pokręcił głową z wyraźnym uznaniem. - Słyszałem, że ktoś już złowił tę rybkę.

- Tak było. Ale facet się wycofał.

Tata nic na to nie odpowiedział. Podeszedł do lodówki i wyjął z niej paczkę salami, główkę sałaty i słoik majonezu.

- Może być kanapka z salami? - Jasne, ale mogę sam ją zrobić. - Już się do tego wziąłem.

Opadłem na krzesło przy stole i zamknąłem na chwilę oczy.

- Nie masz choinki?

- Bez twojej matki jakoś nie miałem nastroju do jej ubierania.

- Bez niej nic już nie będzie takie jak kiedyś - powiedziałem.

- Nie - zgodził się. - Nie będzie.

Moje gofry wyskoczyły właśnie z tosteru. Wstałem z krzesła, posmarowałem je masłem i zaniósłem z powrotem na stół.

- Mogę cię o coś spytać?

Rzucił mi szybkie spojrzenie, wyczuwając wagę pytania, które miało za chwilę paść.

- Próbuj.

- Czy mama była tego warta? Milczał przez moment.

- Co przez to rozumiesz? Starłem się ostrożnie dobierać słowa.

- Teraz, gdy poznałem całą prawdę o wszystkim... to małżeństwo nie mogło być dla ciebie łatwe. -

Wziąłem głęboki oddech. - Musiał być z ciebie przystojny gość. Z pewnością były wtedy jakieś inne kobiety...

- Kilka by się znalazło.

- Może więc warto wybierać prostsze rozwiązanie? Trzymać wróbla w garści i zapomnieć o gołębiu?

*Przyjrzał mi się badawczo.*

- Tennys chce, byś się z nią ożenił?

Zaśmiałem się. Mój ojciec okazał się bardziej przenikliwy, niż kiedykolwiek byłem mu to skłonny przyznać. -Tak.

- Synu, gdy w grę wchodzi serce, nie ma czegoś takiego jak wróbel w garści. — Zmarszczył czoło. - Chyba nigdy nie cenilem rzeczy, które przychodzą łatwo. Czasem, jeśli to, czego pragniesz, ma być naprawdę coś warte, musisz o to walczyć.

- A mama była warta tego, by o nią walczyć?

- Z całą pewnością tak - powiedział z naciskiem. Przez chwilę zastanawiałem się nad sensem jego słów.

- Rzecz w tym, że ja nie wiem, czy ona mnie chce. Co będzie, jeśli tam wrócę, a ona odrzuci mnie po raz kolejny?

Patrzył teraz na mnie z troską.

- Może tak być. Ale wiesz, co byłoby od tego jeszcze gorsze? -Co?

- Gdyby ona czekała na ciebie przez całe swoje życie, a ty byś się w nim nigdy nie pojawił, dlatego że za bardzo bałeś się zaryzykować.

Przyglądałem mu się przez dłuższą chwilę. Potem uśmiechnąłem się szeroko. Włożył kanapki do papierowej torby razem z połową paczki chipsów ziemniaczanych.

- Idziesz ze mną?

- Chyba najpierw muszę kupić bilet na samolot.

- W takim razie łap za telefon i rezerwuj lot, nie będę tu na ciebie czekał do południa.

### **Rozdział 33**

*Zadzwońm do Tennys, by powiedzieć jej, że wracam do Utah. Nawet jeśli była tym zawiedziona, nie dała po sobie niczego*

*poznać. Słowo daje, ta kobieta jest niesamowita. Gdyby powiedzieć jej, że płonę jej włosy, najpewniej spytałaby grzecznie, czy kolor płomieni pasuje do bluzki.*

Z dziennika Marka Smarta

Wyjechałem z Huntsville trzy dni przed świętami Bożego Narodzenia, ale do Salt Lake City dotarłem dopiero na dzień przed Wigilią. W szalonym pędzie przedświątecznych podróży linie lotnicze sprzedały zbyt wiele biletów na lot z Atlanty i tylko ja okazałem się skłonny zrezygnować z miejsca w samolocie w zamian za darmową podróż w obie strony, obiad i nocleg w hotelu. Jeszcze z Alabamy zadzwoniłem do Victora, a on nie dość, że zgodził się odebrać mnie z lotniska, to jeszcze wspaniałomyślnie pozwolił mi korzystać z mojego starego malibu w czasie pobytu w Utah.

Samolot wylądował w Salt Lake około siódmej wieczorem. Znalazłem Yictora przy terminalu odbioru bagaży. Stał

zaczytany w jakiejś powieści *science-fiction*. Odwiozłem go z powrotem do domu i pojechałem prosto do Macy.

Okna domu były ciemne, a na ziemi w pobliżu ganku wałały się trzy nierozpakowane gazety.

Samochód Joette nadal stał na podjeździe, gruba na kilka centymetrów warstwa śniegu pokrywała przednią szybę auta. Wyglądała na porządnie zmrożoną. Nigdzie nie widziałem samochodu Macy.

Dzwoniłem do drzwi przynajmniej trzy razy, ale nikt mi nie otworzył. Obszedłem więc dom naokoło, zaglądając do środka przez kolejne okna. Wyglądało na to, że w środku nie ma nikogo.

Chwilę zastanawiałem się, co powinienem zrobić dalej, w końcu zdecydowałem, że najrozsądniej będzie sprawdzić w Chacie. Był spokojny wieczór i w kawiarni siedziało niewielu gości. Z głośników płynęły kolędy, kilka par rozmawiało przy stolikach, na ziemi wokół ich stóp piętrzyły się torby i pudełka, pełne kupowanych w ostatniej chwili upominków. Podeszedłem do lady. Dziewczyna przy kasie rozpoznała mnie.

- Hej, to ty grałeś wtedy na gitarze.

- Tak, to ja. Widziałaś Macy?

- Mary?

- Niech będzie.

- Mary od kilku dni nie ma w grafiku. Słyszałam, że jej mama trafiła do szpitala. Podobno jest poważnie chora.

Poczułem, jakby coś ukłuło mnie w piersi.

- Wiesz może, w którym są szpitalu? Potrząsnęła głową.

- Przykro mi, ale nie mam pojęcia.

- A kto mógłby mieć?

- Nie mam pojęcia.

- Komuś musiała przecież powiedzieć. Może zostawiła jakąś wiadomość?
- Nie wiem, czy to coś da, ale mogę sprawdzić na zapleczu. - Zniknęła w drzwiach biura. Wynurzyła się z nich ponownie kilka minut później. - Zadzwoiłam do Jeffa. Mówi, że jej mama leży w szpitalu Świętego Krzyża.
- Dzięki - rzuciłem, biegnąc w kierunku drzwi.
- Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś tu zagrasz - zawołała za mną. - Byłeś świetny.

\*

Pędziłem do szpitala najszybciej, jak się dało. Zaparkowałem samochód na trzecim poziomie szpitalnego parkingu i przebiegłem na drugą stronę ulicy. Szpitalny hol rozbrzmiewał kołędami. Wolontariuszka przy biurku recepcji miała na głowie czapkę mikołaja i naszyjnik z dzwoneczkami. Powiedziała mi, że Joette leży na szóstym piętrze w zachodnim skrzydle budynku, w sali **616**.

Był już kwadrans po północy, gdy wszedłem do pokoju. Stały w nim dwa łóżka, przedzielone zasłoną zwisającą z metalowej szyny w suficie. Joette spała na tym bardziej oddalonym od wejścia. Zagłówek łóżka był nieco uniesiony, a nad jej głową paliła się mała lampka do czytania. Macy spała obok, z twarzą przy dłoni Joette. Nawet w słabym świetle, jakie panowało w pokoju, widziałem, jak bardzo od czasu naszego ostatniego spotkania choroba wyniszczyła Joette. Gdybym nie był pewny, że to jej pokój, mógłbym nawet jej nie rozpoznać.



Stałem tak bez ruchu przez kilka minut, gdy do sali weszła pielęgniarka. Dostrzegła mnie w ostatniej chwili i mocno się przestraszyła.

- Godziny wizyt już dawno minęły. Musi pan stąd wyjść -powiedziała cichym, ale zdecydowanym głosem.

Gestem wskazałem, by poszła za mną, i wyszedłem na korytarz.

- Przepraszam, dopiero co przyjechałem do miasta. Jak ona się czuje?

Zmarszczyła czoło.

- Ona umiera. Jej wątroba przestaje funkcjonować.

- Ile jej zostało czasu?

- Trudno powiedzieć. Widziałam pacjentów w jej stanie, którzy umierali w ciągu kilku godzin, ale widziałam też takich, którzy żyli jeszcze przez kilka dni. Teraz wszystko jest już w rękach Boga. Nie spodziewałabym się jednak, by trwało to dużo dłużej. - Obrzuciła mnie surowym spojrzeniem.

-Przykro mi, ale jeśli nie należy pan do najbliższej rodziny, pora odwiedzin kończy się o dziewiątej wieczorem.

- Widzi pani, ona prosiła mnie, bym zaopiekował się jej córką. A jeśli faktycznie to jest jej ostatnia noc, myślę, że powinienem przy niej zostać.

Pielęgniarka patrzyła na mnie przez chwilę, wyraźnie nie mogąc zdecydować, co ze mną zrobić.

- Jest w końcu Boże Narodzenie - wyciągnąłem z rękawa świątecznego asa.

- No dobrze.

- Dziękuję.

Siostra poszła kontynuować obchód, a ja wszedłem z powrotem do pokoju. Usiadłem w rozkładanym fotelu obok łóżka Joette. Mijały godziny, a ja patrzyłem na Macy śpiącą obok swojej matki.

Zastanawiałem się, od jak dawna radziła sobie bez snu. Miałem ochotę przytulić ją do siebie i dać jej trochę otuchy, tak samo jak ona dodała mi jej w dniu naszego pierwszego spotkania. Cicho jęknęła przez sen. Podeszedłem i otoczyłem ją ramieniem. Przesunęła się nieco, powiedziała coś, czego nie rozumiałem, potem uniosła głowę i powiodła naokoło oczyma ciężkimi od snu. Włosy miała zmierzwione. Spojrzała na mnie, kilkakrotnie zamrugła powiekami, potem skupiła spojrzenie.

- Mark? - spytała szeptem.

- Cześć, Macy.

Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Wróciłeś.

- Tak. -Joette...

- Wiem - powiedziałem, a potem przyciągnąłem ją ku sobie i objąłem mocno. - Chodź tutaj - szepnąłem.

Pomogłem jej wstać z krzesła i zaprowadziłem na fotel, usiadłem w nim i posadziłem ją sobie na kolanach. Wtuliła się we mnie. Potem podniosła do góry głowę.

- Co właściwie pan tu robi, panie Mądralo?

- Spróbuj odpocząć - odpowiedziałem. - Prześpij się. Ja posiedzę przy Joette.

Położyła głowę na mojej piersi.

- Wróciłeś - powiedziała zaspanym głosem. Położyłem dłoń na jej głowie i delikatnie głaskałem jej włosy.

- Tak - powiedziałem. - Wróciłem.

## **Rozdział 34**

*Teraz już wiem, że zdarzają się chwile o znaczeniu tak wielkim, że nie da się ich zamknąć w czasie.*

Z dziennika Marka Smarta

*Wigilia Bożego Narodzenia*

Obudziłem się wczesnym rankiem, z Macy nadal śpiącą w moich objęciach. Joette była przytomna i przyglądała się nam. W świetle brzasku widziałem żółtawy odcień jej skóry i białek oczu. Mimo to sprawiała wrażenie spokojnej.

- Cześć, Joette - przywitałem się cicho.

- Cześć, Mark.

Wyciągnąłem ku niej rękę. Jej dłoń wydała mi się maleńka i bardzo krucha.

- Jak się czujesz? - spytałem. W historii ludzkości zadawano mnóstwo głupich pytań, to jednak z pewnością było w setce najdurniejszych. Zmusiła się do uśmiechu. Delikatnie masowałem kciukiem jej dłoń. — Przykro mi.

- I mnie także — szepnęła.

Zamknęła oczy i zdawała się pogrążyć we śnie. Dwadzieścia minut później ponownie uniosła powieki. Mimo że mówiła niewyraźnie, sprawiała wrażenie świadomej każdego wypowiedzanego słowa.

- Widziałeś się z ojcem?

- Tak. - Skinąłem głową. - W krainie Oz znowu wszystko jest dobrze.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Dziękuję, Joette. Tak wiele zrobiłaś dla Macy. I dla mnie. Oblizła spieczone wargi.

- Dbaj o moją dziewczynkę.

- Będę.

Zasnęła ponownie. Macy również spała. Około ósmej do sali weszła pielęgniarka, by sprawdzić odczyty na aparaturze, do której podłączona była Joette. Nie zamieniliśmy ani słowa, ale nie musiała niczego mówić. Ostatnia podróż Joette dobiegała właśnie końca.

Macy obudziła się kilka minut po dziewiątej. Zerwała się na równe nogi przerażona, że Joette mogłaby odejść, gdy ona spała. Odgadyjąc kierunek myśli Macy, mocno ścisnąłem jej dłoń.

- Ona ciągle jest z nami - powiedziałem uspokajająco.

Dziewczyna nadal zdawała się zaskoczona moim widokiem. Naszą wcześniejszą rozmowę uznała pewnie za część snu. Zniknęła na chwilę w łazience, potem usiadła z powrotem na plastikowym krześle przy łóżku Joette. Zszedłem na dół do szpitalnej stołówki po kubek soku pomarańczowego i kanapkę z serem dla Macy. Nawet ich nie tknęła.

Kolejne osiemnaście godzin mijało powoli. Joette głównie spała. Budziła się kilka razy, by popatrzeć na córkę.

W regularnych odstępach czasu Macy smarowała wazeliną spierzchnięte usta matki i zwilżała je zamoczonym w wodzie wacikiem. Nie odeszła od niej nawet na chwilę.

Po północy dyżurna pielęgniarka zaczęła zwiększać dawkę morfiny i Joette sprawiała teraz wrażenie bardziej rozkojarzonej i mniej świadomej otoczenia. W pewnym momencie jej wzrok zatrzymał się na pustej przestrzeni w rogu pokoju. Po policzku spływała samotna łza.

- Jeszcze nie teraz. — Głos kobiety raz jeszcze zabrzmiał mocno i wyraźnie.

- Kto tam jest? - spytała Macy.

- Anioł - odpowiedziała cichym szeptem.

- Widzisz anioła? - odezwałem się zdumiony.

- Nie - odpowiedziała Macy, zbliżając twarz do Joette. - Czy Angela jest tu z nami?

Usta Joette ułożyły się w bezdźwięczne „tak”. Widziałem, jak łzy wypełniają oczy Macy.

- Idź za nią, mamó. Możesz już odejść. Dam sobie radę. Joette odwróciła głowę i spojrzała w oczy córki.

- Kocham cię. - Słyszając to, Macy zaczęła cicho łkać.

Po kilku minutach podszedłem do nich i położyłem rękę na ramieniu Macy. Pochyliłem się i ucałowałem czoło Joette.

- Spokojnych świąt Bożego Narodzenia, Jo - powiedziałem cicho. - Niech będą dobre dla ciebie i dla Angeli.

Nie pamiętam, ile czasu spędziliśmy tam w Wigilię, zamknięci w pokoiku rozświetlonym jedynie blaskiem nocnej lampki, na szóstym piętrze szpitala Świętego Krzyża, ale to tamtej nocy, po raz drugi w życiu, Macy utraciła matkę.

## ***Rozdział 35***

*Dziś świat posmutniał.*

Z dziennika Marka Smarta

*Pogrzeb Joette*

Pochowaliśmy Joette dwa dni po świętach Bożego Narodzenia. Chciałem przekazać Macy część pieniędzy, które otrzymałem od ojca, żeby miała czym zapłacić za pochówek matki, ale okazało się, że wcale ich nie potrzebowała. Joette zadbała o wszystko i z góry opłaciła dom pogrzebowy. Nawet w chwili własnej śmierci myślała o Macy.

Ceremonia była piękna. Urządzono ją w pobliskim kościele mormonów, a ciało złożono w ziemi na małym, podmiejskim cmentarzu o nazwie Pola Elizejskie.

W pogrzebie uczestniczyła ponad setka osób, większość z nich stanowili byli pracownicy Danny s i goście, którzy znali Joette z restauracji. Był to niezwykły kondukt. Niektórzy z żałobników włożyli tradycyjne garnitury i suknie, ale byli i tacy, którzy mieli na sobie motocyklowe skóry. Stali obok staruszków w tweedowych spodniach i pulowerach oraz kierowców

ciężarówek ubranych w dzinsy i flanelowe koszule. Joette należała po części do każdej z tych grup. Była ich kelnerka, doradca małżeńskim, terapeutka, a dla niektórych dziewczyną ze snów. Pewien kierowca ciężarówki o szczególnie szorstkiej aparycji, skrywając wzruszenie za ciemnymi szklami ogromnych lotniczych okularów, położył na jej trumnie dziesięciodolarowy banknot. Zapewne chciał w ten sposób zostawić jej ostatni napiwek.

Po pogrzebie podszedł do nas mężczyzna, który przedstawił się jako szwagier Joette. Bez słowa wyjaśnienia wręczył Macy tekturową kopertę, potem złożył krótkie kondolencje, pożegnał się i odszedł.

Odwiozłem Macy do domu. Spodziewałem się, że powrót do ich wspólnego mieszkania, gdy zabrakło już Joette, będzie dla niej szczególnie trudny. Nie pomyliłem się: Macy o mało me upadła zaraz po przekroczeniu progu. Zniosłem ją na kanapę i tuliłem w ramionach, gdy płakała. Jak jednak ukoić smutek, który nie ma granic?

Siedzieliśmy obok siebie w delikatnym blasku choinkowych lampek, pogrążeni w żałobie po śmierci przyjaciółki. Macy odezwała się tylko raz:

- Było jej pisane odejść w święta. Właśnie tego chciałyby Jo. Uplęnęło kilkanaście godzin, nim Macy zdecydowała się otworzyć kopertę. W środku była kopia testamentu Joette. Kob,eta starannie zaplanowała swoje odejście. Zaoszczędziła trochę pieniędzy i wykupiła za nie ubezpieczenie na życie, a odszkodowanie wystarczyć miało na spłatę hipoteki domu. Cały swój majątek zapisała Macy.

Wewnątrz była także inna, mniejsza koperta, a w niej list, który Joette napisała w ostatnich tygodniach życia. Macy' otworzyła go i rozłożyła poskładane starannie kartki liniowanego papieru. Papeteria była przyozdobiona motywem pary czerwonych kapci, pod którymi widniał napis: „Nie ma jak w domu”.

Sam widok pisma Joette wywołał u Macy kolejny wybuch płaczu. Czytała list powoli, przełykając łzy.

Moja kochana Macy,

skoro czytasz ten list, to znaczy, że ja odeszłam. Jednak nie na zawsze. Pewnej nocy, walcząc Z przepełniającym mnie strachem i bólem, modliłam się z całych sił, prosząc, by dane mi było zobaczyć, co czeka mnie po drugiej stronie. Bóg odpowiedział na modlitwę mej duszy i od tego momentu wiedziałam już, że wszystko dobrze się skończy - nie tylko spotkam tam moją Angełę, ale któregoś dnia także i ciebie. Nie boję się już niczego. Wiem, że nosisz teraz w sercu ból, nie lękaj się jednak. Bóg pokonał śmierć. Pewnego dnia spotkamy się wszyscy w domu Pana. Razem. Będę na ciebie czekała, kochanie. Zanim to jednak nastąpi, staraj się czerpać jak najwięcej Z każdej upływającej chwili życia, którą cię pobłogosławiono. Kochaj. Cierp. Śmieję się. Płacz. Tańcz. Gub kroki. I pij mnóstwo gorącej czekolady.

Jest jeszcze jedna rzecz, o której chciałam ci powiedzieć. Zawsze tęskniłam do chwili, gdy będziesz miała własne dziecko. Niczego nie żałuję tak bardzo, jak tego, że nie będzie mi dane cieszyć się nim razem z tobą. Wysłuchaj zatem mojej rady -**BĘDZIESZ** czuła się nieprzygotowana do macierzyństwa. Będziesz zastanawiała się, w jaki sposób mu podołać, a tobie wyda się to szczególnie trudne, ponieważ sama nie miałaś przecież najlepszego wzorca. Nie martw się, dasz radę. Dziecko,



któremu przypadnie mieć cię za matkę, będzie prawdziwym szczęśdarzem. Pamiętaj, liczy się tylko miłość. Każdego dnia będziesz popełniała błędy, jednak w jakiś sposób miłość zawsze znajduje sposób, by naprawić je wszystkie. Zmyje je niczym fala, która wygładza zmarszczki na plaży i każdego dnia pozwala zacząć żyć na nowo.

Moja słodka Macy, w twoim sercu jest tyle miłości. Wiem to, bo sama miałam szczęście zaznać jej przez kilka wspaniałych lat, które spędziłyśmy razem. Byłam najszczęśliwsza z kobiet. Bóg mi cię zesłał. Nauczyłam się cenić cię i podziwiać na tak wiele różnych sposobów. Kiedyś powiedziałam jednemu z klientów w restauracji, że gdy wreszcie dorosnę, sama chcę być taka jak ty. Dziękuję ci, że nauczyłaś mnie znaczenia słowa przyjaciel. Nigdy nie zdołałam zwrócić choćby odrobiny bogactwa, którym mnie obdarzyłaś. Będę na ciebie czekać. Nie spiesz się jednak. Masz jeszcze mnóstwo życia przed sobą! Na zawsze twoja

Matka Jo

## ***Rozdział 36***

*To wspaniałe, że nadchodzi nowy rok i przynosi nam nowy początek. Każdy człowiek potrzebuje czasem poczuć, że rodzi się na nowo.*

Z dziennika Marka Smarta

*Sylwester*

Płomienie w kominku strzelały i syczały wesoło, podczas gdy razem z Macy siedzieliśmy na kanapie, patrząc, jak w telewizji Dick Clark wraz z wielotysięcznym tłumem ludzi na nowojorskim Times Square oczekują, podobnie jak co roku, aż wybije dwunasta. Nie było jeszcze dziesiątej, gdy Macy poprosiła, bym wyłączył telewizor. Nie była w nastroju do zabawy, nie miała też ochoty oglądać, jak świętują inni. Przygotowałem dla nas obiad - pieczone żeberka według przepisu mojej mamy.

Zjedliśmy w salonie. Macy zebrała naczynia i zanosła je do kuchni. Napełniała właśnie zlew wodą, gdy odezwał się dzwonek u drzwi,

- Spodziewasz się kogoś? - spytałem.

-Nie.

Poszedłem otworzyć drzwi. Na ganku stała młoda kobieta. Miała na sobie piękny, sięgający do kostek kożuszek i wyglądała, jakby dopiero co zeszła z wystawy któregoś z ekskluzywnych butików przy głównej ulicy. Nigdy wcześniej jej nie widziałem, ale nie mogłem mieć wątpliwości, kto stoi przede mną. Dziewczyna wyglądała jak wierna kopia Macy. To była Noel.

- Szukam Macy Wood - powiedziała. - Czy jest tutaj moja siostra?

- Próbowaliśmy cię odnaleźć.

- Wiem.

- Wejdz do środka. Noel przekroczyła próg.

- Hej, Macy - zawołałem. W tym samym momencie Macy pojawiła się w salonie.

- Kto to... - zamarła w połowie wypowiedzanego zdania. Przez minutę albo dwie obie kobiety patrzyły na siebie, niepewne, co powinny teraz powiedzieć.

W końcu Noel ruszyła w jej stronę z szerokim uśmiechem na twarzy. Padły sobie w ramiona.

- Nie mogę w to uwierzyć - wyznała Macy. - Wprost nie mogę w to uwierzyć.

Obie siostry usiadły obok siebie, ani na chwilę nie odrywając od siebie wzroku.

- Nie wierzyłam, że twoja mama opowie ci o moich odwiedzinach - wyznała Macy.

- Nie chciała. Aleją do tego zmusiłam.

- Skąd jednak wiedziałaś, o co ją pytać?

- Znalazłam to. - Wyjęła poźółkłą karteczkę z kieszeni płaszcza i podała ją Macy. - To list od mamy, od naszej mamy.

Moja mała Noel,

jest druga nad ranem. Przez ostatnie kilka godzin leżałam i wpatrywałam się w zegarek, nie mogąc

zasnąć. Nie sypiam ostatnio najlepiej. Rak, którego noszę w sobie, nie pozwala mi na odpoczynek. Choć moje ciało słabnie, to umysł nadal jest pełen energii, piszę więc do ciebie, póki jeszcze jestem w stanie to robić. Bez przerwy martwię się o to, co będzie z wami po moim odejściu. Twój ojciec walczy z uzależnieniem. Ostatnio było już z nim lepiej, ale obawiam się, czy starczy mu siły woli, gdy mnie już przy nim zabraknie. Och, jak bardzo chciałabym się co do niego mylić. Zmusiłam go, by przysiągł, że dla waszego dobra zwycięży tę słabość. Jednak co będzie z wami, jeśli mu się nie uda? Boję się o was bardziej, niż lękam się własnej śmierci. Kto zaopiekuje się moimi dziećmi? Twoja starsza siostra Macy zaczyna już coś z tego rozumieć. Ma zaledwie pięć lat, ale opiekuje się tobą niczym kwoka kurczakami. Wiem, że zrobi wszystko, co tylko będzie w jej mocy, żeby o ciebie zadbać. Już to robi. Martwię się o nią, bo świat jest zbyt wielki i za dużo w nim zła, by mogła sobie z nim poradzić jedna mała dziewczynka. Jeśli tata nie dotrzyma danej mi obietnicy, zabiorą mu was i możliwe, że zostaniecie rozdzielone. Modlę się, by do tego nie doszło. Jesteś jeszcze taka malutka, że możesz nawet nie pamiętać swojej siostry. Wysyłam ten list, tak jak wysyła się listy w butelkach, w nadziei, że Opatrzność zadba, aby do ciebie kiedyś dotarł. Wierzę, że pewnego dnia, w najbardziej odpowiednim czasie, na niego natrafisz. Teraz, gdy tak się stało,

musisz odszukać swoją siostrę. Musicie być razem. Nie wiem, czy będąc częścią tamtego świata, będę mogła wam w tym jakoś pomóc, ale zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy. Gdziekolwiek jesteś, moje kochanie, pamiętaj, że opiekuję się tobą i twoją siostrą. Kocham cię z całego serca,  
Mama

Macy ponownie spojrzała na Noel.

- Gdzie go znalazłaś?

- Pomagałam mamie chować ozdoby choinkowe, gdy jedna z nich, moja ulubiona bombka, spadła z drzewka i roztrzaskała się na podłodze. Z początku byłam załamana. Potem pośród potłuczonych fragmentów zobaczyłam ten liścik.

Wzięła Macy za rękę.

- Gdy go przeczytałam, poczułam, jakby w mojej głowie pękła jakaś tama. Dawno zapomniane wspomnienia nagle zaczęły do siebie pasować — zrozumiałam, dlaczego nie jestem ani trochę podobna do braci i rodziców. - Położyła dłoń na kolanie Macy. - Ale co jeszcze ważniejsze, zrozumiałam wreszcie znaczenie moich snów. Odkąd pamiętam, śniłam o dziewczynce imieniem Macy. Była moją wymyśloną przyjaciółką. Jeśli kiedykolwiek czułam się smutna albo przestraszona, ona zawsze przychodziła, by mnie pocieszyć. Kiedyś, gdy miałam siedem lat, wracałam po szkole do domu i chłopcy z sąsiedztwa zaczęli się ze mną drażnić. Jeden z nich zabrał mi pudełko z drugim śniadaniem, a ja nagle zaczęłam cię wołać. Sama nie wiedziałam dlaczego. Krzyczałam „Macy”. Oni rozejrzeli się wokół, rzucili moje śniadanie i uciekli w te pędy. Nie wiedziałam, dlaczego wykrzykuję twoje imię. Ale od tego

momentu wierzyłam, że ilekroć je wypowiem, będę bezpieczna. - Uśmiechnęła się do siostry. -  
Dziękuję, że zawsze byłaś przy mnie, gdy cię potrzebowałam. Oczy Macy wypełniły się łzami.

- Myślisz, że to mama zrzuciła twoją bombkę?

- Jestem tego pewna - roześmiała się Noel.

Macy wstała nagle i podeszła do choinki, na której wisiała jej bombka. Zdjęła haczyk z gałązki i ostrożnie podniosła ozdobę. Jej twarz odbijała się w czerwieni szklanej powierzchni.

- Mama była ze mną przez cały czas. - Odwróciła się i spojrzała na nas dwoje. - Chroniłam tę bombkę przez całe swoje życie.

- Może nadszedł już czas, by ją stłuc - powiedziałem. Noel odwróciła się do mnie.

- Przepraszam, że nie zapytałam wcześniej. Czy jesteś mężem Macy?

Macy spojrzała na mnie i przez chwilę milczeliśmy oboje. Potem to ona odezwała się pierwsza. -Jeśli nadal jeszcze mnie chce. Szeroki uśmiech rozjaśnił moją twarz.

- Masz znakomite wyczucie czasu, Noel. Zjawiłaś się w samą porę, by być świadkiem zaręczyn starszej siostry.

## *Epilog*

*Rodzina jest dla człowieka niczym płótno dla artysty. Przelewamy na nie nasze najwspanialsze marzenia. Kreślimy je często w sposób niedoskonały i nieudolny, ale wszyscy jesteśmy przecież zaledwie amatorami w sztuce życia. Jeśli jednak nie skupiamy się na roztrząsaniu własnych pomysłów, z czasem powstają w ten sposób prawdziwe arcydzieła. Z czasem uczymy się także, że to nie piękno końcowego efektu godne jest najwyższej pochwały, lecz wysiłek, jaki wkłada się w jego malowanie.*

Z dziennika Marka Smarta

Wzieliśmy z Macy ślub 3 listopada następnego roku, w rocznicę naszego pierwszego spotkania. Zamiast tortu weselnego podaliśmy gościom górę serwowanych w Chacie brownies, z taką ilością czekolady, że powaliłaby małego słonia. Z jakiegoś powodu wydało się to nam bardziej odpowiednie. Mój tata przyleciał specjalnie na nasz ślub. Pierwszy raz w życiu wsiadł do samolotu. Lot nie był ani w połowie tak straszny, jak tego oczekiwał, zdobył się nawet na to, żeby spróbować serwowanego przez linię lotniczą posiłku. Smakowało

mu. Mój ojciec pozostanie już na zawsze człowiekiem o skromnych gustach.

Ojciec Macy także był obecny na ceremonii, ale jego córka nie chciała, żeby prowadził ją do ołtarza. Powiedziała, że raz już oddał ją w obce ręce i nie powinni tego powtarzać. Zmarł trzy miesiące później na marskość wątroby. Macy i Noel były przy jego łóżku do samego końca. Nie podejmuję się oceniać, w jakim stopniu jego, śmierć wpłynęła na Macy, ale z pewnością nie przeżyła tego równie silnie jak odejścia Joette. Prawdą jest chyba, co napisano: „każdemu wedle jego zasług”.

\*

Noel była świadkiem Macy. Ich wzajemne podobieństwo nadal wprawia mnie w zdumienie.

Przypominają siebie nie tylko pod względem wyglądu, mają takie same gesty, a nawet myślą podobnie. Można by sądzić, że przez całe życie się nie rozstawały. Stały się teraz nierozłączne, czasem żartuję, że gdybym wiedział wcześniej, ile czasu będą ze sobą spędzać, nie przyłożyłbym ręki do ich ponownego spotkania. Sądzę, że nadrabiają w ten sposób utracone lata.

Zaledwie trzy miesiące po moim wyjeździe Tennys wyszła za mąż za młodego lekarza z Birmingham. W końcu udało jej się złapać prawdziwego doktora. Jestem pewien, że mają mnóstwo pięknych dzieci. Upłynęło już piętnaście świąt Bożego Narodzenia, odkąd poznałem Macy i kocham ją bardziej, niż kiedykolwiek wydawało mi się to możliwe. Nie znaczy to, że nasze życie to wyłącznie sielanka. Obie strony zawsze wnoszą do związku bagaż przeszłych doświadczeń. W naszym przypadku walizki były dużo cięższe niż zwykle. Ale takie jest właśnie życie. Przeczytałem kiedyś, że miłość jest jak róża: wszyscy skupiają się na jej kwiecie, ale to kolczasta łodyga utrzymuje ją przy życiu. Sądzę, że o to właśnie chodzi w małżeństwie. Jak powiedział mi kiedyś ojciec, rzeczy najcenniejsze to te, o które trzeba walczyć. W końcu, jeśli wszystko pójdzie dobrze, człowiek uczy się cenić kolczastą łodygę bardziej nawet niż sam kwiat.



Niedługo po tym, jak się pobraliśmy, postanowiłem wykorzystać pieniądze, które dostałem od ojca i otworzyłem swój pierwszy sklep z gitarami i szkołę gry. Nazwaliśmy ją: „Gitary Smarta”. Od tego czasu udało mi się uruchomić trzy kolejne. Mamy w tej chwili ponad dwustu uczniów. Wprawdzie nigdy nie usłyszałem, żeby grali którąś z moich piosenek w radio, ale to, co osiągnąłem, także się liczy. Teraz wszystkie piosenki piszę już tylko dla Macy, a ona woli, żeby pozostawały wyłącznie jej własnością.

Mamy trójkę dzieci. Chłopca i dwie dziewczynki. Sama, Alice i Jo. Często zastanawiam się, czy jestem dobrym ojcem. Staram się nim być. Czasem wydaje mi się nawet, że nim jestem. Dzieci nie pojawiają się na świecie z załączoną instrukcją obsługi. Samemu trzeba nauczyć się, jak radzić sobie z każdym z nich, a gdy ci to zaczyna wreszcie wychodzić, one postanawiają wyprowadzić się z domu. Modlę się, by nie zrobić im zbyt wielkiej krzywdy, i dla ich własnego dobra mam nadzieję, że zdołają mi kiedyś wybaczyć wszystkie błędy.

Mój ojciec zaczął się starzeć, a *mężczyźni* na starość mięknią i nabierają sentymentalnych odruchów. Kilka lat temu sprzedał swój garaż i całe dni spędza teraz, krzątając się po domu. Niedawno odkrył internet i założył stronę ze zdjęciami wnuków. Widuję się z nim przynajmniej raz w roku; z każdą kolejną wizytą wydaje się coraz starszy i coraz słabszy. Nie wiem, jak długo jeszcze będzie wśród nas, ale wdzięczny jestem za każdy dzień, który dane jest nam dzielić. Chcieliśmy, żeby Z nami zamieszkał, ale odmówił. Stwierdził, że nie chce zostawiać domu.

Bałem się o to, jak Macy przyjmie kolejne święta Bożego Narodzenia, po tym jak tego dnia straciła Joette. Okazało się, że martwiłem się całkiem niepotrzebnie. Boże Narodzenie stało się dla niej jeszcze ważniejsze, właśnie dlatego, że jej mama połączyła się wtedy ze swoim małym aniołkiem. W każdą Wigilię zapalamy dwie świece, jedną dla Joette, a drugą dla Angeli. Macy ustawia je blisko siebie, tak by ich płomień się połączył.

Są takie opowieści, świąteczne opowieści, które trzyma się zamknięte w pudełkach razem z bombkami i lampkami na choinkę i które wyjmujemy się każdego roku, by się nimi cieszyć. Sądzę, że moja historia jest właśnie jedną z nich. Na zawsze zmieniła ona sposób, w jaki odbieram Boże Narodzenie.

Tamtego roku nauczyłem się patrzeć na świat z nowej perspektywy. Niczym cieśla Józef, mechanik Stuart setki lat później wychowywał cudzego syna. Niewiele wiemy o Józefie, Biblia milczy na jego temat. Nabrałem jednak wielkiego szacunku do obu tych mężczyzn.

Moja opowieść, podobnie jak wszystkie wigilijne opowieści, nie jest w istocie historią o poszukiwaniu czegoś, co się utraciło, lecz tego, co jest ci najbliższe i najlepiej znane. Maria i Józef szukali w Betlejem - mieście, z którego pochodziły ich rodziny - miejsca, by założyć własną; Trzej Królowie ze

wschodu szli za gwiazdą, by odnaleźć Króla Królów; nawet pastuszkowie szukali Dzieciątka w miejscu najlepiej sobie znanym: w stajence.

Być może za wszystkimi pieśniami, wierszami i historiami

o Bożym Narodzeniu to właśnie się kryje - dążenie do rzeczy, która każdemu człowiekowi wydaje się najlepiej znana

i najbliższa. Każdego roku śpiewamy dokładnie te same pieśni, przygotowujemy takie same dania, bierzemy udział w tych samych tradycyjnych rytuałach, by poczuć, że istnieje na ziemi miejsce, które możemy nazwać domem. Bo każdy człowiek szuka przecież własnego domu.